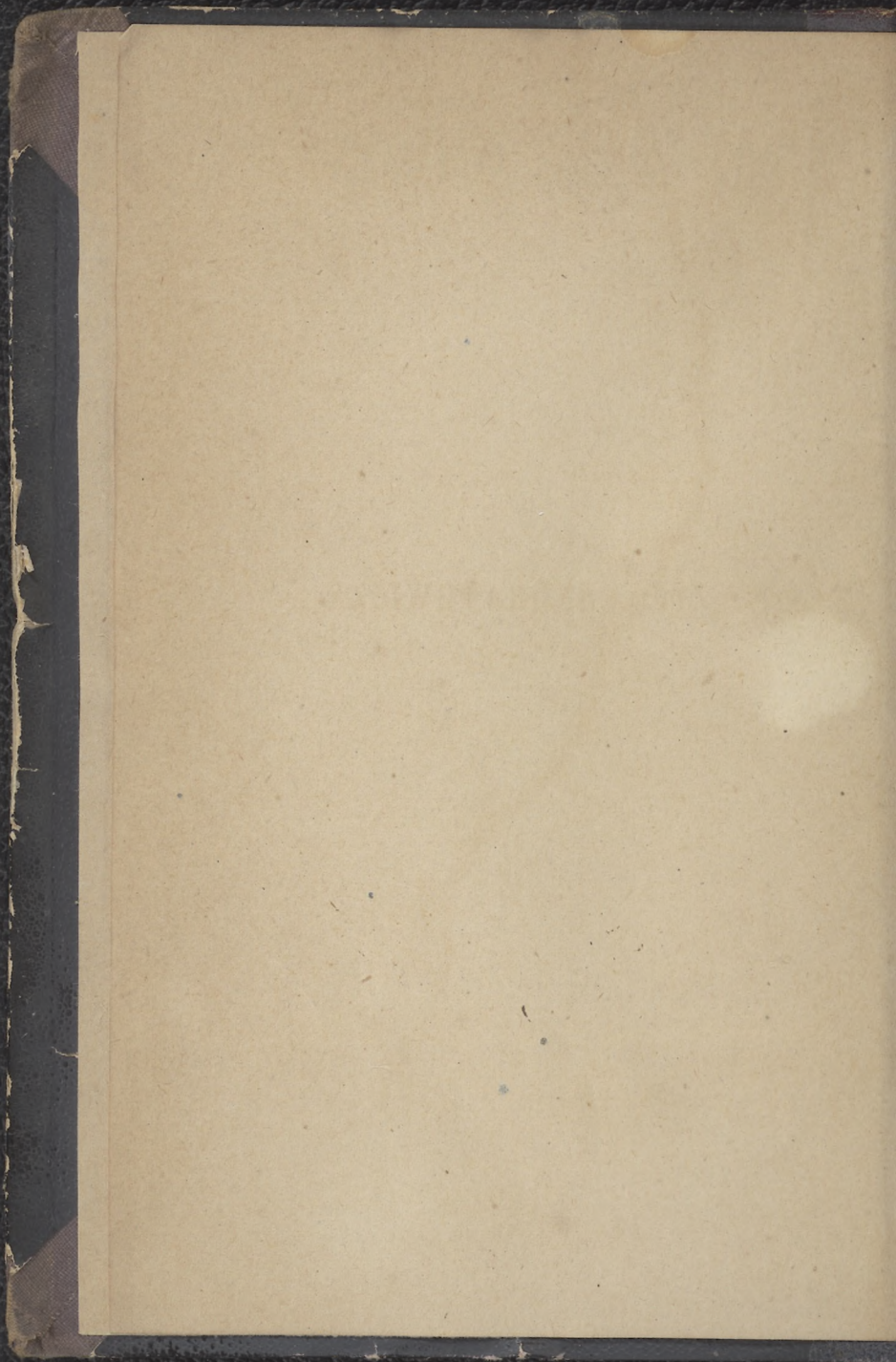
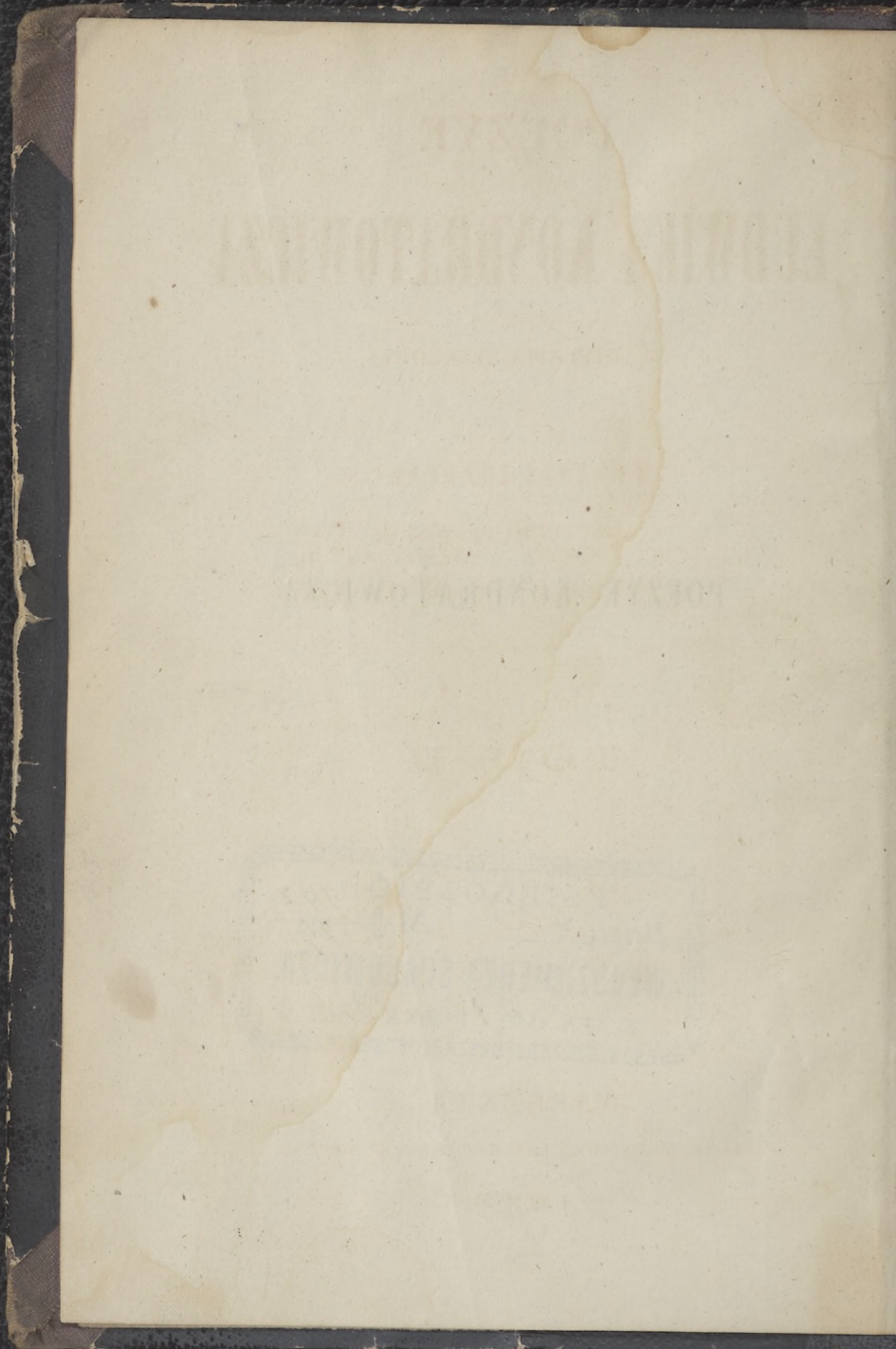


2007.419.

68305





POEZYE
LUDWIKA KONDRATOWICZA

(WŁADYSŁAWA SYROKOMLI)

WYDANIE ZUPEŁNE

NA RZECZ WDOWY I SIEROT AUTORA

T O M II

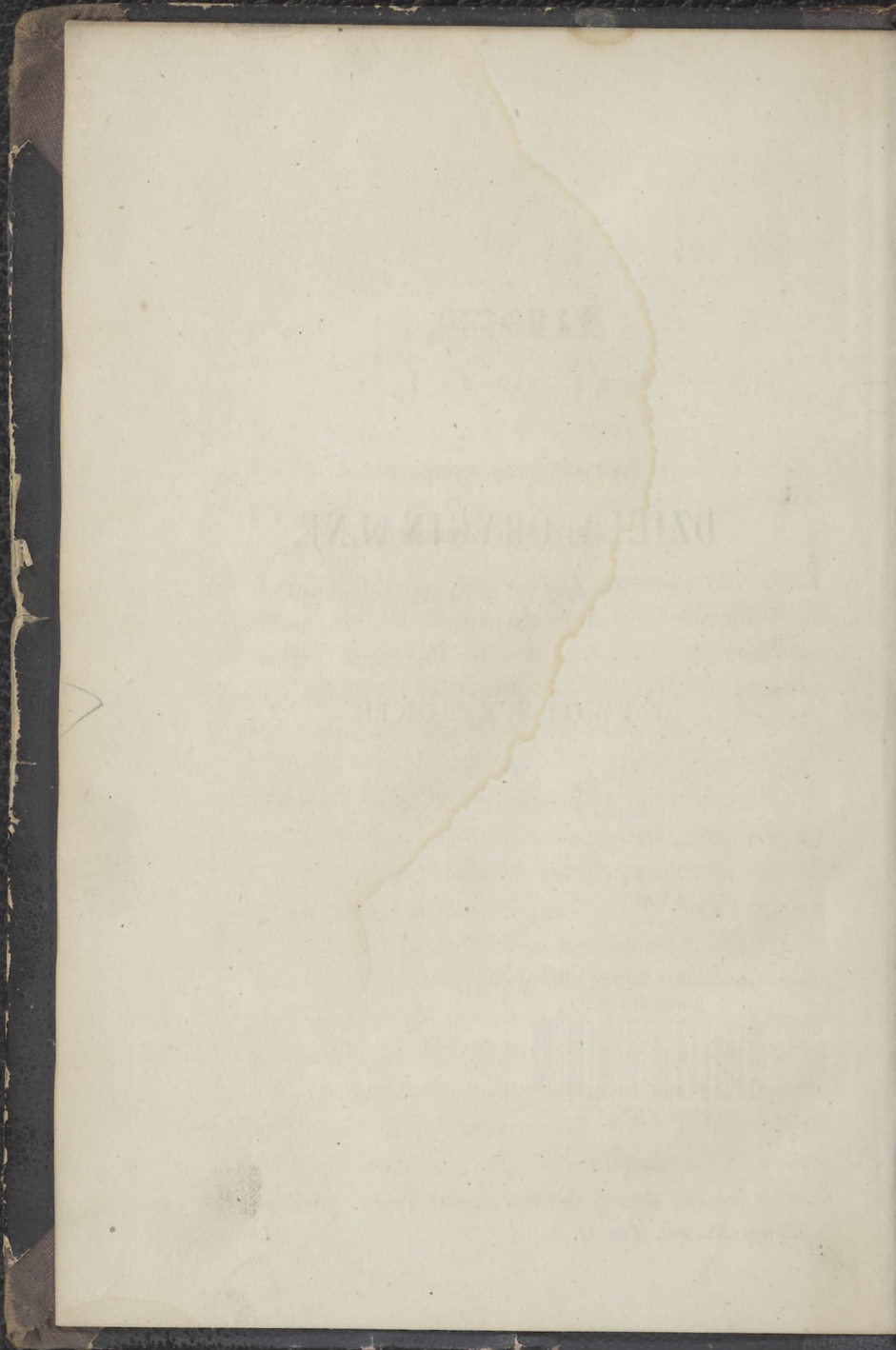


WARSZAWA

SKŁAD GŁÓWNY U GEBETHNERA I WOLFFA

1872

68305



MARGIER,

POEMAT Z DZIEJÓW LITWY.

SŁÓWKO OD AUTORA,

Litewscy i pruscy kronikarze zapisali pod rokiem 1336 napad krzyżacki na zamek Pullen, bohaterską jego obronę przez wodza Margiera, i zgon Litwinów, którzy nie chcąc się żywo oddać w ręce nieprzyjaciół, sami się na stosie na ofiarę swym bogom pozabijali.

Na ten wypadek, jako na wyborny przedmiot do poematu, pierwsza zwróciła naszą uwagę małżonka nieodżałowanej pamięci Autora Ramot i ramotek, Pani Paulina Wilkońska, w liście swoim do nas pisanym w listopadzie 1852, zachęcając do opiewania Margiera.

Zgadając się z szanowną korespondentką, co do niezaprzeczonej poetyczności przedmiotu, cofnęliśmy się z razu przed wielkością zadania. Brakło nam odwagi na stworzenie uroczystego epos, i co ważniejsza, do porwania się na kreślenie ducha stariej Litwy, której nie posiadamy

języka, i co za tém idzie, nie znamy gruntu oby-
czajów.

Ale pokusa pozostała silną — a ilekroć prze-
rzucając kroniki trafiliśmy na zdobycie Pullen,
wyznajemy, że nam serce biło jakimś tajemni-
czym niepokojem, aż póki stanowczo nie odważy-
liśmy się na urzeczywistnienie śmiałego zamiaru.
Niedosyć wtajemniczeni w ducha Litwy, nie mo-
gąc obrać formy homerycznej i puścić się drogą
wskazaną przez zasłużonego śpiewaka Anafie-
las, obraliśmy formę Wirgiliuszowską, której
okrągłe kontury, przyzwoite poważnemu epos,
uwalniają od drobiazgowych studyów. Nie ma-
jąc nadziei trafnego skreślenia Litwy i Litwinów,
na tle danych historycznych kreśliliśmy ludzi
w ogólności, starając się wszakże zgłębiać warun-
ki miejsca i czasu.

Margier, stara wróżbiarka litewska, w. mistrz
Krzyżaków, są to postaci historyczne, które sta-
raliśmy się oddać wedle wzoru skreślonego w kro-
nikach; Ransdorfowi Warnerowi także wspomnia-
nemu w dziejach, nadaliśmy charakter drugorzęd-
nego bohatera powieści; Egle i Lutas postaci ima-
ginacyjne, miały być odbiciem dziewic i bojaków
stariej Litwy. Co do miejsca wypadku, lubo jed-
ni w Pullen pruskich kronikarzy chcą widzieć
dzisiejsze Punie w powiecie Trockim, drudzy
wieś Pilluny nad Szeszupą — zdawało się nam, że
kwestya tego rodzaju jest podrzędną dla poema-

tu. A iż potrzeba było coś jednego wybrać — zdecydowaliśmy się na Punie, i w letniej naszej w obecnym roku przejażdżce obejrzelśmy miejscowość, na której tle malował się wypadek.

Już po napisaniu naszej wierszowanej powieści, postrzegliśmy, że ta odpowiada, co do swój powierzchowności, wszystkim warunkom, wymaganym przez dawną krytykę od poematów bohaterskich. Jest tu wezwanie (*invocatio*), jedność akcji, dostateczna odległość czasu, z której uważane wypadki olbrzymieją, jest nawet tak zwana machina, czyli wpływ siły nadprzyrodzonej (*deus ex machina*). Oświadczamy uroczyście, że to dopełnienie warunków zgasłego klassycyzmu stało się całkiem przypadkowo, żeśmy się nigdy nie kusili o stworzenie epopei, którą starożytność słusznie uznała za najwyższy szczyt poezyi.

Cokolwiek łaskawy czytelnik wyrzecz o Margierze, uważamy go za najlepsze z dzieci naszego ducha. Wyznanie podobne nie może być uważane za samochwalstwo w autorze. Stopień rozkoszy i boleści, jakich doznawał tworząc, może mu poniekąd służyć za skalę wartości utworu.

Nie ofiaruję Margiera żadnemu w szczególności z moich przyjaciół; kto podzielał z autorem jego twórcze rozkosze i boleści, kto witał ze współczuciem każdą pieśń nowonarodzoną, ten ma prawo do naszej ofiary, do naszej rzewnej podzięki.

PIEŚŃ PIERWSZA.

I.

Gdzie ty święta przeszłości macierzystej ziemi,
 Z twojemi bohaterami, z bogami twojemi,
 Z pieśnią dzielnych lirników synów twego łona?
 Przeminełaś na świecie jakby snem przesniona.
 Któż cię potrafi dzisiaj wyczytywać biegle
 Na staroswieckiej ksiąźce lub na stariej cegle?
 Kiedy twoją pamiątkę znajdzie w polu chłopię
 Albo ciekawy rydel w kurhanie odkopie,
 Ze szkieletu, z okruchów żelaza lub gliny
 Któż zdoła wypowiedzieć los całej krainy?
 Kto wyssać świętą prawdę z podaniowych baśni?
 Kto w literze zamknięte życie nam objaśni?
 Kto mrok zapadłych czasów odświetli choć trocha?
 Chyba serce pobożne, co praocjów kocha,
 Chyba dusza pieśniarska odgadnie, wyśpiewa
 Przy harfie wyciosanej z litewskiego drzewa,
 Na czas wywoła z grobu cmentarzowe rzesze
 I z gruzów rumowiska skrę życia wykrzesze. —
 O! w jakim cię kurhanie zagrzebali starzy,
 Stara a święta harfo litewskich pieśniarzy?
 Poważnym głuchym szmerem zabrząknij z mogiły,
 Aby się nasze piersi w twój takt dostroiły.
 Zrodzony w nowych czasach i w inszej nauce,
 O twoich dawnych bogach oto pieśń zanocę,
 Nie świętokradzką ręką, lecz w dobrej otusze
 Święty popiół praocjów z mogiły poruszę.
 Drużyną zakrwawioną, w niedźwiednie przybraną,
 Przed oczami potomków praocjowie staną,

Dzicy, jak dzikie puszcze, w których Litwa żyje,
 Czyści, jak czyste rzeki, z których wodę pije,
 Rzewni, jak wiatr jesienny, co huczy po lesie,
 Jak piosenka żniwiarska, którą echo niesie —
 Lud co się przeniewierstwem nie zhańbi, nie skazi,
 A szanuje swych bogów, kapłanów i kniazi;
 A bogi, przed którymi na twarze się ściela,
 Srodzy, dobrzy i prości, jako ich czciciele; —
 A książęta, co Litwę trzymają pod władzą,
 Za jój zdrowie swój żywot, swoją krew oddadzą,
 A podzielą się z ludem i serca połową,
 I chlebem, i zdobyczą, i sławą bojową,
 I śmiercią bohaterską gdy idzie o życie: —
 O takim to plemieniu powieść usłyszycie.
 A gdy słabemi dłońmi po strunach uderzę,
 Czyli zapieję pieśnię o chrobrym Margierze,
 Czy z daleka ukażę krwią zalane zgliszcze,
 Czy w strunach zagrzmi Perkun, czy wicher zaświszcze,
 Czy ziemię Olgierda mój głos upamiętni,
 Czy jęknie płacz dziewiczy lub serce zatętni,
 Czy zabrzmi łoskot mieczów i bojowych młotów —
 Stara harfo litewska, harfo wajdelotów!
 Struny zardzewiałemi od grobowej pleśni
 Odezwiój się z pod ziemi, daj hart mojej pieśni.
 Przyuczeni od wieków słuchać głos twój święcie,
 Wstaną ojce na wnuka lirnicze zakłęcie.

Synowie młodszych czasów, rówiennicy moi!
 Przyjdźcie do nas posłuchać jak się harfa stroi,
 A otoczcie lirnika serdecznie a pięknie,
 A wybaczcie, gdy czasem zbyt słabo zabrzęknie,
 A przyjmiejcie z łaskawym uśmiechem na twarzy,
 Gdy wam powieść o wiekach dawniejszych wygarzy.

II.

Olgierd władał na Litwie, a Kiejstut na Żmudzi,
 Litwa słyęła strachem i cześcią u ludzi;
 Od Euksynu po ziemię krzyżackich rycerzy,
 Od Karpat po Ładogę swe podboje szerzy,
 Rozlewa się po ruskiej i po lackiej ziemi,
 I utrwała swą władzę księztwy udzielnemi.
 Na stolicach gdzie dojrzeć nie może z oddali,
 Książę mieści swych braci i swoich wassali,
 Imieniem hołdownictwa powierza w ich ręce
 I miecz sprawiedliwości, i prawo książęce,
 Prawo żyć i umierać dla dobra narodu.

O dwa dni pieszej drogi od trockiego grodu,
 W lesie nad krętym Niemnem, od krzyżackiej ściany,
 Wznosił się zamek Pullen stary a drewniany;
 Gdy Kiejstut posiadanie tej strony odbiera,
 Swoje prawa książęce przelał na Margiera.
 Więc jako hołdowniczy książęcej korony,
 I mieczem uzbrojony, i prawem wzmocniony,
 Margier na zamku Pullen wpośród leśnej dziczy
 Nad Litwą od niemeńskich czuwał pograniczy.

III.

Na niwach nadniemeńskich bujne rosły żyta,
 Zieleniła się łąka kwiatami pokryta;
 Lecz przyszli Niemcy z krzyżem, w nieszczęśliwej chwili,
 Łąki spaśli, a zboża spalili, stłoczyli;
 A ich bardysz stalowy, a ich miecz szeroki,
 Nażarł się ciał litewskich, napił się posoki.

Wyzwano ich na rękę — krwawy bój się sroży,
 Litwa chobrze walczyła cały dzionek boży,
 I kamiennymi młoty uderzając szczyrce,
 Rozbijała niemieckie piersi i puklerze.
 Nie przebić głową skały — cofnęły się wrogi,
 Wziąwszy łup, zostawiwszy trupy i požogi.
 Z dymów palonych wiosek jak się widzieć może,
 Krzyżacy szlak swój drogi wzięli na Pomorze.

IV.

A tu na bojowisku, pod Pullen wałami,
 Zrozpaczeni Litwini zostali się sami;
 Załamane ich ręce, żałosna postawa,
 A ze źrenic sokolich łza sączy się krwawa.
 Czy wracać do swych wiosek? och! niema już po co.
 Bo te łuny pożarne, co z dała migocą,
 Ten dym, co po nad Niemnem, nad lasem się ściele
 To goniec od ich rodzin: że nieprzyjaciele
 Wszystko, czém dusza żyje, co kocha najczulój,
 Srodze zamordowali lub więzami skuli
 I powiedli w Niemczyznę.

Serce się rozrywa!

Po żalu przyszła rozpacz zajadła i mściwa;
 Litwa wydała okrzyk i hurmem się ciska
 Rąbać trupy niemieckie wśród pobojuwiska,
 I z ciał pokaleczonych, odartych do naga,
 Ułożyć stos ofiarny, co bogów przebłaga.

V.

Straszny był widok pola: na zdeptanej ścierni
 Leżą martwe Litwiny i Niemcy pancerni;

Na jednych lniana odzież i osłony rysie,
 Na drugich jasna blacha promieniami lśni się.
 Owdzie silne ramiona zakute żelazem,
 Dławiąc wroga — w uścisku zastygły z nim razem;
 Na jednej twarzy boleść — na drugiej z poblizka
 Szatan swój śmiech szyderczy na wieki wyciska,
 Na inszej taka srogość, że zda się widocznie
 Bój przzerwany za życia po śmierci rozpocznie.
 A wszystko krwią zbryzgane — a przy każdej twarzy,
 Zaglądając w źrenice już kruk gospodarzy,
 Szary wilk nadniemeński z za jodeł się skrada,
 Tam się brytan z brytanem o zdobycz ujada,
 A tam z piersi rozbitej ciosami bardyszy
 Jeszcze się jęk boleści lub zgonu posłyszysz,
 Albo ostatkiem siły przyczajonej w łonie
 Ktoś modlitwę wyszepce, ktoś przekleństwem zionie.

VI.

Litwin zemstą kipiący, a na jęki głuchy,
 Odziera z szyj rycerskich złociste łańcuchy,
 Odrywa miecz od boku, szarpie hełm bogaty
 I płaszcze z krzyżem Pańskim rozdziera na szmaty;
 Albo żylaste ręce, jako sępie szpony,
 Zapuszcza w trupa brodę, we włos utrefiony,
 I targa i znieważa ostatki człowieka,
 Gdzie słyszysz bicie serca, pierś na pół rozsięka.

VII.

Pod jedlinowym cieniem przyczajony z cicha,
 Krzyżak, młode pacholę, pełną pierśią dycha;

Cios litewskiego młota, co mu zmysły głuszy,
 Nie zdołał młodocianej wykołatać duszy.
 Młodzieniec czasem stęknie, zawróci oczyma,
 Prawicą nieprzytomnie głównię miecza ima,
 Woła o kroplę wody — choć w niemieckiej mowie,
 Lecz dźwięcznym jego głosem wzruszeni wrogowie
 Stanęli jakby wryci — choć pogańcza zgraja:
 Och, bo serce litewskie łączno się rozbraja!
 I litewski oprawca najdzikszej postaci
 Spojrzał niepewnym wzrokiem do koła współbraci,
 I była jedna chwila w tém sercu ze skały,
 Miłosierdzie i zemsta że się zawahały.
 Lecz się wnet opamiętał — i uśmiechnął zdradnie:
 „Na Perkuna! to Niemiec — niech marnie przepadnie!”
 I już podnosił topór, co piersi rozłamie,
 Gdy mu silna prawica pochwyciła ramię.

VIII.

Oprawca wstecz się cofnął i obejrzał skoro,
 Spuścił topór i oczy ku ziemi z pokorą:
 Przed nim stał dzielny Margier. Odgadniesz mu z twarzy
 Bohaterską latorośl litewskich mocarzy.
 Krzepkie dęby w Romnowe, gdzie Litwa czci bogi,
 Grom w prawicy Perkuna straszny i złowrogi;
 Lecz silniejsze od dębu ramiona Margiera,
 Straszniejsza od piorunu bojowa siekiera,
 Gdy błysnie w jego rękach. Z wileńskich ołtarzy
 Znicz podsycon oliwą ogniście się żarzy;
 Lecz ogniściej wybucha i goręcej płonie
 Serce wodza miłością ku rodzinnej stronie.

On tu nad zamkiem Pullen jako ksiązę włada,
 Pana i bohatera wielbi w nim gromada:
 Bo też kołpak soboli na książęcej głowie
 I hełm z pierzastą kitą, co noszą wodzowie,
 Co je Margier wysłużył rycerskimi dzieły,
 Nigdy na dostojniejszym czole nie spoczęły.
 Piękne niebo gdy jutrznia ozłoci je młoda,
 Ale w duszy książęcej piękniejsza pogoda.
 Jedna tylko — dla Niemców nienawiść w nim żyje,
 Ale to taka straszna, jakby wszystkie żmije,
 Jakby wszystkie potwory i piekielne siły
 W ogniste jego serce swój jad wysączyły.
 Dziś, widząc krwią zbryzgane nadziemne pole,
 Cierpiał za całą Litwę wszystkimi jój bole,
 Jak gdyby w jedno serce, ile tylko zmieści,
 Wszystkie miecze krzyżackie wbił po rękojęści;
 Cierpiał za bogów Litwy, za ujme ich chwały,
 Nie dziw, że mściwe żądze w jego piersiach grały.
 O! jeżeli w tej chwili nad niemiecką głową
 Cofnął rękę siepacza do mordów gotową,
 To snadź, młody Krzyżaku, w niedobrym zamiarze:
 Gwoli strasliwszej zemście zachować cię każe.

IX.

Zawołał głosem strasznym, aż drgnęli Litwini
 (Nie był to ryk zwycięzki tygrysa w pustyni,
 Ale raczej jęk lwice po głębokiej knieje,
 Gdy po dziatwie wydartej żalostnie boleje):
 — „Stój! zabijać bezsilnych to dla nas ohyda!
 „Nam na świętszy użytek ten jeniec się przyda:

„Bo na nowiu za miesiąc od dzisiejszej chwili
 „Wielki dzień Ziemiennika będziem obchodzili.
 „Dobry Bóg urodzajów!—wielkie jego święto
 „Od czasu gdy na Litwie siał niwę poczęto:
 „Bo z łaski Ziemiennika i pod jego wodzą
 „Miód, mleko, i owoce, i kłosa nam rodzą.
 „Niegdyś, za naszych ojców, w Litewszczyźnie starój
 „Z miodu, z mleka, z owoców brał swoje ofiary.
 „Lecz nam dzisiaj nie starczy na chleby i miody:
 „Bo Krzyżak zdeptał pola, wyplenil ogrody,
 „Pozarzywał dobytek i miód wydarł z barci—
 „Cóż my bogu przyniesiem z ostatka odarci?
 „Lecz bóg nie gardzi sercem ni darem ochoczym;
 „Mamy tu krew krzyżacką— a więc krwi utoczym,
 „I ołtarz zawieszony tajemną zasłoną,
 „Zamiast czerwonych kwieci, zlejem krwią czerwoną.
 „Ziemiennik przebłagany w ofiarnym puharze,
 „Może niwom obficij rozrodzić się każe,
 „I w chlebie pożywanym bez łez i goryczy
 „Nowa siła do piersi wstąpi bojowniczej...
 „Weźcie żywego jeńca! okuć go należy;
 „Niech czeka dnia ofiary na zamkowej wieży!“
 Tak mówił srogi Margier— a głos jego mowy
 Najprzód grzmiący piorunem, a potem grobowy,
 Osłabnął kiedy książę rozkazy wydawa,
 A usta były drżące, a powieka łzawa.

X.

Tedy litewscy męże rzucili się żwawie,
 I podjęli młodzieńca, co leżał na trawie;



A Margier zapalczywie do boku mu sięga,
 Oderwał miecz aż stalna zabrzękła popręga,
 I odpiął mu z pod szyje płaszcz rycerski biały,
Krzyż wyszyty na płaszczu poszarpał w kawały
I podeptał.

Na groźne skinienie książęce,
 Dwaj Litwini Krzyżaka ujęli za ręce.
 A młodzian ledwo oddech wydobywa z łona,
 Bezwładna jego głowa zwisa na ramiona,
 A kiedy mu odarty i hełm i koleczuga,
 Po jasnych jego włosach krwi pociekła struga.
 Ale jój żadna ręka nie otarła z czoła.
 Nienawistne przeklęstwa zawrzały dokoła:
 — „Ho! pieszczone pachole nie zwykło do zbroi!
 „Miękką czaszka niemiecka kto wie czy się zgoi?
 „Kto wie czyli dożyje o chlebie i wodzie,
 „Aż nim nóż ofiarniczy serce mu przebodzie?!“
 Tak niosąc do warowni rannego młodzieńca,
 Litwa jeszcze się nad nim urąga i znęca.
 — „Daj pokój!—mówił drugi—choć to młode szczenię,
 „Czart niemiecki umacnia swoje pokolenie;
 „Choć spłynął krwią nieczystą, choć zawraca oczy,
 „Trzymaj krzepko pohańca, bo wnet ci wyskoczy.
 „Jeżeli go bezpiecznie masz trzymać w jassyrze,
 „To mu z szyje oberwiń te blaszki i krzyże,
 „Któremi pierś obwiesił, bo tam czart się chowa!“
 I ręka świętokradzka już była gotowa
 Znievažyc mały krzyżyk na niemieckim łonie,
 Co go papież z odpustem święcił w Awenionie;
 Lecz orli wzrok Margiera zabłysnął tak srogo,
 Że Litwin aż pobladnął i cofnął się z trwogą.

—, Wara!—zawołał książę na zgraję swawolną —
 „Nad wrogiem rozbrojonym pastwić się nie wolno!“

XI.

Otwarto wrota zamku—więźnia w głąb ponieśli.
 Twierdza prosta, drewniana; tylko topór ciesli
 Po nad Niemnem, na górze, na ubitej ziemi,
 Piętrzył dębowe kłody jedne nad drugimi
 Wysoko aż pod chmury—a przy ścianach w okół
 Pozabijał warowny sosnowy ostrokół;—
 Tylko rydel kopacza w krąg całej budowy
 Ponajeżał wałami wąwóz nadniemnowy,
 I ryjąc w głębi ziemi w tajemnym zamiarze,
 Powydrążał pieczary, sklepił korytarze,
 Co ciągną się do lasów, do wiosek nad wodą;
 Bóg tylko wie i Margier, gdzie te lochy wiodą,
 Jak gdyby nory lisie, lub kryjówki węże,
 Których brytan nie zwietrzy, a człek nie dosięże.
 Och! bo walczyć na zabój z niemieckimi syny
 Trzeba mieć chytrą lisią i żądło gadziny,
 Niedowierzać sojuszom, być zradnym jak oni,
 I we śnie nie upuszczać toporu ze dłoni.
 Perkunie! groźny boże Litewszczyzny starój,
 Któremu krew i ogień najmiłsze ofiary!
 Czemu twoi czciciele tak miękcy, tak prości?
 Czemu wiecznie twa srogość w ich piersiach nie gości?
 Dzisiaj—rzeź, krwawa uczta dla mieczów i młotów,
 A jutro Litwin sercem podzielić się gotów,
 I przy czarce ałusu ściska swe siepacze;
 I nad własną srogością najpierwszy zapłacze.

Przez Margier—co Krzyżowców w nienawiści chowa
 I cały kipi groźbą jak chmura gromowa—
 Za chwilę łagodniejszym przemawia wyrazem,
 Rozbroił czoło z hełmu i ze gniewu razem,
 I westchnieniem ochłodził pałające łono,
 I poszedł do wieżycy, gdzie więźnia złożono?

XII.

A po ciemnej wieżycy jęk przebiega głuchy.
 Leży młodzian krzyżacki zakuty w łańcuchy;
 Krew mu leje się z czoła mimo szmatę zdartą,
 Broczy kamień, na którym głowę mu oparto;
 On miota się, jak gdyby chciał odpędzić ręką
 Promyk słońca, co na twarz pada przez okienko.
 Margier stał nad młodzieńcem oparty o ścianę,
 Wlepił w jego oblicze oko zadumane:
 — „Ty cierpisz... żal mi ciebie, niewierny Krzyżaczek!
 „Żal twój matki, co może gdzieś po tobie płacze,
 „Żal młodości; lecz bogi sprawiedliwe widzą:
 „A małoż w waszych twierdzach w Malborgu i Rydze
 „Jęczy litewskiej młodzi—w łańcuchach niewoli?
 „A i tutaj są matki, i tym serce boli!
 „Tam umierają z wolna od swoich dalecy,
 „Dźwigając glaz i cegłę na mury fortecy;
 „Tobie przynajmniej tutaj prędko zgon się zdarza,
 „Legniesz jak młody kłosek pod sierpem żniwiarza.
 „Ty cierpisz... żal mi ciebie, o! żal w samą rzecz!'
 „Lecz odegrzeć gadzinę przy piersi człowieczej,
 „To, jak skoro odzyska siłę utraconą,
 „Kolnie najpierwszym jadem w dobroczyńcy łono;

„Nie wyrwiesz z niego żądła, chyba strzaskaj głowę
 „Niechaj światu nie szkodzą plemiona węzowie!“
 Tak Margier to się płonąć, to blednąć jak ściana,
 Mówił raczej do siebie niżli do młodziana;
 Bo był pewien, że Krzyżak jęczący w boleści
 I nie zna i nie słyszy słów litewskich treści.
 Lecz Niemiec w nadbałtyckiej urodzony ziemi,
 Od dziecka igrał piaskiem z chłopięty pruskiemi,
 Nauczył się i dobrze ich mowę pamięta,
 Co z litewską podobna, jak dzieci bliźnięta;
 Więc zajęknął w tej mowie: — „Zwycięzco Litwinie!
 „Krew za nadto waleczna w twoich piersiach płynie,
 „Abyś nie czuł, zarówno jak siepacze prości,
 „Ile wróg pokonany ma praw do litości.
 „Mowisz, żeśmy Krzyżacy podobni węzowi,
 „Do piersi dobroczyńcy rzucić się gotowi;
 „Nie bluźnij nawet gadom—wszak w litewskiej chacie
 „Widziałem jako węże święcone chowacie;
 „Czyliż zmij, gdy go ludzka uprzejmość rozbroi,
 „Ukąsił kiedy rękę, co go mlekiem poi?
 „A jam człowiek... jam rycerz!.. miałbym działać zdra-
 [dnie!
 „Nie wiesz jaką powinność ten krzyż na nas kładnie!
 „Nie myślę ci wdzięczności zaprzysięgać podle,
 „Lub czołgać się w nadziei, że życie wymodłę;
 „Gdybyś jednak rycersko oszczędził mi zdrowie,
 „Litwinie! chrześcianin godnie ci odpowie!“

XIII.

Margier nie dzisiaj walczy z drużyną krzyżaczą,
 I słyszał jej przysięgi, i wie co te znaczą;

Uśmiechnął się... podumał... i uwierzył z wolna,
 Czy szczerocie młodzieńczej, co kłamać niezdolna,
 Albo słowa litewskie cud działały na nim,
Które w uścich niemieckich brzmiały pojednaniem:

Bo w słowach macierzystych jest urok nielada,
 Wróg zawsze nas rozbroi, gdy niemi zagada,
 Zawsze zdola przygasić niechętnie żarzewie—
 Och, i dobrze, że o tém czarodziejstwie nie wie!

Tak wódz podumał w duchu i skinął na strażę,
 I krwawe rany więźnia opatrywać każe,
 I z baszty murowanej ciemnego sklepiska
 Przenieść w insze komnaty, kędy słońce błyska.
 Więc wzięli go na barki silni wojownicy,
 I zanieśli do długiej wesołej świetlicy.

Tam w środku stół z kamiennój wyciosany płyty,
 Na nim ałus rozlany i miód niedopity,
 Snadź, że chrobra drużyna Litwy bohatera
 Tutaj się na obrady i na uczty zbiera.

Na ścianach wbite rogi od żubrów i łosi,
 Porozwieszany oręż o zwycięztwach głosi:

Tam przyłbice odarte z polowieckich twarzy,

Orle skrzydła ze zbroje sarmackich hussarzy,

I różnych barw turbany—głów tatarskich plony,

I z cerkwi Nowogrodu złociste ikony.

Obaczył tutaj Krzyżak, pomiędzy innemi,
 Sławne herby Malborga i Chełmińskiej ziemi:

Orła na białém polu z koroną na szyi;

Obaczył swe proporce z imieniem Maryi,

Obaczył bratnie płaszcze—a myśl jego świeża
 Na piaszczyste Bałtyku niosła się wybrzeża.

Przypomniął fale morskie, co bawiły oko,

I domek rodzicielski nad morską zatoką,

I komandorstwa mury z niebielonój cegły,
I jeszcze coś przypomniął, bo mu łyzy pobiegły.

XIV.

Bo duch ludzi rycerskich kształci się za młodu:
Krzyżak już kochał dziewczę swojego narodu,
Zmienne koleje uczuć już grały w młodzianie,
I szczęście i cierpienie i odczarowanie;
To uwielbiał, to szydził, to znów gonił mary,
Czuł miłość jak młodzieniec, rozumiał jak stary.
Mógłby już opowiadać swego serca dzieje:
Bo zakuta pancierzem pierś prędko mężnieje,
Bo w obozie Krzyżowców wkrada się z nienacka
I szlachetność rycerska, i gminność żołdacka.

Od dzieciennój kolebki, z matczynego łona
Wysysał chrześcijańskich wielkich cnot nasiona;
Siwy ojciec bywało na konia go bierze,
I uczy robić włócznią i mówić pacierze,
I powieścią turniejów zabawia chłopaka,
Gdzie najpiękniejsza z dziewic, jakby święta jaka,
Z wysokiego krużganku pogląda ku ziemi
I rozdziela nagrody między walczącemi.

Cóż za dziw, że powieściami rozmarzone dziecię
Uczyło się po Bogu dawać cześć kobiecie?
Że nim w piersiach zagrała namiętności burza,
Wierzył w ziemskie anioły jak w anioła stróża?
Że marzył o dziewicach promiennie i świetnie?—
A kiedy serce młode, osiemnastoletnie,
Zadrgało lubym dreszczem, co się z wolna wkrada,
I zapukało silnie ku córce sąsiada—

O! wtedy błogich myśli tak wiele... tak wiele!
 A w duszy taka świętość jak w Pańskim kościele,
 A dumki takie piękne, tak czyste jak złoto!
 Czy był wzajem kochany?—ani pytał o to!
 Choć lubego współczucia mógł dopatrzeć trocha,
 Lękał się jój znieważyc—nie mówił, że kocha;
 Tylko czuje pacholę, że mu coś uroczej,
 Gdy patrzy w święte niebo lub jój piękne oczy.

Ale niewinność serca, to jak pył na kwiecie,
 Pierwsza burza żywota oberwie i zmiecie.
 Ledwie włócznię udźwiga, ledwie pancerz spina,
 Poszła na dwór krzyżacki niewinna dziecina:
 Tam starszyzna i młodzież, wśród hucznej swawoli,
 Z najdroższej jego wiary odarli powoli;
 Tam gdy ucho ciekawe bluznierstwom otworzy,
 Zawahał się w swój wierze i miłości bożej;
 Zakosztował z puharu—przed rumieńcem z wina
 Rumieniec wstydlivosti już pierzchać pocyna,
 A otwartych zalotów raz zostawszy świadkiem,
 Wstydził się świętych westchnień, co ronił ukradkiem,
 Wpółśród wesółych wdziękiń na dworze i w mieście,
 Zapomniał cześć rycerską, co winien niewieście.

Śladem idąc gdzie droga skażenia ubita,
 Sam kłamliwie przysięga, o prawdę nie pyta,
 A za godło rycerskie przybrawszy motyla,
 Nowemi uczuciami bawi się co chwila.
 Miłość, wiarę, nadzieję, wszystko brał za baśnię;
 Choć przyplaci niewiarę, choć serce zadraśnie,
 Udawał sam przed sobą, że nie boli rana,
 Zdobywał się na uśmiech z przesadą młodziana.
 I przyszły namiętności—ugięty ich próbą
 Młodzian począł morderczą walkę z samym sobą.

Bo dusza gdy się bożych napije promieni,
 Szatan zbawienne ziarno niełacno wypieni.
 Jedno święte westchnienie kiedy pierśmi ściśnie,
 Jedna łza uroczysta gdy z oczu wytryśnie,
 Już dusza odrodzona, ognista i młoda
 Na długo się na długo zwątpieniu nie poda;
 Jeszcze nieraz w zapasach grot piersi rozłamię,
 Lecz do ciosów odbicia hartowniejsze ramię.

XV.

W takiej to walki ducha uroczystej chwili
 Krzyżowcy na Litwinów wojnę ogłosili,
 I pod murami Pullen pobici na głowę,
 I młodzieniec się dostał w więzy Margierowe,
 I zaniesion w komnatę, gdzie łupy i zbroje,
 Kędy obaczył płaszcze i chorągwie swoje,
 Kędy stare proporce i podarte krzyże
 Uniosły na brzeg morski jego myśli chyże,
 I przypomniały sercu swobodę dziecinną,
 I chatę rodzicielską, i miłość niewinną,
 I duch jego uniosła tajemnicza władza,
 I zapłakał—łzą świętą, co duszę odmładza.

XVI.

Dziwna jest kolój czasów, gdy nam serce boli:
 Bo lata płyną prędko, ale dni powoli;
 Miesiąc przemknie nad głową jak chmurka niestała,
 A godzina, a chwila, to jak wieczność cała;
 A gdy dusza znękana orzeźwić się życzy

I wspomnieć całą kolej przebytych goryczy,
 To całe ciężkie lata, całe dni boleści,
 W jednym tylko wrazeniu, w jednej chwilce zmieści.
 Takie życie wiódł Krzyżak w niewoli Litwina;
 Przebolął cały miesiąc—i już zapomina,
 I cierpienia i myśli przeminęły marnie;
 Ale dzień do przebycia, to cięższe męczarnie.
 On niecierpliwą dłonią zasłoniwszy oczy,
 Przeklina słońce boże, że leniwo kroczy;
 Na swém łożu boleści targa się i zrywa,
 Zabija go bezsenność i drzemka leniwa.
 Przebiegł myślą swą całej przeszłości obrazy
 Po drugie i po trzecie—może ze sto razy;
 Przedumała już wszystko rozmarzona głowa,
 Co się w serca tajnikach najzakrytszych chowa,
 I już go unużyła jak najcięższa praca
 Myśl, która bez przestanku kołem się obraca.

Bo dla młodego serca, to jeszcze zawcześnie
 Przeszłemi wspomnieniami napawać się we śnie:
 Przed tym, kto drogę życia ledwie rozpoczyna,
 Jest kraina przyszłości, nadziei kraina,
 Jak ziemia obiecana piękna i bogata,—
 Choćbyś marzył dni całe, marzył całe lata,
 Jeszcze trafisz co chwila na ścieżkę nieznaną,
 Nie zbierzesz wszystkich kwieci, co tam rozsypało,
 Nie zliczysz wszystkich skarbów, które tam ukryto.

Ale Krzyżak w niewoli i z piersią rozbity,
 Wie dobrze, że się jego przyszłość nie promieni:
 Bo śmierć nad jego głową jak miecz na włosieni
 Zawiesił srogi Margier—przez nienawiść starą,
 Krzyżak bogów litewskich ma zostać ofiarą;
 Każdy dzień, każda chwila powołać go może

Przed ołtarz ofiarniczy, pod kapłańskie noże.
 Krzyżak był obdarzony bohaterską duszą:
 Nie zadrzałby przed śmiercią, kędy włócznie kruszą,
 Ległby mężnie od miecza lub od samopału;
 Ale umierać codzienn, umierać pomału,
 I liczyć ziarnka piasku w żywota klepsydrze,
 To piersi obezsili i odwagę wydrze.
 Gdy wszedłszy na wieżycę, nad zamkowe wrota,
 Uderzy w róg bawoli stary wajdelota,
 By dać hasło po Litwie rankiem lub z wieczora,
 Że jutrznia na niebiosach, że modlić się pora,
 Lub gdy stara wróżbiarka w zamkowej podziemi
 Rozpocznie swój rozhovor z bogi piekielnemi,
 I śpiewa drżącym głosem i krzyczy i płacze,
 I echo jój przywórtzy, i jękną puhacze—
 Krzyżak zrywa się z łoża i oddech przyczaja,
 I mniema, że litewskich ofiarników zgraja
 Pozapalała stosy, wyostrzyła miecze,
 I schwycki go za chwilę i na śmierć powlecze.
 Ale wszystko umilka... i młodzian zadrzemie.
 I znów niesfornym wrzaskiem zajęło podziemie,
 I znów go przerażenie ogarnia i mami,
 I męztwo z jego piersi wysysa kroplami.
 Gdy fatalna godzina przed jeńcem ukryta,
 Sto razy żegna życie, sto razy je wita.

XVII.

A rany jego ciała już się pogoiliły:—
 Litwin siwy jak gołąb, zgrzybiały, pochyły,
 Z cudownemi balsamy i we dnie i w nocy
 Czuwał z woli Margiera w młodziana niemocy.

Imię starca jest Lutas (lew w litewskiej mowie),
 Bo siłę i odwagę dali mu bogowie;
 Z jego piersi głos silny gromem się odzywa,
 A długi włos i broda, jak gdyby lwia grzywa,
 Spadały mu poważnie na piersi i plecy,—
 I poblizcy Lachowie, i Niemcy dalecy,
 I Ruś, i Tatarszczyzna i dziś jeszcze pomną
 To oblicze wspaniałe, tę postać ogromną,
 I siłę jego ramion, i potęgę młota,
 Gdy się w boju nasroży i karki gruchota;
 Wiedzieli jego głosu potęgę złowrogą,
 Która serca umacnia lub napelnia trwogą,
 Która swoich zapala do bitwy junaczój,
 A na wrogi uderza zwątpieniem rozpaczy.

Mnogie lata przebiegły, przyszła wieku zima,
 Zgarbiły się potężne ramiona olbrzyma,
 A długa czarna broda i włos jego głowy
 Pobelalały jak mleko, jakby śnieg grudniowy;
 A głos, co ryczał w boju jak piorun wśród burzy,
 Dziś tylko do piosenek bohaterskich służy:
 Bo starcom dano przenieść w pieśni i powieści
 Chwałę starych praojców do potomnej cześci,
 Aby nie zaginęło w najpóźniejszej chwili,
 Co widzieli, słyszeli i czém sami byli.
 Jako świętych kapłanów, co pilnują Znicza,
 Tak i starców na Litwie władza tajemnicza:
 Bo jedni na ołtarzu ogniska bożego,
 Drudzy ognia, co w sercach, pilnują i strzegą.....

XVIII.

Dzięki lekom, krzyżacka zasklepia się rana,
 Tylko srodze pobleđniał: bo krew u młodziana

Nadto hojnie płynęła i z piersi i z głowy,
 A myśli rozpaczliwe, niepokój grobowy,
 Nadto go obezsila, nadto serce bodzie,
 Aby więzień orzeźwiał jako na swobodzie.
 Przygodą zanesione czasem krasne róże
 Zakwitną w ciemnym lochu na wilgotnym murze;
 Lecz żał się Boże kraski—tak wąża, tak błada,
 Jeszcze kwiat nie przekwitnął, a już liść opada;
 Wije się ziemny robak około jój łona,
 A na bladój purpurze siada pleśń zielona;
 Tak młodociany jeniec więdnije i ginie.
 Lutas odgadł cierpienie—i w starym Litwinie
 Ozwało się współzucie, co wstręt przezwycięża,
 (Choć rodu niemieckiego nie cierpiał jak węża).
 Bywało ledwie raczy spojrzeć nienawistnie,
 Albo żwawo ofuknie, lub przeklątwem cisnie;
 Czy mu ranę namaści, czy uwarzy ziela,
 Znaczno, że leczy boleść, lecz jój nie podziela.
 Szydził z jęków: bo długim zahartowan bojem,
 Tyle ran widział w ciele i cudzém i swojém,
 Tyle broczył się we krwi przez całe swe życie,
 Że go ciała boleścią niełacno zmiękczycie.
 Lecz dostrzegłszy po jeńcu, że mu dusza boli,
 Srogie serce Lutasa rozmiękło powoli,
 I mordercze spojrzenie złagodził widocznie,
 I łagodniejszym głosem pomrukiwać pocznie.
 Spytał go o nazwisko—i wspomnienia zbiera,
 Że znał dawnemi laty Ransdorfa Warnera,
 Co mu bliźnę brzeszczotem wypisał na twarzy
 (Był to ojciec Krzyżaka, wódz toruńskiej straży).
 Potém słówko po słówku—tylko patrz na dziada:
 Kiedy oko roziskrzy, kiedy się rozgada,

To się tak wspomnieniami rozigra, rozświetni,
 Jakby z pleców garb zrzucił sześćdziesięcioletni.
 Zda mu się że odmłodził, że wskrzeszył na sile,
 Że wie dzie rówienniki—co już śpią w mogile,
 Że mu hełmem bojowym najeża się głowa,
 Że rozbija toporem wieżycę Kijowa!

Kiedy się rozpromieni, gdy rozżarzy ducha,
 Czasem Margier przychodzi i powieści słucha;
 Mileżący, zadumany, słowa nie uroni,
 Tylko mu krew rycerska uderza do skroni,
 Tylko z pod chmurnych rzęsów, na czarnej źrenicy
 Błyśnie mu jakiś ogień nakształt błyskawicy,
 I oczy ku téj stronie obróci z nienacka,
 Kędy morze Bałtyckie, gdzie ziemia krzyżacka,
 I ścisła gniewne pięści, jakby pocisk mierzy,
 Którym złamie potęgę niemieckich rycerzy.

XIX.

Lecz nad młodym Ransdorfem nie pastwi się zgola,
 Ani go na ofiarę przed ołtarz nie woła,
 Nie wkłada mu łańcuchów, nie nagli do pracy,
 Lubo w boju na Litwie pojmani Krzyżacy
 Kopiają lochy podziemne w robocie zadanej,
 Albo znoszą kamienie i murują ściany,
 Lub skuci kajdanami, w pocie i mozołe,
 Ciosają twarde klody, albo orzą pole.
 Krzyżak od prac swobodny—czy srodzy wrogowie
 Szanują jego młodość, czy jego niezdrowie,
 Czy może niezachwiana wola Margierowa
 Oszczędza niewolnika, bo na męki chowa?

Któż zgadnie?—ale cała litewska starszyna
 Przyjmuje Krucygiera jak brata, jak syna,
 Jak gościa, co z daleka przybywa w te kraje—
 Stary Lutas mu śpiewa i powieści baje;
 A nawet srogi Margier przy książęcym stole
 Wskazał miskę i łyżkę, gdzie jada pacholę,
 I z Niemcem, jakby z dzieckiem swego pokolenia,
 Podziela chleb swój żytni i ałus z jęczmienia,
 I nigdy przy nim klątwy na Niemców nie miota;
 Pozwala mu wychodzić po za twierdzy wrota,
 Gdzie po całych wieczorach z zamglonej oddali
 Młodzian patrzy k' Niemnowi, i po jego fali,
 I po wietrze wilgotnym, co nad rzeką płynie,
 Posyła swoje dumki dalekiej rodzinie,
 Pozdrowienie rycerstwu i pokłon mistrzowi,
 I pyta się u wiatru: czy żywi? czy zdrowi?

XX.

Choć marzy o rodzinie i śni pruskie miasta,
 Rzecz dziwna, że do Litwy serce mu przyrasta.
 On polubił Lutasa pieśni wojownicze,
 Lubi patrzeć w rycerskie Margiera oblicze,
 Polubił Niemna brzegi i zielone błonie,
 Pobratał się z chmurami, co błędzą w tej stronie,
 I z powietrzem litewskim—i czuł w samej rzeczy,
 Że zimny wiatr niemnowy piersi mu uleczy.
 Och! to nie wiatru cuda, nie chmur, ani błoni,
 Nie piosenek, co stary burtynikas dzwoni,
 Nie powietrzem litewskim, ni chlebem, ni wodą,
 Lecz inszém czarodziejstwem jego duszę młodą
 Przykowano do Litwy, przykowano zdradnie:

Egle, córka książęca, swój urok nań kładnie.
 Widział ją u kądzieli, przez okno z za kraty,
 Potém widział na łące, jak zbierała kwiaty;
 Uczuł w sercu niepokój, w snach odmianę błogą,
 Dziwił się, że poganki tak piękne być mogą,
 Że z ich oczu Kupido swe postrzały miota,
 Że tyle ma powabu ich leśna prostota.
 Bo co insza dziewica lub niewiasta pruska,
 Gdy się w strój pozłocisty na ucztę wymuska,
 I strzelistém spojrzaniem uderzając śmiecie,
 Liczne u drobnych stopek hołdowniki ściecie.
 Nietaka dziewa Litwy—pokorna, nieśmiała,
 Strojna tylko rumieńcem, co w jój licach pała,
 Ozdobna jasnym włosom we dwoiste sploty.
 Nie powstał na niej hatlas lub strój szczerozłoty;
 Śnieżysta biała szata jój kibić obwija,
 Sznurem krasnych koralu uwdzięcza się szyja,
 A na głowie stalowych ogniwek przewłoka
 Nie zdoła zgasić blasku błękitnego oka.
 Ej! niedarmo na Litwie piosenka rzewliwa
 I jagódką i kwiatkiem dziewczynę nazywa:
 Bo łagodne spojrzenie, bo oblicze młode,
 Piękniejsze niżli kwiaty, słodsze nad jagodę.

XXI.

Pod nad Niemnem, na błoni, szeroka a długa
 Ciągnęła się zarośli niedostępnych smuga;
 Tam nad gęstemi krzewy rozciągał konary
 Dąb przedwieczny, jak gdyby patryarcha stary,
 Co błogosławiąc dziatwie w ich życia jutrzence,

Nad młodei głowami rozpościera ręce.
 A czoło dębu suche, nieubrane w liście,
 Bo go piorun przed laty roztrzaskał ognisćie,
 I popisał mu czoło pręgi szerokiemi;
 A wróżbiarka, co mieszka w zamkowej podziemi,
 Wyrzekła uroczyście, że to znak nielada
 Że sam Perkun wśród dębu mieszkanie zakłada.
 Odtąd gaj nadniemnowy był świętym dla Litwy,
 Miłym uchronem bogów i miejscem modlitwy;
 Na gałęziach i w szczerbach, które piorun czyni,
 Ustawiono bożyszczą jakby we świątyni.
 Co ranka, co wieczoru, w tój gęstěj zaciszy,
 I Potrymbos i Milda, co miłością dyszy,
 I Ziemiennik, co plonem błogosławi jesień,
 Odbierali swe hołdy z modlitew i piesień.
 A święcone u Litwy jaszczurki i węże,
 Czując, że tu żarłoczny bocian nie dosięże,
 Zwijają się po trawie secinami kroci,
 Pośród wonnych przyłaszczek i bujnych paproci,
 Kopiają nory wśród liści i suchych badyli.
 A pobożni Litwini od chwili do chwili
 Przychodzą tu się modlić—jak pora nadarzy,
 Ofiarnicy, dziewczęta lub mężowie starzy,—
 I dąbrowa, w południe samotna, milcząca,
 Kipi gwarem o wschodzie i zachodzie słońca,
 Aż się echo kołysze w lesie i nad wodą,
 To cichym starców szmerem, to piosenką młodą.

XXII.

Tam dziewczica książęca, kwiatami przybrana,
 Szła na czele rówiennic modlić się co rana.

Głos ich dźwięcznej piosenki rozplywa się z rosą,
 A dziewy konwie mleka albo kwiaty niosą,
 Kwiatami opasują dąb święty, pochyły,
 A mlekiem poją węże, co tak się zuciły,
 Że byle na rozdrozu zapał głos dziewiczy,
 To z pod każdej jagódki, z każdej trawy syczy
 Tysiące głodnych żądał—i nieraz gadzina
 Czołga się aż do ręki, aż do szyi wspina,
 I pieści się u łona niewinnój dziewoi,
 I czeka aż przemówi a mlekiem napoi.
 Raz Krzyżak zaczajony wśród krzaków i ziele,
 Widział Eglę gadzinom jak pokarm rozdziela,
 I mówił sam do siebie:—,O, ślepi Litwini!
 „Tutaj nie wąż jest bogiem—tu ona bogini;
 „Jedno skinienie oczu—och, skinienie święte!—
 „Działa na podłym płazie cuda niepojęte.
 „Piękno! to wielkie słowo! potęga nielada!
 „Bo najbrzydsze potwory u stop swoich składa.
 „Bóg jest Pięknem i cuda swoje złożył w Pięknie,
 „Przed niem wdzięczy się niebo, a ludzkość ukłęknie,
 „A piekło na twarz pada i w prochu się wala!“
 Tak rycerz turniejowy, patrząc z oddala,
 Hołdował dziecku Litwy, niewinnemu dziecku.
 Raz ją spotkał—raz w oczy spojrział po zdradziecku,
 Ale córka Margiera, jakby ostrym grotem,
 Skarciła go spojrzeniem, ani wiedząc o tém;
 Ani się domyślała jój dusza dziecięca,
 Że skażone pacholę na nowo poświęca,
 Że to jedno spojrzenie—jakby chrzest uczucia,
 Omywa jego duszę ze skazy zepsucia.
 Krzyżak czuł się odrodzon—o, duszo ty młoda!
 Miętkość twoja każdemu wrażeniu się poda,

Czemuż pieczęć na tobie kładą na przemiany
Dziś Pańscy aniołowie, a jutro szatany?

XXIII.

Egle często Ransdorfa spotyka na błoni;
Czy polubiła Niemca?—„O, niech Perkun broni!
„Wszak to wróg zaprzysięgły litewskiej swobody;
„Szkoda tylko, że cierpi... taki jeszcze młody!
„A tutaj go tęsknota zgnębi do ostatka.
„U niego pewno siostry, u niego jest matka,
„On od swojego boga musi żyć w oddali—
„A czy dobrze.... naprzykład.... gdyby nas skazali
„Żyć kędyś w Niemieczech, na krzyżackiej ziemi,
„Nie widzieć nigdy Niemna, nie gadać ze swemi?
„Toby człeka najpewniej zabiło boleśnie!
„Biedny Krzyżak! on ze snu zrywa się tak wczesnie,
„Chodzi po wałach—cierpi—zwyczajnie w niewoli...
„Ja muszę z nim pomówić,—spytać, co go boli?
„Może zdejmę choć trochę troski z jego głowy!“
Tak wracając z modlitwy ze świętej dąbrowy
Mówiła sama w sobie litewska dziewczyna.—
O, córko Margierowa! biedna główka twoja!
Żałujesz, że w niewoli cierpi Krzyżak młody:
Pożałuj twego serca—już niema swobody!

PIEŚŃ DRUGA.

I.

Zamek Pullen uśpiony — piękna noc na dworze:
Księżyc hula wśród gwiazdek w błękitnym przestwo-

[rze,

Iskrzy Niemen złocistą miotłą swych promieni,
 Po dolinach rozrzuca długie pasma cieni,
 Ozlaca stare baszty i dalekie knieje,
 Których cień na błękitcie czarno wybitnieje.
 W ruchomém jego świetle, jak gdyby na fali
 Pływają nocne widma i duchowie biali,
 A z po za każdój baszty, z za każdego wzgórza
 Jak gdyby tajemnicza postać się wynurza;
 To tylko mgły z nad Niemna zwisły na krawędzi,
 Które wietrzyk po błoni rozbija i pędzi.
 Rzewnym oddechem niebios natchnieni ptaszkiowie,
 Po zarosłych wiszarach, na każdym ostrowie,
 Gwarne pieją przyspiewki i rozhovor wiodą,
 Aż się echo serdeczne rozlega nad wodą.

Zamek Pullen uspioony — tylko straż na wale
 Czasem brząknie na trąbce sygnał po sygnale:
 Bo choć spokojne czasy, trzymaj się na wodzy,
 Któż wie, co teraz myślą najeźdźnicy srodzy?

Kogut zapiał... to północ... śpi cała gromada.
 Zkądże ten blask od ognia, co na bramę pada?
 Przedziera się, migoce blask żywy, iskrzaty
 Przez okienko podziemia, z za żelaznej kraty,
 To przygaśnie, to buchnie, to znów się zaciemni;
 Znać, że ludzie przy ogniu snują się tajemni,
 Zebraли się tak późno, tak cicho, gromadnie...
 Litwa czary wyrabia? a któż ją tam zgadnie?

II.

O! zaprawdę to jakieś czary czy ofiary!
 W głębi zamkowych sklepisk loch ciągnie się stary;
 Tam się nigdy przez okno słońce nie promieni;

Zapleśniał od wilgoci stary mur z kamieni;
 Krwawy blask od ogniska uderza na ścianę;
 Poczerniały od dymu sklepienia ceglane:
 Bo tutaj Bóg Litwinów zamieszkał widomie.
 Pała we dnie i w nocy niewygasłe płomień,
 To Znicz, co się z przed wieków uroczyste chowa,
 Co go niegdyś do Wilna unieśli z Romnowa,
 I co z małej iskierki zapalanej w Wilnie
 Pielęgnują ognisko troskliwie a pilnie.
 Niejeden żubr zabity w łowieckiej zdobyczy,
 Napoił swoim tłuszczem ten stos ofiarniczy,
 Nieraz tutaj niemieckie Hanzeatów posły
 Pełne stągwie oliwy dla Znicza przyniosły,
 I nieraz plecy jeńca, Lacha lub Germana,
 Dźwigały tutaj z lasu jodłowe polana
 Na pożarcie Zniczowi. Ale u ołtarza
 Wciąż jedna tylko ręka ognisko rozżarza,
 Ręka sucha, jak trupia, jakby szkielec z kości,
 Opalona od ognia, drżąca ze starości:
 Marti, kapłanka Znicza, jakby mech zgrzybiała,
 Od sześćdziesięciu wiosen tutaj zamieszkała.
 Było to młode dziewczę, jak róża w rozkwicie,
 Tu zakwitło, krasniało, tu zeszło jój życie,
 Tu dźwięczny głos niewieści przybrał dzikie tony,
 Tu blask pięknego oka wygryzł dym święcony,
 Tutaj wszystkie uczucia, czém dusza bogata,
 Wszystkie dumki i wszystkie namiętności świata,
 Wszystko, czém żyje głowa, czém się serce żarzy
 Marti oddała bogom — a do ich ołtarzy
 Przyrosła jak kolumna.

I cóż więc za dziwa,
 Że dziś natchnienie bogów jój piersi rozrywa?

Że widzi nawskroś niebo ciemnymi oczyma?
 Że Znicz w zgrzybiałym łonie swój ogień rozdyma?
 Że słygnęła wróżbiarką ofiarnica ciemna
 Od wybrzeży Połagi aż do źródeł Niemna?

III.

Lecz żadne bóstwo wiosny, miłości, młodości,
 Nie bierze od niej ofiar, w jej sercu nie gości;
 Tylko Poklus, bóg piekieł, ma hołd u ogniska,
 Tylko Perkun straszliwy, co gromami ciska,
 Tylko lubi przy Zniczu kłęby dymu ciemne,
 Tylko pieści jaszczurki i gady podziemne,
 Tylko podziemne bóstwa rada przywoływa;
 A każda jej piosenka złowroga, straszliwa,
 Jakby wycie puhacza na wioskowej strzesie,
 Co zwiastuje nieszczęście, albo śmierć przyniesie.

IV.

Dziś wszyscy wajdeloci i wszyscy kapłani
 Tylko strachem i cześcią przejmują się dla niej;
 Nawet krywe-krywejte z wileńskiej świątyni
 Przysyła posłanniki i ofiary czyni
 Bogom, co w zamku Pullen, pod wróżbiarki strażą:
 Bo Poklus, bożek piekieł, z zagniewaną twarzą
 Stał przed nią widomie — a Litwini dzieć
 Przynieśli mu ofiarę z krwi synogarlicy,
 I przed jego posągiem padając na lice,
 Kadzili pruski bursztyn i wschodnią żywicę,
 Mniemając, że krew ptasza, albo wonność droga
 Przebląga zagniewanie straszliwego boga.

Lecz Poklus, niedowolen takową ofiarą,
 We trzy dni znowu stanął przed wróżbiarką starą;
 Na strasznych jego uśmiechach gniew trzęsie się bladejszy,
 A ognista żrenica jeszcze srożej patrzy.
 Widząc, że tu krwi ludzkiej wymaga bożyszcze,
 Lutas przebił swą rękę — a ze krwi, co świszcze,
 Czynił całopalenie, modlitwę, zaklęcie,
 A naród zgromadzony już uwierzył święcie,
 Że krew, co z ręki mężnej wysączona tryska,
 Gdy się spali, niebios a i piekło pozyska.
 Buchnął płomień podsycon rycerską posoką,
 Ucieszyła się Litwa; ale Marti oko,
 Co zamknięte dla świata zna tajniki piekła,
 Nie zajaśniało blaskiem.

IV.

Wróżbiarka wyrzekła:

— „Za trzy dni w tém podziemiu zbierzcie się, Litwini,
 „Poklus ostatnie jeszcze zjawisko uczyni.
 „Obaczę, czy spokojne, czy wzdyma się łono,
 „Czy mu oczy litością, czy gniewem zapłoną,
 „Czy już się ze swęj groźby rozbroiły nieba,
 „Czy jeszcze krwawszych ofiar na ołtarz potrzeba.
 „Za trzy dni o północy niech się naród zbierze,
 „I ty, szlachetne księżę, rycerski Margierze,
 „Bądź tutaj ze swém dzieckiem — los się nie odmienia:
 „Może trzeba krwi twojej lub twego plemienia,
 „Może trzeba łez czyich — więc bądźcie ochoczy.
 „Kto może łzy wyleje, albo krew wytoczy,
 „Niech pomni, że to bogom staje się zadostyc,
 „I że warto dla Litwy ofiarę ponosić.“

VI.

Za trzy dni o północy, nakształt bladych cieni,
Zeszli się znów Litwini trwożni, przerażeni:
Bo przed strasznym zjawiskiem niezziemskiego świata
I w najmężniejszym sercu święty strach kołata.
Każdy żegna się z życiem: bo któż zgadnąć zdoła,
Kogo krwawe bożyszczę przed ołtarz powoła?
Czyje piersi rozplata święcona siekiera?
Więc się każdy z Litwinów jak na śmierć ubiera;
W lnianych szatach, z orężem od srebra i złota,
Co kto miał, co kto lubił za swego żywota,
W to się wszystko przystroił. Rzędami stanęli
Mężowie jak do boju, a niewiasty w bieli,
A dziewice zielono z wieńcami na głowie,
Kapłani przyszli z harfą i z lirą starcowie.
Margier w bobrowym szłyku a w żelaznej zbroi,
Wsparty na dzielnej włóczni, nieruchomie stoi;
Choć mu tajemnych myśli nie wyczytać z twarzy,
Pewno, że nie o sobie, lecz o Litwie marzy;
Chętnie dostojną głowę pod topór położy,
Byle tylko nad Litwą usmierzyć gniew boży,
Byle Poklus ujęty, kiedy krwią opłynie,
Wyrwał mordercze żądło krzyżackiej gadzinie.
Zna że ze swoją twierdzą i z pierśmi mężnemi
Chroni jak mur od Niemna macierzystej ziemi,
Czuje dobrze, że tarcza w jego rękach święta,
Pod nią litewskie strzechy, pod nią niemowlęta,
Pola chlebem zasiane i rodzinne bogi
Spoczywają spokojne, wolne od pożogi.
Więc pyta sam u siebie i wyroki bada:

Kto jego tarcz udźwignie? kto mieczem zawłada?
 Kto czujniej będzie pełnił nadziemnowe strażę?
 A zresztą gotów na śmierć, jeśli Poklus wskaże,
 Gotów umrzeć za Litwę lub dać własne dziecię.

VII.

Cóż Egle w obec śmierci? — jój serce kobiecie
 Czyż nie zadrza obawą? — o! to wielkie serce!
 Zdola umrzeć jak słuszna dzielnej bohaterce,
 Nie zhańbi krwi książęcej nizeczemną obawą;
 Ależ do niej i życie i młodość ma prawo.
 Od niejakiego czasu, gdy oczy otworzy,
 Tak coś dobrze na sercu, popiękniał świat boży!
 „Co to za szczęście młodość! (tak się w duszy chwali)
 „Jacy dobrzy bogowie, że nam życie dali!“
 Bo na powaby życia, na uczucia święte
 Przejrzało oko duszy aż dotąd zamknięte,
 Otworzyło się serce na radość bez końca,
 Jako młody pierwiosnek dla pięknego słońca.
 I teraz trzeba umrzeć... na ofiarę zową,
 Spojrzeć z pięknej jutrzeńki na otchłań grobową —
 Nie dziw, że dreszcz ogarnął bohaterkę śmiałą,
 Głowa się zamroczyła, a w oczach ściemniało,
 Dreszcz bojaźni po sercu przebiegł mimo chęci:
 Zna już wartość dni młodych, które bogom święci,
 I głowę przystrojoną w młody wianek z ruty
 Zwiesza ku drżącym piersiom, i żalu wyrzuty
 Stara się wyższą myślą wyprowadzić z łona,
 A na licu jój bladość, w oczach łza tajona.

VIII.

Już północ. Lud w podziemiu zebrał się gromadnie,
 Milczy jak w obec śmierci i stos łomów kładnie,
 A wróżka je zapala i kropi oliwą.
 Krwawe blaski po ścianach odbiły się żywo,
 Zaiskrzyły w pancierzach, co noszą mężowie,
 Zaświerkały w koralach na niewieściej głowie,
 Zajaśniały na twarzy siwego brodacza,
 I czarny cień rozliczne gromady otacza;
 A tu cisza jak w grobie... ledwie posłyszycie
 Huk płomieni, trzask polan i serc trwożne bicie.
 Wtedy wróżka obrządek rozpoczyna wieszczy:
 Skinęła na kapłanów — i sto trąb zawrzeszczy;
 Płaczą się w jeden rozgwar najsprzeczniesze tony,
 I rożek chrapowaty, i flet wypieszczony,
 A wszystko przeraźliwe, gwarliwe, niestrojne,
 Aż od echa zadrgało sklepienie spokojne.
 A nad wszystkimi wrzaski, nad wszystkie rozgwa-
 Przemaga krzyk natchniony czarodziejki starój; [ry,
 Na oczach ociemniałych błysnął wyraz wściekły,
 Włosy się najeżyły, a usta zapiekły;
 Nic nie widzi, nie słyszy, chyba w głębi ducha,
 Tylko ostatkiem głosu straszną pieśń wybucha.
 Skinęła — ustał rozgwar — znów cisza grobowa.
 Stos pali się powoli — już tylko połowa;
 Ogień jaśniej i równiej oświeca sklepiska.
 Wróżka garściami żywicę do płomieni ciska;
 Wybuchnął żwawszy ogień, dym rozwiął się smolny,
 I zagrzmiało z daleka — przestрах mimowolny
 Ogarnął serca Litwy, upadli na twarze.

Marti trąbom na nowo odezwać się każe,
 I mierzonemi takty z całej siły krzyczy:
 — „Poklusie! czarnych piekieł boże tajemniczy!
 „Ublągany, czy groźny, w płomieniu, czy w gromie,
 „W pośród twójego ludu objaw się widomie.
 „Powiedz: za co nam pomstę zapowiadasz nieba?
 „Jakiéj dla cié ofiary, czyjéj krwi potrzeba?
 „Wskaż na kogo uderzyć, daj mordercze hasło!“
 Umilkła... dopalone ognisko przygasło;
 Więc bierze garście siarki i na węgle rzuca,
 A jak gdyby wołanie zerwało jéj płuca,
 Padła pierśmi na ziemię i w prochu się tarza.
 A ze stosu, co płonie, węgli się, rozżarza,
 Buchnęły kłęby dymu, buchnął płomyk sini,
 I trupi blask uderzył po ciemnéj jaskini.
 Znowu grom wstrząsnął gmachem z potęgą olbrzy-
 [mią...
 Cudo!! z siarczystych kłębów, co ze stosu dymią,
 Ukazało się bóstwo! tak straszliwéj twarzy,
 Jak tylko senna zmora w gorączce wymarzy!
 Postać naga, koścista, włosata, brodata,
 A ze źrenic spojrzenie jak płomień wylata,
 A na czole, na ustach i na wzdętém łonie,
 Trzęsie się dzika groźba, gniew straszliwy płonie.
 Była cisza — bo ludzie upadli bez siły,
 Zdaje się wszystkie piersi oddech przytąiły.
 Tylko Margier nie klęknął, choć twarz jego pała,
 Choć znacznie, że bożyszcze na serce mu działa,
 Nie spuścił nawet oka — oczami mężnemi
 Zmierzyli się bóg piekieł i bohater ziemi.
 Ale ognek siarczysty gaśnie, dogorywa,
 I nadziemskie widziadło z dymem się rozplywa.

Wróżka powstaje z ziemi i ogień roznieca;
 Poklus zniknął z podziemia — tylko twarz kobieca
 Pobladła, posiniała, jakby konająca,
 Zwraca się ku ludowi — i z piersi wytrąca
 Słowa ciche, powolne, jak gdyby kaskada,
 Jak strumyk, co do Wilii z gór Ponarskich spada:
 — „Poklus objawił wolę... drżyj, książę Margierze!
 „Nad baszty twego zamku wnet chmura się zbierze.
 „Chowasz dziecię z krwi obcej, co Litwę wyniszcza.
 „Własna krew przygotuje płomienie i zgłiszcza,
 „Które dom twój zagubią — zagubią cześć bożą,
 „Wrogom bramę do Litwy na oścież otworzą.
 „Nie ukoisz inaczej wyroków srogości,
 „Chyba krwią pacholęcia, co w twym domu gości.
 „I nie dalej, jak jutro w północnej godzinie
 „Niech krew młodego jeńca na ołtarz popłynie,
 „A ciało jego spalić w ofiarniej požodze,
 „A proch rzucić na wiatry przy rozstajnej drodze!”
 Tak mówiła wróżbiarka znękana i blada,
 Słania się wysiłona i na ziemię pada.

IX.

Margier rycerskie czoło uchylił w pokorze:
 Szanuje wiarę ludu i wyroki boże.
 Puścić wolno Ransdorfa książę miał w zamiarze;
 Lecz wyższy obowiązek poświęcić go każe.
 Czy bogowie zaprawdę pragną krwi młodziana,
 Czy się tylko nań sroży wróżka zagniewana,
 Zawsze zgon Krucygiera w ostatecznym kresie
 Znakomite dla Litwy owoce przyniesie:
 Bo ku bogom rodzinnym więcej wiary doda,

A w tój wierze dla Litwy siła i swoboda,
 Bo na serca litewskie wciąż działać należy,
 Jątrzyć wieczną nienawiść dla pruskich rycerzy,
 To do śmiertelnój walki posłuży najlepiej,
 I miecze zahartuję, i serca pokrzepi.
 Margier westchnął, i kazał kapłanom, ludowi,
 Aby jutro stanęli do ofiar gotowi,
 A on sam, wierny bogom, jak wróżbiarka radzi,
 Niemieckiego rycerza pod cios przyprowadzi.
 Lecz dodał: — „Kiedy człeka pod topór już kładniem,
 „Nie wolno po zbójceku urągać się nad nim.
 „A biada temu z Litwy i śmierć jego głowie,
 „Kto rycerza znieważy, albo kto mu powie,
 „Jaki nań zapadł wyrok — niech ma spokój we śnie.
 „Na co wieścią złowrogą zabijać przedwcześnie?
 „Nie masz korzyści bogom, ani Litwie gwoli,
 „Że ktoś w męczarniach ducha cały dzień przeboli!“
 Taki rozkaz wydawszy, pokłon bogom czyni
 I z pochmurném obliczem wychodzi z jaskini.

X.

— „Straszne są bogi Litwy, którym hołdy święcę!
 (Mówiła młoda Egle załamując ręce)
 „Jakie dzikie wyroki... jak przemocne prawa
 „Bóztwa, co żyje śmiercią, a krwią się napawa!...
 „Czyż dla zbawienia Litwy potrzebna jest zbrodnia?
 „Na co im krew niewinna obcego przychodnia?
 „Czy przeto wzniosą wielkość i potęgę swoją,
 „Kiedy ludzi na ludzi w nienawiść uzbroją?
 „Srogi Poklus — gdy z ojca chce czynić zbrodniarza,

„Brzydka Marti — gdy takie wyroki powtarza...
 „Co im szkodzi ta głowa? zabijać ją... po co?
 „Czy w niej całą potęgę krzyżacką zgruchocą?
 „A może ta dziecina, taka dzisiaj młoda,
 „Kiedyś rękę Litwinom przyjacielską poda,
 „I powstrzyma nieprzyjaźń, co dwa ludy plami,
 „I złączy swoje bogi z naszymi bogami...
 „Nie, Marti, czarodziejko! próżna twa podmowa!
 „Na inszą krew niech Poklus pragnienie zachowa.
 „On nie umrze... przysięgam! że nie umrze wcale;
 „Ja go mojem ramieniem zasłonię, ocalę,
 „Ja wezmę miecz ojcowski — znacie miecz Margiera!
 „On nie chybi w zamachu, on pancerz rozdziera,
 „On w rozpaczliwych rękę — biada waszej głowie,
 „Kapłani i wróżbici i sami bogowie!..
 „Ja bluźnię waszej sile i waszej dobroci...
 „Jutrzni! której blask święty na niebie się złości,
 „I ty, który mię słyszysz, święty wietrze wschodni,
 „I wy, bogowie niebios i ziemni i wodni,
 „I ty krwawy Poklusie, co zatrząsas piekła,
 „Przebaczcie nieszczęśliwej, co w żalu wyrzekła,
 „Ocalcie niewinnego z pod oprawcy młota,
 „Ja wam ołtarz zbuduję, dam srebra, dam złota,
 „Dam krwi mojej na ołtarz!“

Tak bolem złamana,

Biedna Egle ze łzami pada na kolana,
 Wzrusza niebo rozpaczą, miękczy przez pokorę,
 Nie ukrywa przed sobą, co w jęj sercu gore.

XI.

Było jeszcze nad rankiem — daleko wschód słońca.
 Na wale, gdzie klęczała Egle bolejąca,

Niewidziany, chcąc użyć porannej pogody,
 Siedział w myślach posepnych Lutas siwobrody.
 Wysłuchał jój bluźnierstwa, modlitew, rozpaczy,
 I z razu nie pojmował, co to wszystko znaczy;
 Lecz zrozumiał... popatrzał... i z oczu mu znaczo,
 Że przebaczył dziewicy jój miłość dziwaczną.
 On sam dumał boleśnie nad Ransdorfa losem.

— „Słuchaj córko Margiera — rzekł do niej półgłosem —

„Bądź mężna — niech się twoje męczarnie ukoją,

„Podśluchałem bolesną tajemnicę twoją.

„Czyś powinna pokochać wroga twojej wiary?

„Niebu tylko wiadomo — jam za nadto stary,

„By sądzić wedle siebie dusze młodociane;

„Albo w boleściach serca dać balsam na ranę.

„Może i prawdę rzekłaś: za lepszych dni świata

„Może miłość dwa ludy niezgodne pobrata,

„Dla Litwy i dla Niemca będzie Bóg jednaków;

„Ja nie chcę tego dożyć — nie cierpię Krzyżaków.

„Ale całą nienawiść, co móm sercem miota,

„Chciałbym dowieść toporem lub ostrzem brzeszczota,

„Jak dawniej, gdy truchleli na blask mojej zbroi...

„Ej, pomarli, pomarli towarzysze moi!

„Oniby powiedzieli, niechaj grób ich powie:

„Czy doznali méj ręki niemieccy wrogowie?

„Lubiłem krew ich sączyć — i dziś, gdyby siła,

„Jeszcze stara nienawiść w piersiachby odżyła;

„Ale to z równą bronią, gdy do walki zową,

„Lecz brzydzę się morderstwem nad bezbronną głową.

„Wiem, że własnej srogości pożałujęm sami,

„Gdy pamięć takich mordów naszą cześć poplami.

„U mnie droga cześć Litwy, jam chlubny jój chwałą:

„Trochę się za nią potu, trochę krwi wylało,

„Zwyczajnie stary żołdak, co mam, tém się drożę.
 „Inaczéj o tém myślą ofiarniki boże;
 „Oni helmu nie dźwigną, pod mieczem nie staną,
 „Im trzeba wieść przed oltarz ofiarę związaną,
 „By swą wściekłość pobożną wywarli do syta!”
 Tak mówił stary Lutas, i zębami zgrzyta,
 I żelazną prawicą uderza po czole.
 „Nie!! przysięgam na bogów! że ja nie pozwolę,
 „Aby zginął bezbronny — jak wróżka wymaga —
 „Młodzian, któremu z oczu iskrzy się odwaga,
 „Którego kiedyś w boju obaczą Litwini,
 „A którego pokonać — to chluby przyczyni!”

XII.

Lutas to z wolna gwarzy, to już w zapał wpada,
 A Egle zapłakana, nieprzytomna, błada,
 Przypada mu do kolan i błaga przyjaźni:
 — „Ocal, szlachetny starcze! ocal go od kaźni!
 „Obaczysz... będzie mężny, jak tyś był za młodu,
 „Będzie druhem wieczystym naszego narodu,
 „Jego nikt nie zwycięży, on wszystkich pokona!”
 Lutas gorzko się zaśmiał: — „Szalona! szalona!
 „Szkoda mi twój miłości, szkoda twój rozpaczy...
 „Któż wie, na co go niebo dla Litwy przeznaczy!
 „Może na czele hufców znowu tu się zjawi
 „Dopuszczać się za Niemnem morderczych bezprawii,
 „Zapalać nasze chaty, pastwić się nad dziatwą...
 „Ha! ale Litwa chrobra nie podda się łatwo!”
 Starzec westchnął... podumał i coś szepce do niej;
 Spłakana twarz dziewicy radością się płoni;

On wskazał ku niebiosom, ku niemnowej fali,
 Snadź przyrzeka nieszczęsnej, że więźnia ocali.

XIII.

Słońce wieki płynęło po niebios obszarze.
 Niepokój wszystkie w zamku wypiętnował twarze:
 Margier smutny, ponury słowa nie przemówi;
 Egle od ranka patrzy wciąż ku zachodowi,
 Jakby mierzy od słońca niebiosów błękity,
 By się skończył dzień długi — och! dzień nieprzebyty;
 Lutas potrząsa głową, sam ze sobą gwarzy;
 A niewiasty i dzieci, młodzieńcy i starzy
 Krzątają się po zamku, patrzą na Krzyżaka,
 I niejedno spojrzenie, jak zła wróżba jaka,
 Zatrzymało się na nim — lecz w ciżbie prostaczéj
 Rzadko wyraz niechęci, częściej łzę obaczy.
 I dziwi się pacholę, co się w zamku stało?
 Czemu wszyscy nań patrzą boleśnie, nieśmiało?
 Czemu z dala go mija litewska gromada,
 A żaden nie pozdrowi, słowa nie zagada?
 Zresztą, mało go troszczy ich trwoga nieznaną;
 O jedno chciałby spytać: dla czego dziś z rana,
 Wedle swéj pobożności, wedle obyczaju,
 Nie szła córka książęca do świętego gaju?
 Och! nie tak węże z gaju upragnione mleka,
 Jak on spojrzenia Egli — czy przed nim ucieka?
 Czy odgadła płomienie, co mu w duszy gorą?
 Czy może zatrudnioną, czy może jest chorą?
 Czy może dziki Litwin — o biada mu biada! —
 Nadniemnowéj bogini swe ofiary składa?

Ransdorf na takich myślach przebył dzionek boży,
I on cierpiał — któż zgadnie? może cierpiał srożej;
Bo biedne młode serce, kiedy w niém zagości
Szatan niedowierzania lub piekło zazdrości!

XIV.

Słońce zaszło... Na wałach, o wieczornój porze,
Jak zwykle — Ransdorf marzy... a tam ostrzą noże,
Gotują stos ofiarny, rozpalają płomień.
Ściemniało... postać w bieli zbliża się widomie;
Krzyżak oko wyteżył... to postać niewiasty
Skrada się po za wały, po za dzikie chwasty;
Przybliża się... to ona przed jeńca oczyma...
Pokraśniała... chce mówić, lecz oddechu niéma —
Zdo była się na słowo: — „Cudzoziemcze młody!
„Uchodź ztąd... uchodź prędko... złamane przeszkody,
„Ułatwiona ucieczka... przez Niemen... po błoni...
„Uciekaj nieszczęśliwy! śmierć za tobą goni!”
I chwyta go za rękę, i jak młode sarnię,
Bieży z wału — to dzikie zarośla odgarnie,
To przeskoczy przez kamień: — „Śpiesz się, śpiesz,
Aż serce jój kołace, aż oddech ustanie, [młodzianie!”
A oczy jój tak iskrzą, jakby słońce we dnie,
A lice to skraśnieje, to znowu poblednie;
Ransdorf tuż za nią dąży, lecz zgadnąć nie zdoła,
Jaką śmiercią mu grozi i dokąd go woła;
Jedno tylko rozumie: że tak dni i lata
Leciałby z nią i leciał aż na koniec świata.

XV.

Nad błon, pod starą olchę biegli zadyszani.
Tutaj Lutas ich czekał u brzegu otchłani:

Bo już odwalił kamień z pod olchy korzeni,
 A loch nieogarnionój dalekiój przestrzeni
 Ukazał się ich oczom. Tu się Lutas spuścił,
 Jak do ciemnej i strasznej piekielnej czeluści,
 I zawołał: „Ransdorfiel chwila uroczyła!
 „Przysięgniej na twych bogów, przysięgniej na Chrysta,
 „Że choćby przyszło płacić życiem lub swoboda,
 „Nie odkryjesz nikomu, gdzie te lochy wiodą!
 „Tam już w zamku spragnieni widzieć krwi twój fale
 „Ja przysięgłem ocalić, ja ciebie ocalę.
 „Temi lochy do Niemna droga niedaleka,
 „A przy Niemnie twój rumak i łódka cię czeka,
 „A przez Niemen do swoich dostaniesz się snadno.
 „Lecz przysięgniej nie wydać przed potęgą żadną
 „Tajemnicy tych lochów!”

Ransdorf ugiął szyję:

— „Przysięgam na Chrystusa, na świętą Maryję!
 „Rycerz Krzyża statecznie tych przysięg dochowa.
 „Egle! szlachetna Egle! bądź zdrowa! bądź zdrowa!
 „Wspomnij czasem Ransdorfa, o dziecko swobody!
 „Weź ten krzyżyk — to Bóg mój!”

I Krucygier młody

Wskoczył do lochu, poszedł kędy Lutas każe.
 A Egle pozostała przy ciemnej pieczarze,
 Odetchnęła swobodnie, zapłakała rzewno,
 I bada fale Niemna źrenicą niepewną,
 Aż wiatr zimny ochłodził gorące oblicze,
 A z zamku doleciały śpiewy ofiarnicze.

PIEŚŃ TRZECIA.

I.

W Malborga wielkiej sali zbiera się obrada.
 Dwudziestu czterema okny blask słoneczny wpada
 Na kamienną podłogę, na gotyckie ściany
 I na orszak Krzyżaków gromadnie zebrany;
 Złoci ich białe płaszcze, zaiskrza się, pali
 Na hartownych pancerzach, na hełmach ze stali.
 A wszyscy niemal bracia jednakięj urody,
 Jednak noszą płaszcze, pancerze i brody,
 Jednostajna nad hełmem rozwiewa się kita;
 Tylko na każdym licu inna myśl odbita.
 Owdzie twarz siwobroda, znojem ogorzała,
 Rozognionym rumieńcem bohatersko pała;
 Owdzie lica wybladłe, pieszczone jak cacko,
 Uśmiechem zalotności, swobodą hulacką
 Odnaczają czcicieli Bacha i rozpusty;
 Insze zasię oblicza, z zaciętymi usty,
 Ze spuszczoną źrenicą, poczerniałe, chude,
 Znaczą dziki fanatyzm lub świętą obludę.
 Ale na żadnym czole i na żadnej twarzy
 Piętna cnot chrześcijańskich spotkać się nie zdarzy:
 Bo kościelni rycerze zapomnieli ninie
 Wzoru swych patryarchów, którzy w Palestynie
 Niesli chorym w szpitalach ratunek najżywszy,
 Albo świętej Maryi swój miecz poślubiwszy,
 O głodzie i o chłodzie w Chrystusowe imię
 Zabezpieczali w stepach gościńce pielgrzymie;

Od nich miał wspomóżenie ubogi i słaby,
 Gdy o zebranych chlebie walczyli z Araby.
 Dzisiaj nad grobem Pańskim już nie pełniąc warty,
 Usiadł mnich na książęcej stolicy rozparty;
 Wypróbowałszy miecza na świętej posłudze,
 Zatopił cheiwe szpony w posiadłości cudze,
 A nad sąsiednią Litwą, Prusakiem i Lachem
 Wywiera swoje wpływy krzyżem i postrachem.
 Nienasycona żądza, nieugięta pycha
 Zagnieździły się w sercu bogatego mnicha;
 Komu ślub przysiężony pokornym być każe,
 Chce potęgą prześcignąć króle i cesarze;
 Potworną jego piersią niespokojnie miota
 Tylko pragnienie władzy, rozkoszy i złota.

II.

Nieskładny gwar rozmowy przebiega po sali.
 Ze wszystkich miast i zamków tutaj się zebrali
 I komtury, i wodze, i kapłani starszy,
 I od króla polskiego posłannik monarszy,
 I z piśmem apostolskiem goniec od papieża,
 I goniec od cesarza: bo rozterka świeża,
 Krzyżowców z królem polskim o miasta i kraje,
 Niemale w chrześcijaństwie trudności zadaje.

Po sali mnoga cizba snuje się i gwarzy.
 Rozmawiają półgłosem komturowie starzy
 O traktatach i jaka należy im wiara?
 O prawie kanoniczném i władzy Cezara,
 I o prawie podbojów co sądzili dawni,
 I jako się trzymana posiadłość uprawni?

Bo dzisiaj z królem polskim spór toczy się żwawy
 O stare posiadłości Dobrzyn i Kujawy.

Zasię młodsza gromada rycerzów i młodzi
 O turniejach niemieckich rozhowor zawodzi,
 Wenecką karacena lub mieczem się szczyci,
 Wychwała oczy dziewie i kształt ich kibici,
 Śmieje się hucznym śmiechem, przechwała w bezwstydzie,
 Albo nóci rozkoszne piosnki o Cyprydzie.

III.

Wtém weszli heroldowie poważnie do sali,
 I przybycie wielkiego mistrza obwołali.
 Ucichnął szmer, i wielkie otwarto podwoje,
 I starzec wynędziały przez trudy a znoje,
 Ubrany w płaszcz i pancerz jak rycerze prości,
 Wszedł poprzedzon znakami swojej dostojności:
 Wielkim krzyżem i mieczem. Ukłonił się braci,
 I wszyscy się skłonili w pokornój postaci;
 Skinął i wedle stołu zasiadł tron monarszy.
 Poklękli obok mistrza komturowie starszy,
 I zakonny kapelan z cicha a pomału
 Począł mówić modlitwę wedle rytuału,
 Prosząc Ducha Świętego, który serca świadom,
 By udzielił natchnienia krzyżackim obradom.
 Gorzkie urągowisko! bo Świętego Ducha,
 Bozkich natchnień od dawna Krzyżactwo nie słucha,
 A Duch Pański nie gości w mordach i poządze,
 Nie udziela porady na bezbożnych drodze.

Od czasu jak go mistrzem obrała gromada,
 Teodor z Altenburga już siódmy rok włada,

Więcej duchem marsowym niżli bożym plonie
 I chwałę bojowniczą pomnożył w zakonie.
 Ale szczęściem wojenném próżno się zasłania,
 Kto karty historyczne swego panowania
 Przed obliczem obecnych i potomnych ludzi
 Obryzga krwią niewinną lub zdradą zabrudzi.
 Potężny wielki mistrzu, hrabio Teodorze!
 Twój wawrzyn bohaterski niewielec pomoże:
 Kto rozlał krew niemowląt, co pod Gnieznem płynie,
 Kto w Kaliszu odzierał Chrystusa świątynie,
 Kto w kłęsce chrześcijaństwa swoją wielkość kładnie,
 Kto zmwę z Szamotulskim zaprowadził zdradnie,
 Kto ośmielił Sarmatę (o zbrodni nieznana!)
 Zaprzedać kraj rodzinny i swojego pana —
 Próżno w laury wojenne przyozdabia głowę,
 Przeklęctwo nań współczesne, przeklęctwo dziejowe;
 A z téj klątwy ni Cezar, ni książe Rzeszy,
 I choćby chciał rozgrzeszyć — papież nie rozgrzeszy.

IV.

Ukończono modlitwę — poczęta obrada.
 Wielki mistrz na swym tronie książęcym zasiada;
 Siedli panowie radni na dębowej ławie;
 A szlachetne rycerstwo stanęło ciekawie,
 Otoczone giermkami i orszakiem pazi,
 Czekając, co król polski przez posły wyrazi,
 Czy z pokojem, czy z wojną do mistrza przybywa
 Sławny rycerz z Melsztyna, Jan herbu Leliwa.
 U wchodowych podwojów zaciągnięto strażę;
 Mistrz rycerstwu w półkole szykować się każe.

Słychać tętent rumaków przed bramą na moście,
 Słychać łoskot w dziedzińcu — przybywają goście.
 Wrzasła trąba heroldów, aż zadrgały ściany,
 I mężny Leliwita jak na bój przybrany,
 Otoczony gronem giermków i sarmackiej młodzi,
 Ze spuszczoną przyłbicą na pokoje wchodzi, —
 I przeciąga przez salę pochód uroczysty.
 Poseł idzie k'mistrzowi, podaje swe listy,
 I odkrywa przyłbicę i dumnie się kłania.
 Znać rycerską swobodę z tego powitania,
 Z mężnej twarzy i z oka, co na wskroś przenika,
 Wyczytać wielkie serce w piersiach posłannika:
 Że król jego potężny, że kraj jego kwitnie,
 Że nie przychodzi o nie błagać czołobitnie.
 Spojrzał po całej sali, po całej gromadzie,
 I na rękojeść miecza dłoń rycerską kładzie,
 I w takowej postawie stanąwszy z daleka,
 Muskając sute wąsy, na odpowiedź czeka.

V.

Polskiej ziemi króluje od dwóch lat bez mała
 Kazimierz, co go Wielkim potomność nazwała,
 Dzielne plemię Łokietka w cześć ludzką urasta,
 Panując nad wszystkimi dzielnicami Piasta.
 Z młodu przy boku ojca z wojną obeznany,
 Wsławił się pod Dobrzynem, zdobywał Kościany;
 Krzyżacy go doznali jeszcze z tamtej chwili
 I pana sarmackiego nie lekceważyli.
 Lecz wiedząc, że Łokietek nie wskrześnie z mogiły,
 A młodego orłęcia jeszcze słabe siły,

Podnieśli hardą głowę mnisi wiarołomni:
 Bo któż się za bezprawia rachunku dopomni?
 Bo w Krakowie niewiasta i pacholę władą,
 Kilku starców zgrzybiałych w obradzie zasiada;
 A ościenni książęta, patrząc zazdrośnie,
 Cieszyli się, że Polsce nieprzyjaciel rośnie,
 I sprzyjali Krzyżakom z niechęcią dla Polski
 Król węgierski, król czeski, cesarz apostołski,
 Słowem wszyscy panowie chrześcijańskiej ziemi,
 Wszyscy przeciw Sarmatom — a któż był za niemi?
 Jakiego sprzymierzeńca mieli na widoku?
 Tylko Boga, co w niebie, i miecz, co przy boku!

VI.

Mistrz pisanie królewskie przeczytał i chowa,
 A poseł w te ku niemu odzywa się słowa:
 — „Dostojny wielki mistrzu i wszyscy rycerze!
 „Pan i król mój przezemnie pozdrawia was szczerze,
 „I prosi Pana Boga chrześcijańską modłą,
 „Aby wam w lasce Jego fortunnie się wiodło.
 „Przyczém wam przypomina o świeżym traktacie,
 „Że Dobrzyń a Kujawy nieprawnie trzymacie,
 „Że za starego króla zbici pod Płowcami,
 „Gdy warunki przymierza podaliście sami,
 „Gdy zakon pokonany miłosierdzia zebrze,
 „Mielście tysiąc grzywien opłacić we srebrze.
 „Gdzie skutki tych przyrzeczeń, opisów, umowy?
 „Gdzie wiara utwierdzona rycerskimi słowy?
 „Gdzie kapłańska uległość wyrokom kościoła?
 „Kiedy spełnicie rozkaz, co nuncyusz woła,

„I co papież potwierdził w apostolskim liście?
 „Król i pan mój rozkazał spytać uroczyście.
 „Oto wasi żoldacy, jakby horda dziczy,
 „Zakłócają spokojność naszych pograniczy;
 „Po miastach i po wioskach trwoga się rozniosła,
 „Rolnik odbieżał pługa, mieszczanin rzemiosła,
 „Pozabierane trzody, spustoszone zboże,
 „Czyż król na tyle klęski nieczułym być może?
 „Niedarmo jego barki purpura osłania,
 „Niedarmo jego czoło gwoli królowania
 „Namaścił arcybiskup oliwą chryzmatu,
 „I przypasał do boku miecz wiadomy światu,
 „Miecz Chrobrych, Krzywoustych nie darmo zadzwoni,
 „Świeżo jeszcze w Łokietka zahartowan dłoni.
 „Krzyżacy! ostrze jego oświetlone chwałą,
 „Od płowieckiej potrzeby jeszcze nie stępiało!
 „Ale pan mój szanując powołanie wasze,
 „Nie pierwój wdzieje pancerz i miecz swój przypasze,
 „Chyba że wasza pycha otwarta widocznie
 „Wyroki apostolskie lekceważyć pocznie.
 „Oto świeżo obleczon w poselstwa zaszczyty
 „Jan ze Słupca, krakowski biskup znakomity,
 „Jeździł w imieniu króla w apostolskie progi,
 „I przekładał uciski, morderstwa, pożogi,
 „Wszystko, czémeście Polskę krzywdzili zdradziecko,
 „Odkrył Głowie kościoła, jako ojcu dziecko.
 „A ojciec chrześcijaństwa usłuchał wołania,
 „I ku naszym uciskom swoje ucho skłania,
 „I odprawę posłowi miłościwą daje,
 „I szle swoich legatów na północne kraje.
 „Posłanniki papieża, jak sędziowie czuli,
 „Piotr prałat aniceński i Gerard z Tituli,

„Umocnieni powagą i zupełną władzą,
 „Żaloby wysłuchają i wyrok wydadzą,
 „Dopomną się krzywd Polski na waszym zakonie
 „I powrócą zabory uciśnionej stronie.
 „Już tedy ci legaci do Polski przybyli,
 „I z ramienia papieża wydają w tej chwili
 „Rozkaz, byście stanęli dla słuchania sprawy,
 „Do stolicy Mazowsza, do miasta Warszawy,
 „Gdzie na dniu pierwszym sierpnia zasiądą w urzędzie
 „I sąd nuncyatury przywołany będzie.

„A Kazimierz, król polski, z uprzejmymi słowy
 „Przysłała wam zapozew na termin sądowy,
 „Abyś sam, wielki mistrzu, lub przez towarzysze,
 „Stanął na czas i miejsce, jak w tych liściech pisze.
 „Tam niechaj nas rozsądza sprawiedliwość boża.
 „A mistrz w prawie uczony, Bartold z Raciborza,
 „Wyluszczy naszą sprawę dokładnie i szczerze,
 „I obrony wysłucha, i wyrok odbierze:
 „Bo przyjmujemy chętnie z uchyleniem czoła
 „Wszelki wyrok od Głowy widomej Kościoła.”

VII.

Rycerz skończył poselstwo — a wielki mistrz mówi:
 — „Szlachetny Leliwito! odpowiedz królowi,
 „Że się sądy rycerskie odbywają krwawo,
 „Że trąba bywa woźnym, a bardysz rozprawą,
 „I żeśmy nie przywykli staroświeckim torem
 „Trudzić Ojca świętego marnym rozhoworem.
 „Lecz jeśli taka wola, niech zadość się stanie,
 „I dwa bitne narody, jakby dwaj mieszczanie,

„O kawał spornój miedzy, o niedobre słowo,
 „Pójdziem do pana wójta na sprawę sądową.
 „My wypełnimy wszystko, co papież rozkaże:
 „Niech zatargi rycerskie sądzą bakałarze,
 „Nasz zakon, jak posłuszne kościołowi dziecię,
 „Przyjdzie na czas i miejsce, jako wskazujecie.
 „I w cesarskiem i w bozkiem prawie wyćwiczony
 „Ojciec Jakób z Arnoldu stanie z naszej strony,
 „Będzie przekładał prawa, na których my stoim,
 „A które obelżywie nazwałeś rozbojem.
 „Lecz nie myślcie, Polacy, że sąd jaki zdola
 „Uszczuplić posiadłości Pańskiego kościoła;
 „Co dzierżym w imię boże, albo prawem miecza,
 „To nam kościół zapewnia, cesarz zabezpiecza:
 „Bo wszystkimi krajami chrześcijańskiej ziemi
 „Władza cesarz niemiecki z prawami swojemi,
 „I ja mnich w mój pokorze, i twój król w swęj chwale
 „Jesteśmy tylko jego pokorni wassale.
 „A Dobrzyń i Kujawy, Prussy i Pomorze,
 „Co się wzięło na Litwie walcząc w imię boże,
 „Kraje nadane dawniej lub zdobyte świeżo,
 „Nie do nas, lecz do władzy cesarskiej należą.
 „A gdy cesarz do siebie należące kraje
 „Kościółowi bożemu wieczyście nadaje,
 „My pokorni szafarze, służebnicy prości,
 „Nie mamy praw uszczuplać kościelnej własności.
 „A ktoby coś zamierzył lub działał w tym względzie,
 „Wedle świętych kanonów niech wyklęty będzie,
 „A na kogo włożono takie anathema,
 „Nawet w mocy Piotrowej rozgrzeszenia nie ma.
 „Dochować wam przyjaźni trwam w ciągłym zamiarze;
 „Ale moje sumienie jeszcze więcej waże.

„Nie chcę, aby mi kłątwa ciążyła nad głową.

„Rycerzu Leliwito! masz ostatnie słowo.”

Umilknął — twarz rycerza szlachetna i śmiała

Z oburzenia pobladła i znowu skraśniała;

Na rękojeść szablicy oparta dłoń posła

Ścisnęła się gwałtownie, jak gdyby przyrosła

Do srebrnej rękojeści — jakby jednym razem

Miała błysnąć przed oczy hartowném żelazem.

Ale Jasko z Melsztyna, posiwiały w radzie,

Pamięta, że poselstwo obowiązki kładzie,

Że temu nie przystoi okazać gniew żywy,

Kto przychodzi z pokojem i różeczką oliwy;

Więc chociaż oburzony aż do głębi ducha,

Choć mu gniew pała w oczach i z twarzy wybucha,

Odpowie cichym głosem, z łagodną postawą:

— „Szlachetny wielki mistrzu! czy oręż, czy prawo

„Ma dochodzić słuszności—ja się tém nie trudnię;

„Lecz po co imię boże wspominać obłudnie?

„Czy kościół Chrystusowy wspomagać należy

„Owoce wiarołomstwa lub chciwój łupieży?

„Król polski, panujący w potędze i chwale,

„Nie liczy się pomiędzy cesarskie wassale;

„A jeśli, jak mu każe Chrystusa nauka,

„Przez pobożność w podwoje apostolskie puka,

„Wy się przeto nie karcicie daremną otuchą,

„Że miecz jego do pochew przyrosnął na głucho.

„Dziś przybyłem na sprawę wezwać zobopólną,

„Dziś rękawicy boju ciskać mi nie wolno;

„Lecz gdy króla mojego wywołacie zgrozę,

„Insze może poselstwo w te mury przywiozę.“

VIII.

— „Przyjmiemy was, przyjmiemy, rycerzu z Melsztyna“

„Spełnim, czego się po nas wasz król dopomina;
 „W świętej kościelnej sprawie za pierwszym wołaniem
 „Czy orężem, czy piórem do rozprawy staniam:
 „Kto jest bożym rycerzem, tego w żadnej chwili
 „Ni prawo nie pokona, ni miecz nie omyli.“
 Rzekł Rudolf książę saski z komturów najstarszy,
 Zalecony orężem i ze krwi monarszej,
 Co mu w piersiach płynęła — Krzyżacy go zową
 Starogo Altenburga ramieniem i głową,
 A raczej zwaćby duchem nienawistnym w radzie,
 Co złe myśli do głowy i do serca kładzie.
 — „Bóg — odrzekł Leliwita — Bóg słuszność wymierzy,
 „Bóg wskaże kogo uznał za swoich rycerzy,
 „Kto cześć Jego imienia pielęgnuje lepiej,
 „Kto świętą Jego wiarę obszerniej zaszczepli.
 „Tymczasem, wielki mistrzu, starszyzno i wodze,
 „Spełniłem rzecz poselstwa w polubownej drodze;
 „Czyńcie jak wasza wola, jak wasza uwaga.
 „Król mój pragnie pokoju, ale go nie błaga.
 „Chcecie wojny toć na was upadnie jej wina.
 „Bóg was żegnaj, Krzyżacy!“

I Jasko z Melsztyna
 Otoczony gronem giermków i sarmackiej młodzi
 Ze spuszczoną przyłbicą z komnaty wychodzi. —
 Za nim szmer dał się słyszeć — mężny Leliwito!
 Wzbudziłeś niechęć jawną, ale cześć ukrytą:
 Bo cnota i w występny znajdzie holdownika,
 A szlachetna odwaga i wrogów przenika;

Czy idzie z mieczem boju, czy z różczką przymierza,
Wróg nienawidzi wroga, lecz uczi rycerza.

IX.

Za posłem wyszła młodszych Krzyżowców drużyna.
Wielki mistrz ze starszyzną radę rozpoczyna.

—„Złe wieści!—rzekł po chwili—nieprzyjemna sprawa!

„Powiedz książę Rudolfe, jak ci się wydawa:

„Czyliż przed całym światem mą słabość obwieszczę?

„Oddam Dobrzyn, Kujawy, i opłacę jeszcze?

„Co powie chrześcijaństwo i wszyscy mocarze,

„Jeśli wolę papieża marnie zlekceważę?

„Kędy obrócę oko, naokoło baczę,

„Dokoła słyszę zawiść na szczęście krzyżaczę,

„Że my zbieramy kłosa, kiedy inisi chwasty;

„I byle tylko skinął Benedykt Dwunasty,

„Wnet od Gallów, Brytanów, ze wszystkich stron

[świata,

„Na krzyżowych rycerzów spadnie krucyata.

„Żartuję z klątw papieża, ale ich się boję.

„Mów, książę, jaka rada? jakie zdanie twoje?“

—„Wielki mistrzu!—rzekł Rudolf—krótka moja rada:

„Po za mury kościoła ukryć się wypada,

„I przez ojca Arnolda oświadczyć królowi,

„Że jest świętém co własność kościelną stanowi,

„Że Dobrzyn i Kujawy są już w ręku bożém,

„Że my pod ciężkim grzechem wrócić ich nie możemy;

„Niech je odbiera siłą, to sam się ugmatwa.

„A iż się papież gniewa—i tu rada łatwa:

„Niech widzi naszych czynów dowód niezachwiany,

„Że służym chrześcijaństwu, że walcym z pogany,

„A starzec nasze winy rozgrzeszy z rozkoszą.

„Każ mistrzu, niechaj pochód na Litwę ogłoszą.

„Piękne tameczne ziemie, zyskamy je skoro,
 „Może w zamian tych krajów, co Lachy odbiorą:
 „Wiele się w Litwie zyska a mało utraci.
 „A kiedy nas przypozwą papieżcy legaci,
 „Nie będziem mogli stanąć mimo szczerych chęci:
 „Bośmy świętą wyprawą na Litwie zajęci.
 „Papież skargi Polaków poczyta za baśnie,
 „I z opoki Piotrowej jeszcze nam przykłaśnie.
 „Skończyłem.“

—„Wielki mistrzu! co się do mnie ściąga—
 Mówił z kolei komtur Fryderyk z Elbląga—
 „Dzielę księcia Rudolfa doświadczone zdanie:
 „Pragnę widzieć nad Litwą nasze panowanie,
 „Pragnę poniżyć rogi sarmackiej potędze,
 „I miecza nie poskąpię, i krwi nie oszczędzę,
 „I może się do dzieła przyczynię po trosze,
 „Bo wam z Litwy szczęśliwą wiadomość przynoszę.
 „Gdyśmy obecnę wiosny w naszych sił ogromie
 „I wzdłuż i wszerek po Litwie roznosili płomień,
 „Gdyśmy samego Wilna byli niedalecy,
 „Musieliśmy uciekać z pod małej fortecy.
 „Kiedy Litwa pustkowień stała w jednej chwili,
 „Gdyśmy zboża stłoczyli, wioski popalili,
 „Kiedy pierzchał przed nami cały kraj przeleklej —
 „Na jednym zamku Pullen nasze siły pękły.
 „Pomiędzy wybrzeżami Niemna i Puniały
 „Seciny krzyżowego rycerstwa zostały,
 „A ze stosu ich kości, co się wiatrem bieli,
 „Dotąd jeszcze nie wskrzesła drużyna mścicieli.
 „Ale Margier, dowódca barbarzyńskiej rzeszy,
 „Niedługo się owocem zwycięstwa pocieszy.
 „W tej chwili z jego więzów, na łono swobody

„Przybywa Ransdorf Warner mój dowódca młody.
 „On na polu bojowym kiedy obumiera,
 „Został wskrzeszon do życia staraniem Margiera;
 „Sądzony bogom Litwy pod nóż świętokradzki,
 „Potrafił dziwnym cudem uniknąć zasadzki.
 „Trzymany cały miesiąc w niewoli złowrogięj,
 „On przeznał wszystkie ścieżki, wszystkie zamku
 [drogi:

„Litwini zdadzą twierdzę radzi czy nieradzi,
 „Gdy na pewne zwycięstwo Ransdorf poprowadzi.
 „A gdy się zamek Pullen od Niemna zawładnie,
 „Reszta litewskiej ziemi ukorzy się snadnie;
 „Pęd naszego rycerstwa chyba wstrzymać może
 „Olgierd w Wilnie a Kiejstut na trockim jeziorze.
 „Oto są, wielki mistrzu, z po za Niemna wieści.
 „Kaź, niech trąba litewską wyprawę obwieści,
 „A gdy ziemia litewska nasz sygnał posłyszysz,
 „Ręczę za dobre żniwo krzyżackich bardyszy.
 „Nad pogańską ziemią już się słońce żarzy,
 „Już tam kłosie dojrzałe czeka na żniwiarzy.“

X.

Waleczna Fryderyka i Rudolfa rada
 K'sercu wielkiego mistrza najsnadniej przypada.
 Więc podumał i skinął—i do stopni tronu
 Przybliży się najstarszy chorąży zakonu.
 —„Pójdź, mówi, kaź wyprawę otrąbić przed rzeszą.
 „A chorągiew bojową niech z okna wywieszają,
 „Niechaj w sercu papieża wszelka niechęć usnie,
 „Niech wrogowie nie mówią, że my drzemiem gnuśnie.
 „A kiedy w naszych rękach część Litwy zobaczy,
 „Sarmacki król-pacholę przemówi inaczej,

„Zapomni świetnych bitew, co wygrali starzy,
 „O Dobrzyń i Kujawy spytać się nie waży.—
 „Idźcie z Bogiem, rycerze!“

I powstała tłuszcza;
 Teodor z Altenburga świetny tron opuszcza;
 Sala głuchnie—a tylko, jak rycerstwo życzy,
 Zagrał z malborskich wieżyc sygnał bojowniczy.
 I tłumią się żołdacy chętni do oręża,
 I sławetni miezczanie, i wielebni księża,
 I każdy po swojemu nowinę tłómaczy,
 I każdy zapytuje co ten sygnał znaczy?
 I lecą chyże wieści od grona do grona,
 Że znowu na niewiernych wojna uchwalona.

XI.

Czekając zmiany warty u narożnej wieży,
 O północnej godzinie czuwa trzech rycerzy.
 Światło smolnej pochodni uderza na ścianę,
 Na przyłbice i miecze w rząd porozwieszane,
 I na twarze Krzyżowców siedzących przy stole,
 Na stągiew pełną wina i rogi bawole
 (Bo polubiła w Litwie krzyżacka natura
 Zwyczaj pijania z rogu bawoła lub tura
 I u siebie go chowa). Rozhovor się toczy:
 —„Ransdorfie!—mówił starszy—te pogańskie oczy
 „Urzekły cię, jak widzę, — takiś smutny, blade,
 „Ani do pogadanki, ani do biesiady;
 „Milczysz, jak Harpokrates, wśród naszego wrzasku,
 „Zeskromniałeś na Litwie jak święty w obrazku.
 „Prawdę mówiąc, w więzieniu niewiele słodczyz,

„Głodno i niewygodno, wiadomo wśród dziczy;
 „Ale zresztą... na Litwie spotykales może
 „Stary kowieński lipiec i dziewczęta hoże,
 „A z takimi pociechy i na sercu słodziej,
 „A nawet i w więzieniu przedź czas uchodzi.
 „Litwa—mówcie co chcecie—to kraj niezły wcale!
 „Choć mówi Pismo Święte w którymś tam rozdziale,
 „Że ze wszystkich dóbr ziemskich, ile tylko stanie,
 „Mają prawo pożytku sami chrześcianie;
 „A jednak dziki Litwin, co w Boga nie wierzy,
 „Smakuje stary miodek godny ust rycerzy,
 „A w kraju otoczonym lasami i wodą
 „Rodzą się czarnobrewki, co aż duszę bodą.
 „Ej, Ransdorfie, Ransdorfie! wiem, żeś zawsze gotów
 „Do pełnego puhara i pustych zalotów.
 „Bogdaj nademną gromy Perkuna zawisły!
 „Bogdajbym nic nie pijał oprócz wody z Wisły,
 „Jeżeli nie odgadłem co ci w serce kole,
 „I że po całej Litwie głośne tve swawole!
 „Nie wstydz się.. toż młodości prawa i zasługi.“
 — „Odgadłeś go Wilhelmie — rzekł mu Krzyżak drugi—
 „Pojmała go w swe sieci cypryjska bogini;
 „Ale miłość na Litwie dziwactwa z nim czyni:
 „Po anielsku coś brzęczy w jego sercu struna,
 „Gotów czcić węże święte, kląć się na Perkuna,
 „I nad wszystkie ziemianki, nad wszystkie boginie,
 „Eglę, córkę Margiera, ukochał jedynie;
 „A ślubom swego serca chcąc czynić zadosyć,
 „Ołtarz bogini Egle chce w Malborgu wznosić.
 „A chociaż cały miesiąc pod jój dachem gości,
 „Nic do niej nie przemówił—nie wyznał miłości;
 „Tam samym jój widokiem napawał się z dala,

„A tutaj jój szlachetność, jój piękność wychwała.
 „I słuchaj: już tam było gotowe dlań zgliszcze,
 „Już go miało pożerać litewskie bożyszcze,
 „Kiedy zjawia się Egle, zadyszana, blada,
 „Porywa go za rękę, o śmierci powiada,
 „Uprowadza przez góry, przez tajemne lochy
 „I ocala od zguby—a nasz Ransdorf płochy
 „Tak uczuł bicie serca, taki zawrót głowy,
 „Że kochankę pożegnał tylko czterma słowy,
 „I popłynął spokojnie na litewskiej łodzi.“
 —„A nawet nie uściskał?—och! to się nie godzi!—
 Mówił Wilhelm ze śmiechem—ach! dziecino młoda!
 „Wszak tam krzyżacka grzeczność na pośmiech się
 [poda.

„Jeśli się o tém dowie Rudolf książę saski,
 „Toś już na wieki wieków wypadł z jego łaski,
 „A dowództwo łuczników, coś dostał tak skoro,
 „Wierz mi młody Ransdorfie, zaraz ci odbiorą.
 „Komtur elblązki mistrza oszukał zdradziecko:
 „Wmówił mu, żeś ty rycerz—a ty jeszcze dziecko,
 „Dziecko—bo taka miłość niewiele ci wskóra;
 „Dobra w książce Platona, w pieśni trubadura,
 „Lecz w życiu tyle warta, co w zbroi dziecina,
 „Co włócznia bez żelaza, co puhar bez wina.“

XII.

—„Bracia moi!—rzekł Ransdorf z zapalem i skoro—
 „Poszanujcie uczucia, co mi w piersiach gorą!
 „Czy mnie, com skłonił szyję do zakonnych jarzem,
 „Com już wykonał śluby przed Pańskim ołtarzem,

„Czy mnie wolno otwierać dla miłości łono,
 „Pokochać córkę Litwy, poganę niechrzczoną?
 „Tego nie wiem — lecz w bożem miłosierdziu tuszę,
 „Bo czuję, że ta miłość uswięca mi duszę.
 „Ale za cięższą zbrodnię, za gorszą ohydę
 „Snadź mi Pan Bóg poczyta, że na wojnę idę
 „Jak dowódca łuczników: — czyż postąpię godnie,
 „Wiodąc miecze mordercze, pożarne pochodnie?
 „I rozbijając piersi, zapalając ściany,
 „Gdzie byłem nieprzyjaciół jak brat powitany?
 „Gdzie mię srodzy Litwini przyjęli jak swoi,
 „Gdzie Margier chlebem karmi, Lutas pieśnią poi,
 „Gdzie Egle, bozka Egle zbawia Krucygiera,
 „I rękę mu podaje, i serce otwiera?..
 „Szatan chyba nie człowiek miałby w poniewierce
 „Co najdroższe na świecie: chleb, pieśnię i serce!
 „Niemy! ja kocham Litwę — czyż zhańbię me ramię?
 „Ja mój pancerz podepcę, jak mój łuk połamię,
 „Lecz nie pójdę na wojnę jak zbójca z jaskini.
 „To cóż, że księżę saski dowódcą mię czyni?
 „Ja lękam się... nie tego, że mi złamią szyję;
 „Lecz Margier niewdzięcznika spojrzeniem przebiję,
 „Lub w piersiach pęknie serce, co tak się rozżarza,
 „Albo Bóg strasznym gromem ciśnie na zbrodniarza.
 „Odpowiedzcie mistrzowi, on na to ma władzę,
 „Niech mi życie odbierze — ja Litwy nie zdradzę!“
 Tak mówił młody Ransdorf z rumieńcem na twarzy,
 A w orlich jego oczach aż iskra się żarzy,
 Drga mu serce, jak fala gdy ją wicher wzruszy.
 „Wilhelmie! wara bluźnić uczuciom méj duszy!
 „Choćbyś stokroć był starszy i wiekiem i zdaniem,

„Ciskam ci rękawicę z bojowém wyzwaniem;
 „Choćbys stokroć wprawniejszy do miecza lub młota,
 „Doświadczysz czém jest ramię, którém zapal miota!“

XIII.

Wilhelm wstał i wychylił wina róg bawoli.
 — „Szlachetny zapaleńcze! powoli, powoli!
 „Starszy wskażą ci drogę—tu droga jedyna
 „Rycerza i kochanka i chrześciana:
 „Prowadź przed wojskiem naszym twych łuczników
 [straże.
 „Krzyż albo miecz pod Pullen swe cuda okaże.
 „Kochasz Egle, więc dołóż chrześcijańskiej chęci,
 „Niechaj chrzestne polanie jój czoło uświęci.
 „Zdobądźcie zamek Pullen, wojownicy śmiali,
 „I niech się władza krzyża nad Litwą ustali,
 „A ty z ramienia mistrza będziesz tam jak książę.
 „Papież chętnie twe śluby zakonne rozwiąże,
 „I poczniesz z twoją Egle piękne dni wesela;
 „Ona wskrześnie przez ciebie w imię Zbawiciela,
 „Jakeś przez nią od śmierci doczesnej ocalał.“
 Wilhelm skończył, i znowu róg bawoli nalał,
 I wyszedł: bo już zegar wybił zmianę warty,
 A Ransdorf długo dumał na dłoni oparty;
 Czoło jego chmurnieje, to błysnie pogodą,
 Znać myśli, co weselą, co mu serce bodą,
 Znaczno nadzieję niebian lub zwątpienie ziemian;
 Z aniołem, to z szatanem bawi się na przemian,
 I rzekł cisnąc we dłoniach czoło niespokojne:
 † „W imię niebios, czy piekiel ja idę na wojnę?

„Czy zbawię, czy potępię, czy Litwę czy siebie?
 „Czy się wzniosę w obłoki? czy w przepaść zagrzebię?“

PIEŚŃ CZWARTA.

I.

Urodzona z wyziewów w nadmorskiej krainie
 Straszno gdy czarna chmura swe skrzydła rozwinie,
 A lecąc po niebiosach w niewstrzymanym pędzie
 Z gniewnej piersi straszliwy łoskot wydobędzie,
 I z gniewnej paszczy ciśnie błyskawiczną żmiję,
 A żądlami z piorunów w starą puszcę bije,
 A kędy skrzydłem wionie, kędy okiem błyska,
 Już tam bucha żalobny dym pogorzeliśka.
 Szalony pęd jój lotu gruzami położy
 Czy to chatkę poziomą, czy to kościół boży.
 Ucieka przed nią zwierząt i ptasząt gromada,
 A syn człowieczy blednie i na twarz upada.
 Ale trwożliwiéj Litwin patrzy ku Bałtydzie,
 Kiedy czarny jak chmura huf krzyżacki idzie.
 Nie tyle straszny piorun, co błysk ich puklerzy,
 Nie tyle wściekły wicher spustoszenia szerzy:
 Bo tutaj ani zboże, ni wioski, ni miasta,
 Ni starzec siwobrody, ni krasna niewiasta,
 Ani dziecię w pieluchach, ani mąż we zbroi,
 Nigdzie się nie ukryje, nigdzie nie ostoi.
 Na strzechy mają płomień, a na starców noże,
 Na niewiasty rozpustę i chrzest w imię boże,
 A na mężów litewskich, gdy do boju zową,
 Mają strzelby siarczyste i chytróść wężową.

W imię twoje mordują pustoszą nam niwy,
O! Jezu chrześcijański, jakiś ty straszliwy!

II.

Nad strzechy litewskimi słyhać jęk puhacza:
Oto wojsko krzyżowe po nad Niemen wkracza!
Śmierć liczy pewne żniwo po niedługiej chwili,
Bo rzadko tyle siły Niemcy zgromadzili.
Dziesięć straszliwych hufców ciągnie się koleją,
Dziesięć wielkich proporców nad ich głowy wieją,
O milę ich pancerze migocą się jaśnie,
A przy blasku ich włóczeń błyskawica gaśnie.
Gromem tętnią po błoni rumaków kopyta,
Jękiem piekiel ich trąba wojownicza zgrzyta,
A gdy trąby ucichną, z daleka ich wyda
To piosenka rozpusty, to psalmy Dawida:
Bo tu szatan rachuby i niewiary zimnej
Umie w jedno zespolić bluźnierstwa i hymny.

Wielki mistrz z gronem wodzów i starszyny samój,
W białej szacie jedwabnej ze złotemi lamy —
Przed nim niosą chorągiew wielką, znakomitą,
Na której w białym polu złoty krzyż wyszyto —
On na dzielnym rumaku przodkowanie bierze,
Przy nim jadą przybyli w gościnę rycerze.
Bo niemieckie książęta, hrabiowie, barony,
Jako błędni rycerze przychodzą w te strony;
Bo jedni pięknej chwały, drudzy przygód życzą,
Insi chcą się zapomódz pogańską zdobyczą,
Insi czując za zbrodnie sumienia wyrzuty,
Śpieszą dopełnić słubów lub jakiej pokuty:

Bo w krainte Germana, Brytana i Galla
 Mnich rycerzy do walki z pogaństwem zapala,
 I chętnie rozgrzeszenia każdemu udziela,
 Kto idzie szczepić w Litwie wiarę Zbawiciela, —
 Przynręka, że kto zgasi zniczowe ogniska,
 Ten odpust całkowity i niebo pozyska,
 Zjedna dla się Chrystuta i świętą Maryę,
 Kto sto pogan nawróci albo ich zabije, —
 A więc każdy z bojaków te słowa pamięta
 I w szeregach krzyżackich stawają książęta.
 Dzisiaj belgijski Nemur z ich hufcem się wiąże,
 I mężny Hanneberger, z ponad Renu książę,
 I Ludwik, pan udzielny brandeburskiej ziemi,
 Stają do boju z Litwą z zastępy mocnemi.
 Mistrz ochoczo przyjmuje chrześcijańskich gości,
 Sprasza kruków do Litwy na żer jój wnętrzości,
 Wkrótce z krwawemi dzioby do jój serca wpadną;
 Tylko piersi skalistej rozwalić niesnadno.

III.

Płyną straszliwe hufce bez końca, bez miary,
 Lecą na ciężkich koniach niemieckie rajtary,
 I mieszczanie z Elbląga, z Torunia i Gdańska,
 I chorągiew zaciężna szwajcarska, słowiańska,
 I niemieckich łuczników idzie zastęp chyży,
 I burzące tarany, i działa ze śpiży
 (Niedawny wynalazek ogniopalnej broni,
 A Litwini za ledwie zasłyszeli o niej,
 A Niemcy, uzbrojeni w siłę gromowladną,
 Tém pewniejsze nadzieje w swém zwycięztwie kładną).

W straży wielkiego mistrza niektóre oddziały
 Noszą grzmiące rusznice, ręczne samopały;
 Ale jeszcze niewprawna strzelecka gromada
 Lepiej łukiem i bełtem niżli strzelbą włada,
 I jeszcze wielkie dla się poważanie ściąga
 Stary waleczny hufiec łuczników z Elbląga.

IV.

Ransdorf został ich wodzem— ten zaszczyt mu dany
 W nadziei, że tém dzielniej sprawi się z pogany,
 Że świadom ich zwyczajów, obeznan z ich mową,
 Wwiedzie do twierdzy Pullen potęgę krzyżową.
 On dochował przysięgi danéj Lutasowi,
 I o lochach tajemnych nikomu nie mówi,
 I za najświętszy dla się obowiązek kładnie,
 Że ufności Litwinów nie zawiedzie zdradnie,
 Że wdzięczzen za gościnność, co mu w Litwie dali,
 Nigdzie zboża nie stłoczy, nigdzie chat nie spali,
 Że spokojnych mieszkańców nigdy nie ugniecie,
 Że poszanuje starca, niewiastę i dziecię.
 Taką wykonał w duchu przysięgę dostojną,
 Przyjmując Przenajświętszy Sakrament przed wojną.
 Lecz choć serce umocnił prawowierną modłą,
 Choć go wezwanie starszych na wojnę powiodło,
 I choć wojnę z pogaństwem za zasługę liczy,
 Uczuwa na sumieniu wyrzut tajemniczy.
 A gdy jego walecznych łuczników drużyna
 Dawną pieśnię pochodu chórem rozpoczyna,
 Kiedy starym się snują pogadanki, żarty—
 Ich wódz milczy na lęku u siodła oparty,

Spuszcza oczy jak zbrodzień gdy u sądu stanie,
 A na pochurném czole znać przykre dumanie;
 Tylko swego rumaka zażywa ostrogą,
 Chciałby pędzić jak strzała, ile siły zmogą.
 Nadzieja doń się wdzięczy i szepce mu z cicha,
 Że odetchnie powietrzem, co Egle oddycha.

Ale niegodzien doznać swobodnej radości,
 Kto do domu swój lubój jak wróg idzie w gości,
 Kto zamiast upominków, zamiast czystych kwieci,
 Nad jój głowę pożarną pochodnią zaświeci,
 Kto niesie łuk i kołczan pełny ostrych grotów,
 Któremi pierś jój braci poprzesywać gotów,
 Kto na głowę jój ojca, na święte jój bogi,
 Wyostrzył miecz morderczy i topór złowrogi.
 Taki kochanek potwór — ludzkości zakała,
 Błuznierstwo taka miłość, co mu w sercu pała.
 Czuje Ransdorf, że idzie jak leśny bandyta,
 I nieraz miecz od boku rozpaczliwie chwyta,
 Targa się przebić własne wiarołomne łono;
 Lecz wiara, co od dziecka w serce mu wpojono,
 Rozpaczliwe dumania w pogodniejsze zmienia,
 I szepce mu o dziele wiecznego zbawienia:
 Że jako rycerz boży w chrześcijańskiej walce
 Nawróci lub pokona dzikie bałwochwalce,
 Że przezeń może ujrzą światło wiekuiste
 Synowie odrzucenia, Twoje wrogi, Chryste!
 Że w bogach Litwy szatan zamieszkał widomie,
 Że Znicz, to z iskry piekiel rozniecone płomię,
 Że kto tylko na Litwie wytępi bożyszczca,
 Kto bezbożne świątynie zamieni na zgliszczca —
 Będzie wielkim w niebiesiech, siłę piekiel wydrze,
 Jak niegdyś święty Jerzy, co łeb strzaskał hydrze.

Ale nad wszystkie myśli, myśl święta, jedyna
 Wdzięczy się do kochanka i chrześcianina:
 Że lube czoło Egli przez chrestne polanie
 Zaświeci aureolą i godném się stanie
 Tego nieba, co dzisiaj przeczuwa pierś drobna,
 Tych aniołów, do których jak siostra podobna.
 O! jak to będzie błogo, wesoło i świetnie!
 Papież kordem Piotrowym jego śluby przetnie;
 A ona, dziecko niebios—chrześcianka młoda,
 Drobną rączkę przed ołtarz tak samo mu poda,
 Jak niegdys w owój strasznej i szczęśliwej chwili,
 Kiedy tam ofiarnicy już stos rozpalili;
 Tylko na pięknej twarzy nie przestrasz, nie bladeść,
 Lecz się doła uśmiechnie, zakraśnieje radość,
 I nastaną dni piękne w szczęściu i swobodzie.

V.

Tak marzył młody Ransdorf, i rumaka bodzie,
 I woła: — „Héj do Pullen, drużyno krzyżacka!“
 Ale rumak ostrogą draśnięty z nienacka,
 Wysłupił się, i spotknął, i klęknął na ziemię;
 Lecz Ransdorfa żelazne nie zawiodło strzemie,
 Spiał trędzłą z całej mocy, i znów rumak stawa.
 Zbiegła się doń łuczników drużyna ciekawa,
 Winszują, że ze szwanku wycofał się zdrowo;
 Ale starzy wojacy potrzásają głową,
 A Wilhelm siwobrody szepnął do kamrata:
 — „Wolałbym nie pić wina przez całe dwa lata,
 „Niż widzieć, jak się rumak przed wojną spotyka,
 „Bo to niedobrze wróży szczęściu wojownika.

„Młody wódz!... zła nadzieja po takim wyborze,
 „I sam zginie do licha, i nas zgubić może.
 „Co nas spotka na Litwie, krew, czy miodek stary,
 „Na odwagę, łucznicy, zatrąbmy w puhary!“
 I ze skórzanej sakwy nasączył w róg wina,
 Wychylił, i wesołą piosnkę rozpoczyna.
 Za Wilhelmem łucznicy wypili, zapieli;
 Ale coś i po winie sercu nieweselój,
 Alé huczna piosenka w pół taktu się utnie,
 A echo gór litewskich odpowiada smutnie.

VI.

Litwa krząta się w polach, jak mrówka, jak pszczoła,
 Po niwach płynie pieśń zniwiarki wesoła,
 Po lasach się rozlega róg myśliwski kręty,
 Po świątyniach modlitwa i głos ofiar święty,
 Pod błękitem niebiosów szczebioce chór ptaszy,
 A bojowe rumaki hasają na paszy.
 Czemu ich nie siodłacie? czemu nie cuglicie?
 Komu miła swoboda, komu drogie życie,
 Kto pragnie zdrowia dziatwy, kto pragnie czci bożej,
 Niechaj ucho wyteży ku ziemi przyłoży,
 Niechaj dymów zapyta, niechaj wiatrów bada,
 Co ów tętent oznacza? i te kruków stada,
 Co się zewsząd chmurami po nad Litwę garną,
 Że aż ciemno na niebie, że aż w polu czarno?
 A prędjéj niech porzuca i chatę i łowy,
 Niechaj sygnał myśliwski zmieni na bojowy,
 Niechaj swój łuk opatrzy, da cięciwę nową
 I zostrzy na kamieniu swą włócznię stalową;

A zebrawszy w drużynę jednej matki dzieci,
 Zkąd przybywają kruki niech w tę stronę leci:
 Tam może pierśmi w piersi lub z ciemnej zasadzki
 Uda się wam odeprzeć lub zbić huf krzyżacki.
 A nie wpuszczajcie wrogów ku domowej strzesie,
 Kędy chatki bezbronne rozsypane w lesie,
 Gdzie nad bogi skrytymi w dębowe konary
 Czuwa słaba niewiasta lub ofiarnik stary,
 Gdzie się wasi ojcowie schadzają leniwie,
 Kędy twój syn w kolebce lub siostra na żniwie.
 Biada twemu plemieniu, biada twój zagrodzie!
 Wróg nie włóczyń, to smutkiem tve serce przebodzie.
 Nie zegną się pod bronią tve ręce, tve ramię,
 To je żal obezsili, to rozpacz załamie:
 Bo was Niemcy przezewali dziećmi Belzebuba,
 Wytępiac wasze plemię, to największa chluba.
 W białych płaszczach z krzyżami to goście pamiętni;
 Na litewskim podwórku, gdzie ich koń zatętni,
 Bądź już gotów, mieszkańcze, na twą śmierć widoczną:
 Wnet ogień i żelazo gospodarzyć poczną,
 Krwią bryzgną piersi starców, niemowląt, kobiece,
 I rumak, co przy żłobie, i pszczołka w pasiece,
 Wszystko legnie od strzały, pożaru lub młota,
 Aż do drobnój jaskółki, co w oknie szczebiota.

VII.

Po Litwie wciąż plondrują krzyżackie pałasze,
 A bezbronni mieszkańcy, jak piskłeta ptasze,
 Widząc srogięgo sępa, co już wnet uderzy,
 Gromadzą się i tulą pod skrzydła macierzy,

O dziesięć mil w około zbierają się w grona,
 Spiesz do zamku Pullen ciżba przepłoszona.
 Margier otwiera wrota—spotykać wychodzi;
 A dziesięć wielkich czółen i rybackich łodzi
 Snuje się wciąż po Niemnie, wyściga się, śpieszy
 Gwoli mężów i niewiast i kapłanów rzeszy.
 Z dziesięciu bujnych łąnów wymłócono żyto,
 Pięćdziesiąt tucznych wołów na pokarm zabito,
 Nawarżono alusu, nasycono miodu.
 Margier ma karmić dziatwę swojego narodu,
 Jako ów ptak zamorski—pelikan mu imię—
 O którym powiadają powieści pielgrzymie,
 Że kiedy wygłodnieją, kiedy żer niełatwy,
 Własne piersi rozdziera na pokarm dla dziatwy.
 Tak i Margier, szczęśliwy, że doń przyszli swoi,
 Chętnie sercem nakarmi, krwią własną napoi,
 Podzieli się i chlebem, i sercem, i siłą,
 Byle Litwie niegłodno i bezpiecznie było.
 Do Pullen niech już idą rycerze krzyżowi:
 Tam przyjąć najeźdźników od dawna gotowi,
 Tam kamiennych toporów i włóczeń ze stali,
 Dawno już naciosali, dawno nakowali;
 Wielkie stopy kamieni zniesiono na wieżę,
 Na zgruchotanie karków zakutych w pancerze;
 Wyjeźdźdźli rumaków doznanych w gonitwie—
 A piersi bohaterskich nie zabraknie Litwie.
 Jeśli Krzyżak na polu Litwinów pokona,
 To jeszcze twierdza Pullen od Niemna broniona,
 Z wysokimi basztami i podziemnym lochem,
 Nie tak snadno ją zdobyć siłą lub popłochem.
 Na basztach czujna warta przechadza się wokół,
 W zamku Margier tak mężny, tak czujny jak sokół,

Pod ziemią strasznych bogów i Marti mieszkanie,
 Tam się Litwa wspomóże, kiedy sił nie stanie.
 Choćby już wzięła zamek drużyna krzyżacza,
 Z Poklusem i Perkunem niechże walkę stacza,
 I na pioruny bogów, na Litwy postrzały,
 Niech się Krzyżak posunie, jeśli taki śmiały;
 Jeżeli mąż się spodli i straci nadzieję
 Niewiasta garnek wrzątku na oczy mu wleje.

VIII.

Tak Margier sprawę Litwy ubezpieczył wczesnie;
 Ale cierpiał jak ojciec — ach, cierpiał boleśnie!
 Gdy od stosu umknęła dziecina niemiecka,
 Zgadł wyrodne uczucia w sercu swego dziecka,
 I wzdrygnął się na myśli karmione kryjomu,
 Niegodne córki Litwy z książęcego domu,
 Tak sprzeczne z nienawiścią, co ku Niemcom chowa—
 Zakipiał... drżąca ręka już była gotowa
 Rzucić się na krew własną z morderczym żelazem
 I uczucie z jój piersi wyrwać z sercem razem.
 Ale opuścił ręce, spogląda i bada,
 Że Egle taka smutna, milcząca i blada;
 Pożałował nieszczęsnej, co cierpiała tyle,
 I sercu ojcowskiemu dał folgę na chwilę;
 Przytulił do swych piersi ofiarę niedoli,
 Przebacza jój cierpienie i sam nad niem boli;
 I mówił w głębi ducha: — „O biedna ty, biedna!
 „Mściwe są bogi nasze, a któż ich przejedna?
 „Skupi się na cię zemsta i niebios i ziemi.
 „Egle! a ja, twój ojciec, rękami własnymi

„Będę musiał cię przywieść przed boże ołtarze,
 „Jeśli niebo swój zemście poświęcić cię każe!“

IX.

A zemsta nieśmiertelnych niedługo się zwlekała:
 Stał przed starą Marti straszliwy bóg piekła,
 Objawił, jak umknęło krzyżackie pachole,
 I dał uczuć swą zemstę, dał wiedzieć swą wolę.
 Gdy wróżbiarka, Poklusa pośredniczka szczerza,
 Zażądała krwi Egli za krew Krucygiera,
 Aby przebłagać bogów, a z Litwy zmyć zakał,—
 Margier nawet nie zbladnął, nawet nie zapłakał.
 Przywiódł Eglę przed ołtarz i tak mówił do niej:
 — „Córko moja! od śmierci ojciec nie uchroni.
 „Tyś wydarła ofiarę z pod kapłańskich noży,
 „Poklus na mnie, na ciebie, na Litwę się sroży.
 „O! nie ściągaj na Litwę cierpienia niedoli!
 „Ja czuję, żeś ty młoda, że ci serce boli;
 „Ale twoje uczucie jest bogom w ohydzie,
 „Nie wolno im złorzeczyć, bo o Litwę idzie.
 „Tyś Krzyżaka przed śmiercią ocaliła srogą,
 „Umrzesz na jego miejscu — umieraj niebogo!
 „Ja twój ojciec.. wódz Litwy... nie cofnę się wcale,
 „Ja sam topór naostrzę, ja sam stos rozpalę,
 „I niech zgon dokonany wedle niebios woli
 „Litwę od takich grzechów na zawsze wyzwoli.
 „Bo na niebie, na ziemi niéma cięższej zbrodni,
 „Jak gdy się z wrogiem złączą ziomkowie wyrodni.
 „Lecz wróg zbawion od śmierci, ku większej ohydzie
 „I zemścić się i sercu uragać się przyjdzie.

„Litwini! znacie moje rozkazy książęce:
 „Choćbym płakał jak dziecko, choćbym łamał ręce,
 „Zawiedźcie ją do lochów najgłębszej otchłani,
 „Dopóki wyrok niebios nie spełni się na niej,
 „A przystęp niechaj będzie każdemu zawarty,
 „A choćbym ja sam błagał—słyszycie mię, warty!—
 „Biada temu, kto tknięty żalem lub obawą,
 „Wpuści choćby jój ojca, pomimo łzę krwawą!“
 Tak mówił groźnym głosem niezachwianej woli,
 Jakby serce z kamienia nic a nic nie boli;
 Schmurzył czoło, brew męzką nacisnął na oczy,
 Lecz z jego orlich źrenic łza się nie potoczy.

X.

Ludno i gwarno w zamku przywykłym do ciszy;
 Ledwie zdoła pomieścić tysięcznych przybyszy.
 Uwijają się tłumy i konno i pieszo;
 Mężowie ostrzą miecze i kamienie krzeszą
 Na topory i młoty, na dzidy i strzały
 (Oreż ze staroświeckich czasów pozostały).
 A poważni starcowie, zszedłszy się do rady,
 Opowiadają dawne krzyżackie napady,
 Ciosają krzepkie drzewca do stalnych bardyszy,
 I uczą władać bronią młodszych towarzyszy.
 Najstarszy z między starców, Lutas siwobrody,
 W gromadzie wojowniczej zwija się jak młody;
 Piorunny jego okrzyk na chwilę nie zmilczy;
 Przywdział do góry włosiem szubę z sierści wilczej,
 I sutym łbem z leśnego niedźwiedzia odartym
 Przystroił siwą głowę, i napuścił hartem

Swój topór staroświecki wyprobowan laty,
 I na brusie kamiennym toczy miecz szczerbaty.
 Wąsy białe jak mleko najeża do góry,
 I brodę, co od szarój, kudłatėj wilczury
 Dziwnym blaskiem odbija — a zgrzybiała ręka,
 Co trzęsła się niedawno, gdy w struny zabrząka,
 Podźwiga ciężki kamień aż na górę wieży,
 I biada łbom krzyżackim, gdy na nie wymierzy!
 Okrzyk wojny odmłodził odrętwiałe kości,
 Trąbka wskrzesza w nim ducha dawniejszėj dzielności;
 Pod bronią wyprostował pochyloną szyję,
 A poczuł, że krew młoda do serca mu bije.
 Tak Niemen obumarły pod bryłą lodową,
 Gdy się wiatrem wiosennym odżywi nanowo,
 Silniejszym wirem pędzi ku cichėj zatoce
 I mocniejszymi ciosy w brzeg piaszczysty grzmoce.
 Zgrzybiałėj starca twarzy i mętnėj źrenicy,
 Jakby Perkun użyczył ognia błyskawicy,
 Czarodziejską potęgą tak iskrzy się z dala
 I najłękliwsze piersi do męztwa zapala.
 —„Héj! — woła — naprzód Litwo! na mury, na wały!
 „Ażeby duchy ojców was nie przeklinały,
 „Ażeby wasze dzieci wyrastały krzepko!
 „Widzicie? miecz krzyżacki tuż nad ich kolebką;
 „Słyszycie? psalm niemiecki już zatrząsa knieję;
 „Oto już dym pożarny z za lasu czernieje.
 „Patrzajcie, tam, na lewo! naprzeciw Puniały
 „Sztandar wielkiego mistrza połyska się biały!
 „Widzicie liczny hufiec, co tėj szmaty strzeże?
 „Złocisto żwirowane błyszczą ich puklerze.
 „Do łuków, dzieci Litwy! powitajmy gości!
 „Zaraz się brzeg niemnowy trupami umości.

„Do łuków! — niechaj każdy jedną pierś rozbija:
 „Bo tutaj w każdej piersi niebezpieczna żmija!“

XI.

Tak Lutas krzyczał z góry ile piersi zmogą;
 A dziesięć trąb rogowych ozwało się trwoga,
 Od nich w każdym wąwozie i na każdej niwie
 Echo po dziesięć razy zawrzasło chrapliwie.
 A z tamtej strony Niemna płyną insze tony:
 Dźwięk muzyki kościelnej, pięknej, wyuczonyj,
 I w takt łacińskiej pieśni, bez końca, bez miary,
 Wysuwają się z lasu krzyżackie rajtary.
 Biała chorągiew mistrza pierwszy plac zabiera,
 Dalej sztandar, a na nim herb Hannebergera,
 Dalej z za każdej sosny, z za dębu, z za jodły,
 Różnobarwne jak kwiecie hufce się powiodły.
 Żelazem wszystkie piersi, wszystkie błyszczą głowy.
 Stał naprzeciw Pullen jakby mur stalowy
 Popisany krzyżami: bo wszyscy pancerni
 Przywdzieli białe płaszcze—na nich krzyż się czerni,
 Że na całym ich wojsku, bez końca, bez liku,
 Jakby na chrześcijańskim starym mogilniku,
 Litwa widzi znak śmierci — i strzela w te krzyże,
 Dufając, że je zwalczy, że na wskroś przeniże,
 A wzywając ku szczęściu swe bogi ojczyste,
 Twojemu znamieniowi urąga się, Chryste!

XII.

Z tych okien i ze strzelnic, od Perkuna dzieci,
 Jedno tylko westchnienie ku krzyżowi leci:

Egle na śmierć sądzona — przed jutrem swój kaźni
Jeszcze marną nadzieją biedne życie drażni.

W lochu swego więzienia, przy okienku ciemném,
Widzi, jak huf Krzyżaków snuje się nad Niemnem;

Nauczona od dziecka, że Krzyżacy podli,
Chciałaby ich przeklinać — a jednak się modli.

Westchnąć ku swoim bogom daremno się kusi,
Krzyż jest bogiem Ransdorfa — potężny być musi;

A swych uczuć nie mogąc utrzymać na wodzy,
Jękla: — „Bogowie Litwy! za nadtoście srodzy!

„Przygwożdżony do krzyża i w koronie z cierni,

„Bóg Krzyżaków pogląda ku mnie miłosierniej;

„On od śmierci mię zbawi, on te baszty skruszy,

„On przyniesie pociechę bolejącej duszy.

„I przyjdą tu krzyżowi wojownicy biali;

„Ja obaczę Ransdorfa — i on mię ocali.

„Zamiast ginąć, jak trawa, gdy ją zetną kosą,

„Ja ucieknę z Ransdorfem gdzie oczy poniosą,

„Nad morze, w kraj niemiecki — pod Chrystusa wła-

[dżę...

„Mego ojca opuszczę, moich bogów zdradzę...

„Zbrodniarka!! cóż wyrzekłam? O święci bogowie!

„Gdzie są wasze pioruny zadać cios mój głowie,

„Skróćcie moje dni młode, które zbawić zyczę,

„Wypalić z mego serca uczucia zbrodnicze?...

„Ojce! jam twoja córka!... gdzież moja odwaga?

„Ja się cofam, gdy Poklus ofiary wymaga

„Dla ocalenia Litwy! — Co znaczy ta skarga?

„Czemu się serce moje na dwie strony targa?...

„Ransdorfie! tys wróg Litwy! — giń w jednej godzi-

[nie...

„O nie! raczój niech Egle, niechaj Litwa zginie...

„Bogowie, których Niemcy, czy Litwini chwałą!
 „Którzyście potężniejsi, niechaj go ocala —
 „Tych przeklnę, co ze wszelkiej litości wyzuci,
 „Tego uznam za boga, kto nam szczęście wróci!“
 Tak złamana rozpaczą nieszczęsna dziewczyna,
 Modli się, błogosławi, złorzeczy, przeklina,
 To krzyżyk do ust ciśnie, to go szarpie z łona,
 Aż na surową ziemię upadła zemdlona.

XIII.

A z lasu z po za Niemna słyhać huk donośny,
 Ścina topór niemiecki jedliny i sosny;
 Jak szeregi bojaków ugodzone młotem,
 Wałą się stare drzewa z ponurym łoskotem,
 Aż się echo borowe zatrzęsa z daleka.
 Spłoszone ptactwo leśne chmurami ucieka,
 Ulatuje nad Niemnem, nad warowni dachem,
 Spieszy k'Litwie na skargę, dzieli się przestachem.
 Bogowie, co te lasy mieli pod obroną,
 Z wiatrem głuche przekłętwa na łupieżców zioną.
 Ustała święta cisza nad zamczyskiem starém,
 Kipi całe powietrze tysięcznym rozgwarem,
 Poprzeplaszane ptactwo wrzeszczy na zatoce,
 Tętni topór po kłodach, sosna się druzgoce,
 Rżą rumaki rajtarów, trąbka gra sygnały,
 A szumnym rozhoworem gwarzy obóz cały.
 Po borze, po nad wodą i po błoni płaskiej
 Echo zaledwie zdoła dopędzić te wrzaski,
 W niesforną całość tonów naprędce je składa,
 I zda się wciąż powtarzać: zagłada! zagłada!

Każde cieniste drzewo, co zwalone padnie,
 Odslania albo ciżbę skupioną bezładnie,
 Albo hufiec szykowny już do boju gotów;
 Wznosi się jakby miasto biały rząd namiotów,
 Migotają pororce jak kwiaty nad błonią;
 Najwyższy namiot kościół już tam na mszę dzwonią.
 Mały miedziany dzwonek gdy zabrząknął z wolna,
 Umilknął łoskot siekier, i wrzawa swawolna,
 I surma obozowa — w jedno mgnienie oka
 Dokoła znów się cisza rozlega głęboka.
 Aż ptactwo ośmielone, gdy je cisza mami,
 Poczęło z wolna krążyć tuż nad namiotami,
 Ucieka, to powraca, i żałośnie kwili,
 I szuka drzew znajomych, i gniazd, co zburzyli.

Margier z wysokich wałów gniewném okiem ciska,
 Liczy chorągwie Niemców i obozowiska:
 Widzi szereg pancerny nad Niemnem rozwity,
 A tam ciosają kłody, uwiązują płyty,
 By ułatwić przeprawę. Po tratwach, po moście,
 Wkrótce przyjdą do Pullen nieproszeni goście.
 Gotowe im przyjęcie — już się ukrop pieni,
 A na polach litewskich nie braknie kamieni.
 Daremnie w hełm uzbrajać i głowę i szyję,
 Wrzątek oczy zaleje, kamień łeb rozbije;
 A topory, z krzemienia wyciosane świeżo,
 Bohaterskim zamachem w ich serea uderzą.
 Z napiętymi łukami, celując z daleka,
 Ciżba Litwy na wale tylko hasła czeka.
 Margier zmierzył szerz Niemna i obozowisko:
 — „Ha! zloczyńcy! namioty rozpięli za blisko,
 „Nasze strzały doleczą, jeszcze pędu stanie —
 „Hej! puścić chmurę żądał na ich powitanie!“

I już łuk swój dębowy napiął do wystrzału,
 Kiedy dzwonek za Niemnem ozwał się pomału,
 U Krzyżaków ucihła wrzawa obozowa,
 A chorągiew nadbrzeżna, do boju gotowa,
 Uklęka — snadź się modlą. Margier łuk nateży:
 Oto mistrz, ze starszyzną i z orszakiem księży,
 Idzie z wolna pod namiot, gdzie kościół ubrali,
 Poznał go wódz litewski pomimo oddali,
 Wziął na oko — wycelił — już go ma pod strzałą,
 Chciał już strzałę wypuścić; lecz serce zadrżało:
 — „Nie! — zawołał — niech żaden nie strzela, nie mierzy,
 „Dopóki Niemcy swoich nie skończą pacierzy:
 „Oni modlą zajęci pokłękli na ziemi,
 „My nie walcym z ich bogiem, jak oni z naszemi.
 „Oni ufni w odległość i w swój zastęp krzepki,
 „Nie mogą się w tój chwili spodziewać zaczepki,
 „Uderzyć niespodzianie — to byłoby zdradnie.“
 Rzekł, odpuścił cięciwę, łuk na ziemi kładnie,
 A sam upadłszy na twarz przed obliczem Litwy,
 Do swych bogów błagalne posyła modlitwy.
 I z obu brzegów Niemna była chwila ciszy,
 Że się brzękot polnego konika posłyszysz,
 A z za chmurnych obłoków, jak dobra otucha,
 Słońce się uśmiechnęło — Pan modlitwy słucha.

XIV.

Trwa cisza uroczysta — wtém z lasu z nienacka
 Odezwała się trąba miedziana krzyżacka,
 Zagrał potem głos drugi i sto głosów za nim,
 Aż zabrzędo powietrze chrapliwém zgrzytaniem.

I wali się na brzegi niezliczona tłuszcza,
 Na Niemen dziesięć płytów, dziesięć tratw spuszcza.
 Tłum się ciśnie na pomost, aż zatapia drzewa,
 A na każdej z tych tratw chorągiew powiewa.
 Zadrzał Niemen — wioslarze uderzyli w wiosła,
 Połowa wojsk krzyżackich żwawo się poniosła.
 Margier skinął, wycelił, — i z tratw, co płyną,
 Krew bryzgnęła ruczajem nad Niemna głębiną,
 I zajękło sto piersi wyziewając ducha,
 I sto trupów krzyżackich do głębiny plucha.
 Wioslarze przyspieszają i wiosła, i drąga,
 Kipi Niemen — rząd tratw pod wały nadciąga.
 Z przekleństwem wystrzeliły krzyżackie łuczniki,
 Na wałach okrzyk Litwy odezwał się dziki,
 I kilka męźnych trupów od strony Puniały
 Stoczyło się z okopów przez urwiste wały,
 Aż w niemnowej topieli drgnął łoskot ponury,
 Jak gdyby stos kamieni zawalił się z góry.

XV.

Przybijają do brzegu najezdnicze tratwy;
 Lecz wybrzeże urwiste, a przystęp niełatwy,
 A nad głową na wałach Litwinów gromada,
 I grad ciężkich kamieni na krzyżowców spada.
 Lecz choć wisi już nad nim mordercza siekiera,
 Książę saski odważnie na górę się wdziera,
 A wśród hucznych okrzyków, że aż słyhać w lesie,
 Za nim ciżba pancerna po wąwozach pnie się.
 Już doszli napastnicy do połowy wałów,
 Już głowy najezdnicze wolne od wystrzałów,

Kiedy na płytkim glazie w mordercze objęcia
 Stary Lutas pochwycił niemieckiego księcia,
 I cisnął go na ziemię tak potężnym rzutem,
 Aż stęknął żwir pod ciałem w żelazo okutém,
 I młotem tak mu silnie do piersi uderza,
 Że aż zgrzytnął blaszany napierśnik rycerza.
 Ale Krucygier zręczny, jak liszka, jak żmija,
 Wstaje, skręca się, z ramion litewskich wywija,
 I nim się starzec spostrzegł — tak go mieczem płatnie,
 Że Lutas padł, wydając jęczenia ostatnie.
 Zerwał się — jeszcze zamach ostateczny czyni,
 Już mu śpieszą na pomoc zawzięci Litwini,
 Gdy Rudolf książę saskie skinął na Krzyżaki:
 — „Zabierzcie go! nam dzisiaj przyda się dziad taki!
 „Musi znać przejścia twierdzy — odprowadźcie dziada,
 „Niech go tam Ransdorf Warner najściślej wybada.
 „Póki z cielska zgrzybialca dusza nie uciekła,
 „Nim szatan poganina pochwyci do piekła —
 „Pod mękami niech nasze zawiadomi wodze
 „O murach, lochach zamku, o całej załodze.“
 Rzekł, a jego żołdacy w téjże saméj chwili
 Konającego starca na ręce chwycili,
 Zbiegli z krętego wału, zanieśli do łodzi.
 A choć ze staréj głowy krew bystro uchodzi,
 Lutas wyciągnął ręce jak szpony jastrzębie,
 Chwycił jednego z Niemców i w niemnowe głębie
 Strącił z łodzi — i upadł na ręce wiosłarzy,
 Bełkoce nieprzytomnie, coś o bitwie marzy.

XVI.

Już Niemcy wał zdobyli — do warownej ściany
 Wleką burzące działa, grzmotliwe tarany.

Huknął straszliwy łoskot aż się wstrzęsły góry.
 Margier ścian swoich broni — jego głos ponury,
 Choć Krzyżaków napęlnia zwątpieniem i trwogą,
 Ale wszyscy Litwini słyszeć go nie mogą.
 Cóż litewscy bojacy? Liczba ich nie długa,
 A reszta — motłoch trwożny, uciekły od pługą,
 Ciską strzały na oslep, z rąk bardysze roni,
 Ścianę osłania pierśmi, lecz jój nie ochroni.
 Grzmotnął armatni wystrzał jak piekiel widziadło...
 Runął mur, pękły balki, pół ściany odpadło.
 Jeszcze chwila... a jeśli nie odeprą krzepko,
 Wnet się Niemcy zapastwią nad dziatwy kolebką!
 Taka myśl rozpaczliwa i okrzyk Margiera,
 W ich piersiach budzi męztwo, co już obumiera.
 Choć zgruchotane ściany, obalone głowy,
 Piers jest murem warownym, mocniejszym sto razy
 Od wypalonych cegieł i twardych kamieni;
 Poczuli to litewscy męże zrozpaczeni,
 I jakby nową siłą Perkun ich obdarza,
 Jakby zstąpił sam Poklus ze swego ołtarza,
 Tak w obec nieprzyjaznych taranów i kuli,
 Nieśmiertelną odwagę w swój piersi poczuli.

W poszarpanych odzieżach, okryci kurzawą,
 Dobyli sił ostatnich na obronę krwawą;
 Krzycząc z ochryplój piersi usta spalonemi,
 Uderzyli zajadle na wroga swój ziemi.
 Niemieckim szwargotaniem wzywając Maryę,
 Krzyżak ciężkiem żelazem każdy cios odbije.
 A kiedy lotna strzała nie służy z poblizka,
 Przy obalonój ścianie dwoje wojsk się ściska,
 W jedną potworną całość zlewa się i splata,
 Jak gdyby fala czarna, ruchoma, iskrzata.

A coraz ciężkie ciało do Niemna się zwali,
 Trąba zgrzyta, krew świszcze, stal brzęczy po stali,
 Ziemia stęka, jak gdyby wzruszona do głębi,
 A wiatr gęstą kurzawę pod niebiosą kłębi,
 A gwarny wir bojowy kipi tak bezładnie,
 Że ucho nie nie schwyci, oko nie nie zgadnie.
 Wzięli górę kudłaci wojownicy w czerni.
 Staczają się po wałach rycerze pancerni,
 Niosą rannych i trupów znakomitszej braci;
 A kto życia nie stracił, ten już siłę traci,
 Zbiera pogięte hełmy, potrzaskane miecze,
 I ucieka od Litwy — nie zawsze uciecze.
 Owdzie oszczep ciśnięty z Margierowej dłoni,
 Owdzie strzała swém żądłem kamienném dogoni,
 I trupem go położy, skarże za bezprawia.
 Już się tratwa po tratwie za Niemen przeprawia,
 A nim jeszcze wiosłarze skręca przy zatoce,
 Kamień z góry zepchnięty po ich tratwach grzmoce,
 Złamie sosnowe kłody lub balki rozdzieli,
 I trwożnych niedobitków pogrąża w topieli.
 Krwawe słońce zachodzi — świat graży się w ciemnie,
 Wszędzie krew: na niebiosach, na ziemi, na Niemnie,
 Na twarzy bojowników, i na ich odzieży,
 I na ostrzach orężów, co żer miały świeży.
 Wreszcie krzyżowe hufce opuściły wały,
 Tylko same Litwinów garstki pozostały;
 A na ich czele Margier, na włóczni oparty,
 Każe niecić ogniska, rozporządza warty;
 A cała jego odzież zbryzgana posoką,
 Twarz blada, krwią zabiegło bohaterskie oko,
 A miecz jego morderczy, gdy się żniwo kończy,
 Silnie utkwiony w ziemię krew kroplami sączy.

XVII.

Wokoło wodza ciżba strudzona i cicha
 Trupy Niemców do Niemna pogardliwie spycha;
 Nie odziera ze zbroi, bo za nadto śpieszy.
 Legł mężny Hanneberger, pan niemieckiej rzeszy,
 Znany rycerz turniejów, co z żywą ochotą
 Szedł z Krzyżaki na Litwę po laury i złoto;
 Książę saski przez ramię dostał cięcie żwawe;
 Poległ komtur z Elbląga, co radził wyprawę;
 A Wilhelm, stary łucznik, co na miód się kwapił,
 Zamiast kowieńskich lipców krwi własnej się napił,
 Padł przy zachodniej baszcie przywalony cegłą.
 A co prostych rajtarów i knechtów poległo,
 Pan tylko z górnych niebios policzyć to może,
 I na cię, wielki mistrzu, hrabio Teodorze,
 Policzy krwi ich winę!

XVIII.

— „Jutro plon się późnie“,—

Rzekł Margier sam do siebie, i zwrócił pobożnie
 Bohaterskie spojrzenie ku wieczornej zorzy: —
 „Ausko święta! tyś bóstwo, w tobie ogień boży,
 „W tém żarzewiu kraśnieje potęga i siła;
 „Dzięki, żeś jego iskrę w piersi nam rzuciła!
 „Wróg odparty na chwilę, gdy wróci na dłużej,
 „Krasna jutrznio! twój promień niech nam szczęście
 „Do roboty, Litwini! za nami są nieba! [wróży!—
 „Zgruchotano nam mury, naprawić je trzeba.

„Ciosajcie nowe ściany i kamienie znoście,
 „Przez noc niech stanie baszta, bo znów przyjdą goście.
 „Niewiasty i starcowie niech naprawią wieżę,
 „A mężowie od boju, spożyjcie wieczerzę,
 „I niech każdy wychyli miodu pełną czarę;
 „Najpierwszą wlać na ogień bogom na ofiarę.
 „Rozłammy chleb na braci pogrzebowej stypie:
 „Może jutro nas kurhan bojowy przysypie.
 „Kapłani, grajcie w gęśli, rozpocznijcie pieśnię,
 „Niewiasty, zaprzestańcie płakać tak boleśnie;
 „Kto dziś został sierotą po ojcu, po bracie,
 „W Litwie matkę a we mnie brata pozyskacie.“
 Rzekł, złożył hełm na trawie, wyzuł się ze zbroi,
 I spłakany sierotom chleb dzieli i kroi,
 I do siwego starca i do biednej wdowy
 Przepija czarą miodu obchód pogrzebowy.
 Na wałach gwar i życie spokojne powraca,
 Przy bojowych ogniskach wieczerza i praca,
 W Niemnie iskrzą ogniska — a po całej niwie
 Echo nocne odgłosy powtarza leniwie,
 I krzyżackie piosenki, i modlitew szmery,
 Jęk ranionych, gwar ludu i łoskot siekiery.

 PIEŚŃ PIĄTA.

I.

Ransdorfowi, co pełnił odwodowe straże,
 Wielki mistrz na bój pierwszy puszczać się nie każe;

Chrobre jego łuczniaki o jutrzejszym świecie
 Pójdą na bój morderczy na śmierć i na życie:
 Starszyzna rozjątrzona dzisiejszemi klęski,
 Na jutro przepowiada swój tryumf zwycięzki.
 Bez dzwonu i bez pieśni, przy modlitwie cichéj
 Znakomitszych zabitych pochowały mnichy,
 Aby słysząc z daleka pogrzebowe tony
 Nie brał większej otuchy poganin wzgardzony,
 Albo niegodnym śmiechem szyderczój radości
 Nie dał w urągowisko chrześcijańskich kości.

Wedle namiotów wodzów palą się ogniska,
 A krzyżackie rycerstwo otacza je z blizka;
 A przy każdym ognisku ksiądz w komży i stule
 Przemawia do rajtarów pobożnie i czule,
 Zagrzewa do odwagi, by walczyli śmielój,
 Wróży zabitym niebo, bo w Panu zasnęli,
 I z Biblii przytacza wzory znakomite
 Samsona, Machabejów, Deborę, Judytę,
 I uciśnionój Litwy bałwochwalcze syny
 Równa z Amorejczyki albo Filistyny,
 A przekształcając Pismo gwoli swój potrzebie,
 Woła z Mojżeszem:—„Wodze! zbierzcie lud do siebie,
 „Idźcie pod mury miasta, głosząc spokój boży;
 „A kto was nie usłucha, kto bram nie otworzy,
 „Rozpocznie z tobą wojnę — niechaj ginie zgoda.
 „A gdy Pan Bóg bezbożnych w wasze ręce poda,
 „Wszędzie mieczem strasliwym spustoszenie nieście,
 „Niech padną głowy mężkie i głowy niewieście,
 „Niech sprośni bałwochwalczy giną w jednéj chwili,
 „Aby was nieprawość swych nie nauczyli.
 „Przez wasze mściwe ręce Bóg niewiernych karze;
 „W pień wyniszczcie ich głowy, w popiół ich ołtarze!“

Takiemi okrzykami mnich wyteżę płuca,
 W zapale fanatycznym miota się i rzuca,
 Krew mu kipi w źrenicach, a na uściach piana,
 I śpiewa pieśń Judyty padłszy na kolana:
 — „Panie! spójrz na obozy assyryjskiej czerni...
 „Niech się w niwecz obróć, niech giną niewierni!
 „Naprawdę w swoją liczbę ufa motłoch ślepy,
 „W swoje tarcze i strzały i w swoje oszczepy,
 „A nie wie z kim prowadzi świętokradzkie boje,
 „Że ty sam kruszysz miecze, a Pan imię twoje!
 Tak mnich pokrzepia w wojsku upadłego ducha,
 A żołdactwo pobożnie kaznodziei słucha,
 I nadzieję wygraną już pewniejszą liczy,
 I napawa się myślą bogatych zdobywcy.
 W innym zasię namiocie mnich na tarczy siedzi,
 Udziela rozgrzeszenia i słucha spowiedzi,
 Bo jako napisano w zakonnym statucie:
 „Gotujcie się do boju w żalu a pokucie,
 „Bądźcie zbrojni w zasługę, a cnotą orężni,
 „Niewinność chrześcijańska niech serce umęźni.“
 Krzyżactwo pisanemu wierne zakonowi
 Jeden grzech wypowiada, nim drugi ponowi,
 Zmiata z serca wspomnienia ominionych zbrodni,
 Aby nowym gadzinom lęgnąć się wygodniej.
 I przy blasku smolnego drzewa lub łuczywy
 Przenajświętszy Sakrament dzieli mnich sędziwy
 Pokłękłemu rycerstwu i knechtów czeladzi:
 — „Oto Baranek Boży, który grzechy gładzi!“
 Dzwonek brzęczy, ksiądz pieje, a cała gromada
 Długimi szeregami na kolana pada,
 A blask smolnych pochodni miga uroczyście
 Między konary sosen i dębowe liście.

II.

Białe wodzów namioty na zielonój darni
 Od ognia, co w nich gore, sięją blask latarni.
 Ztamtąd nie bierze chwały Odkupiciel świata,
 Tam nikt z braci w kościelny dzwonek nie kołata:
 Zamiast modłów szeptanych pobożnemi usty,
 Słysząc brzękot puharów i piosnkę rozpusty;
 Tam śpiewak obozowy, ninnesinger stary,
 Wypieszczonemi takty rwie w struny cythary,
 Nie pomnąc, jak jest świętą dostojność śpiewacza,
 Lubieżne krotochwile bezczelnie przytacza.
 Pijane serce wodzów w takt bardonu tętni;
 Otaczają śpiewaka rycerze namiętni,
 Gromada strojna w togi i zakonne płaszcze
 Na słowa nieprzystojne śmieje się i klaszcze.
 Najdzielniejsi wodzowie, najgorliwsi księża,
 Każdy ku brzydkiój pieśni uwagę natęża,
 Nalewa pełny puhar niemieckiego wina
 I wtórować śpiewaczym tonom rozpoczyna.
 Piosenka i modlitwa, i dziki gwar szału
 Nad obozem krzyżackim wznoszą się pomału,
 A nieskalane echo litewskiej pustyni
 Powtarza je po cichu, snadź gwałt sobie czyni.

III.

Ransdorf w swoim namiocie, jak zakonnik w celi,
 Siedzi jeden, powszechnój ochoty nie dzieli:
 Myśl o Egli, od czasu gdy ujrzał swobodę,
 Ochronia od skażenia jego serce młode.

Bo hulacka piosenka szału i rozkoszy
 Bolesci rozpaczliwój z serca nie wypłoszy,
 Na zgryzotę sumienia, ach! niełatwa rada,
 Winem nie zalać iskry, co mu pierś przejada.
 On klęczał przed ołtarzem i modlił się codziennie,
 Winił się na spowiedzi jak najcięższy zbrodzień,
 Przedstawiał swą niewdzięczność w straszliwój postaci,
 Jako Litwie żelazem za gościnę płaci.
 Ale mnich, co go przyjął na pokuty łono,
 Co chciał wskrzesić do życia duszę zrozpaczoną,
 Napróżno doń przemawiał w imię sprawy bożej,
 Zamiast ranę wyleczyć, rozjątrzył ją srożej.
 Bo słysząc, że dla Boga walczą się te kraje,
 Że zdrada w imię Pańskie zdradą być przestaje,
 Zachwiał się młody łucznik w młodocianój wierze,
 I coś mu było ciężko, gdy mówił pacierze;
 Pierzchły swobodne myśli z ociężałój głowy,
 A piersi jakby kamień przywalił grobowy.

IV.

Ransdorf marzył w namiocie daleki od ludzi,
 Kiedy go szelest zbroi z marzenia obudzi:
 Łucznik z pobojowiska wszedł pod namiot żwawo
 Oblany krwią, osypan bojową kurzą.
 — „Wodzu — rzece — bojowe przynosim ci dary,
 „Jest to umierający bałwochwalca stary.
 „Waleczny księżę saski (niechaj żyje zdrowo)
 „Zwalił starego czarta siłą Samsonową,
 „A póki dusza w cielsku, przytomność w umyśle,
 „Poleca waszój cześci wybadać go ściśle

„O tajnych lochach zamku, któremi się wciska,
 „Aby węża wykurzyć z jego legowiska.
 „Nie zdobyć zamku szturmem: silną ma obronę,
 „Jak liche gniazdo sępie do skał przyczepione;
 „Ale ten dziki starzec, przyciśniony nożem,
 „Opowie insze drogi, któremi wejść możem.
 „Przynosim go pod samy namiot waszój cześci;
 „Ależ to silny Litwin, ze sto czartów mieści,
 „A całe staje ziemi zawalił swém ciałem,
 „A takiój długiój brody nigdy nie widziałem,
 „A choć we krwi opłynął, choć wyziewa ducha,
 „Olbrzymim głosem z piersi jak z kotła wybucha.“
 Tak łucznik gadatliwy o swym jeńcu gwarzy,
 A Ransdorf, co go słucha, pobledniał na twarzy,
 I jak zbrodniarz, którego na torturę zową,
 Wychodzi przed swój namiot.

V.

Tam z powisłą głową

I z przebitemi pierśmi, skrepowany w sznury,
 Leżał Lutas otulon szmatami wilczury;
 Odarty ze przyłbicy, i z miecza, i z młota,
 Poczerniałemi usty złorzeczenia miota,
 Szamoce się z więzami jego ręka wściekła,
 Po jego siwój brodzie płynie krew zapiekła.
 Ransdorf skinał — i z ramion rycerskiego dziada
 Ocięto gruby powróż, co ręce przejada;
 A starzec, jakby upiór, jakby trup mogiłny,
 Wstał... zachwiał się na ziemi i upadł bezsilny;

Tylko całą potęgę i duszy i ciała
 Skupił w dzikiej źrenicy, co krwią zakapiała.
 Raz spojrział na Ransdorfa, tak dziko, tak hardo,
 Że go zdeptał spojrzeniem i przeszył pogardą,
 I jęknął: — „W uroczystej śmiertelnej godzinie
 „Witaj, młody rycerzu i chrześcianinie!
 „Mianowano cię wodzem... los godzien zazdrości!
 „Pożądanych do Litwy sprowadziłeś gości!
 „Witam cię i pozdrawiam przeklęctwem mej ziemi,
 „Które Litwa wyrzecze nad kośćmi mejemi.
 „Zbawiłem cię od śmierci w zlitowaniu podłém, —
 „Więc to ja tę szarańczę na Litwę przywiodłem,
 „Co jęj niwę pustoszy... O! gdzież moja chwala?
 „Gdzie krew, co w tyłu bitwach chrobrze się wylała?
 „Przeklęctwo, ej! przeklęctwo pozostanie po mnie!...
 „Tyś, zwyczajnie jak Krzyżak, działał wiarołomnie:
 „Tak uczy wasza wiara i wasi prorocy,
 „Za chleb ofiarowany rzucić kamień z procy,
 „Za uścisk płatnąć mieczem—tyś dziecko bezprawi, —
 „Niewinieni srogi tygrys, że się we krwi pławi.
 „Lecz ten godzien zaginać w piekielnej czeluści,
 „Kto zwierzę krwi niesyte z kagańca wypuści...
 „Oto krew naszych braci, płomień naszych zgłiszczy
 „Słyszę z dala jak huczy, przelewa się, świszczy,
 „I gorącym potokiem leje się do łona,
 „I miga przed oczami jak chusta czerwona...
 „Wkrótce ty sam obaczysz, co jest zgon zbrodniarza.
 „Zgryzota bystrym słuchem przed śmiercią obdarza:
 „Ja słyszę jak z niebiosów Perkun mnie przeklina,
 „Jak płacze każda matka i każda dziecina,
 „~~W którą~~ Jak jęczy biedna Egle uwięziona w wieży,
 „W którą topór kapłański w tej chwili uderzy

- „W zamian za twoją głowę—niechaj mnie przeklina!
 „I tutaj moja zbrodnia i tu moja wina.
 „Gdzie wtedy był mój topór, gdy truchlejąc cała,
 „Niegodne dziecka Litwy uczucia wyznała?
 „Dla czegoś ję nie zabił? Jednym cięciem mojem
 „Obdarzyłbym i Eglę i Litwę spokojem!
 „Czemum ci nie dał zginąć na ofiarę piekła?
 „Czemu ze starych oczu łza grzeszna pocięła?...“
 Tak Lutas słabym głosem rozdierając płuca,
 Na wilgotnej murawie targa się i rzuca,
 I ręce to wypręża, to do prośby składa.
 „Młodzieńcze! jeszcze jedna zostaje ci zdrada:
 „Ukazać loch tajemny... O! rycerzu krzyża!
 „Patrzaj, oto się Lutas do prośby poniża.
 „Błagam cię wiarołomco w imieniu mój ziemi:
 „Nie mów o tajnym lochu przed braćmi twojemi.
 „Jeżeli nie wejdziecie przez tamte bezdroże,
 „Jeśli Litwa na siłach pokrzepić się może...
 „Szalony! co ja czynię? i co mi się marzy?
 „Że wpół drogi zbrodniczej zatrzymam zbrodniarzy?!
 „O nie! ty się nie cofniesz przed żadną ohydą!
 „Jak wilki do owczarni niech podkopem wnidą,
 „Niech zburzą gród Margiera Niemcy wiarołomni!...
 „Lecz przysiągłeś na Boga... twój Bóg się dopomni
 „Zemsty za pogwałcone kłatwy uroczyste.
 „O! przybity do krzyża chrześcijański Chryste!
 „Ciśniej z krzyża piorunem, poganin Cię błaga,
 „Niech się pomści krew Litwy i Twoja zniewaga!
 „Albo wróćcie mi siły i miecz dajcie w ręce,
 „Ja się zemszczę... Do łuków! do mieczów, młodzieńcze!
 „Bronście wejścia do lochu! bo już wróg napada!
 „Powiedzcie Margierowi... że w obozie zdrada,

Że Lutas... zdradził Litwę!..“ Tu oddech się zatnie;
 Ryknął lew strasznym płaczem—ryknienie ostatnie
 Rozległo się w pustyni. Choć w krzyżackim tłumie
 Nikt krom wodza litewskiej mowy nie rozumie,
 Jednak wszyscy pobladli, każdy oddech ścina;
 A tylko mnich brodaty, słysząc z ust Litwina,
 Że wymawia Chrystusa i ręce podnosi:
 —„Oto—rzecze—poganin chrztu świętego prosi,
 „Z płaczem wyznaje grzechy, spowiada się w skrusze,
 „Śpieszmy odebrać piekłu zatraconą duszę!“
 I już ze stągwią wody z Niemna zaczerpniętej
 Chciał nad czołem Lutasa odprawić chrzest święty,
 Przybliża się ostrożnie i wyciąga szyję—
 „Ciesz się, piekło! już stary poganin nie żyje!“

VI.

Na ziemi poszarzało, na niebie już świta.
 Ransdorf, jak martwy posąg, jak kolumna wryta
 Stał nad trupem Lutasa—co myśli? co marzy?
 Szatan mu dziką rozpacz wypisał na twarzy,
 Jego czoło zmarszczkami najeża zgryzota,
 Jako wichur wśród burzy kiedy fale miota.
 A w głowie kipią myśli szalone i chore,
 A całe piekło cierpienie w jego piersiach gore.
 —„Ha! prawdę powiedziałeś, o starcze złowrogi!
 „Nie pora zbrodniarzowi cofać się w pół drogi.
 „Kto raz wirem występku został uniesiony,
 „Już go twarda konieczność pochwyty w swe szpony,
 „Pehnie ze zbrodni we zbrodni; na drodze takowej
 „Chcieć się wstrzymać od grzechu—to może grzech nowy!
 „Hańba złamać przysięgę... daną w obec krzyża,
 „Mistrzowi wydać przejście, co k'twierdzy przybliża...

Osadzili strażami i wały, i wieże,
 I bramę do warowni, i Niemna wybrzeże;
 A sami do świątyni zeszli się gromadnie,
 Gdzie Marti suche drzewo do ogniska kładnie,
 A podnosząc do góry ociemniałe oczy,
 Z podziemnymi bogami swój rozhovor toczy.
 A na jój twarz promienną, na postać niewieścią
 Cała Litwa pogląda z przestraczem i cześcią;
 Czy wróżbiarka poblednie, czy rumieńcem pała,
 Litwa, jakby w jój twarzy swą dolę czytała,
 Płomieni się i blednie. Marti stos rozżarza,
 I po trzykroć obchodzi dokoła ołtarza,
 I polewa na ogień krew z całopalenia,
 I coraz insze bóstwo kolejją wymienia,
 Coraz inszemu bóstwu oddaje pokłony,
 Zwraca się do zachodniej, to do wschodniej strony,
 Niewidzialnego inszym przywołuje ducha,
 Zdaje się o coś pyta, zda się czegoś słucha.
 Aż nareszcie poczuła nadziemską wyrocznię
 I chrapowatym głosem przepowiadać pocznie,
 A z czarnych kłębów dymu, jak z piorunnój chmury
 Leci odgłos wyrazów drżący a ponury:
 — „Pytałam się u bogów, w czym losu osnowa?
 „Ale niebo milczenie uroczyste chowa;
 „Chciałam w piekle wyczytać przyszłość téj krainy,
 „Ale nad całym piekłem lata płomień siny;
 „Pytałam chmur niebieskich, ale wiatr je kręci;
 „Pytałam czarnych kruków, lecz żerem zajęci;
 „Tylko płomień zniczowy—słuchajcie z oddali—
 „Z jakimś się dzisiaj hukiem niewyciecznym pali,
 „Uczuwam w łonie ziemi jakiś dreszcz nieznany,
 „A noże ofiarnicze spadają ze ściany,

„Kędy je zawieszono!—Czuwajcie gotowi!
 „Trzeba spełnić, cokolwiek niebo postanowi;
 „Bo łatwiej zepchnąć górę do niemnowej fali,
 „Prędeż ogień zaskrzepnie, woda się zapali,
 „Niż z wyroków nad ludzką zawieszonych głową
 „Pòtrafimy odmienić choćby jedno słowo.
 „Wiele przeszło pokoleń w Litewszczyźnie staréj;
 „Ale jak Litwa Litwą nie było ofiary,
 „Jaka dziś ma się spełnić—biada temu, biada!
 „Kto z boleści zajęknie, kto sercem nie włada,
 „Kto z mężów aż do końca nie dotrzyma broni,
 „Która z niewiast przed wrogiem choćby łzę uroni!“
 Tak Marti wysilona chwieje się i słania,
 A z wałów róg bojowy podał znak spotkania.
 —„Na mury!—krzyknął Margier—niech Niemiec obaczy,
 „Co jest walka w rozpaczy, co jest śmierć w rozpaczy!“

VIII.

Krzyżacy z nowém wojskiem, jak wczorajszej chwili,
 I tratwy naprawili i Niemen przebyli,
 I trzy potężne hufce zmierzają swobodniéj
 Od Niemna, od Puniały, od strony zachodniéj;
 Tylko strona południa, gdzie las i bezdroże,
 Wiencem się wojsk morderczych opasać nie może.
 Książę saski, choć ranny, od strony Puniały
 Rozwinął po wąwozach hufiec okazały;
 Nemur, gościnne książę od Niemieckiej Rzeszy,
 Pod zachodnie okopy z rajtarami śpieszy,
 I szykuje konnicę nad szerokim jarem;
 Sam wielki mistrz od Niemna, pod białym sztandarem,

Na czele swój piechoty przodkowanie bierze,
Wdziera się mimo trudu na strome wybrzeże.
A Litwa ogarnięta potrójną oblawą
Na wszystkich trzech okopach potyka się żwawo;
W miarę jak rąk ubywa, odwagi przyrasta:
Mąż bierze łuk i włócznię, a słaba niewiasta
Kamieniami i gruzem zamierza z oddali,
Bije w głowy rajtarów i z nóg ich obali;
Tylko że słabym rękoma ta praca niełatwa.
Dziś ani jedno czółno, ani jedna tratwa
Nie zostały strzaskane od ciosu kamieni,
Rzadko trupem krzyżackim Niemen się zapieni.
A nie bacząc na straty, niemiecka drużyna
Coraz wyżej a wyżej po wałach się wspina,
Czepia się na urwiskach, czepia na opoce,
I z bojowych taranów do warowni grzmoce.
Litwa stanęła pierśmi—zakipiał bój ręczny,
Zlał się w jedną gromadę oddział trzytysięczny,
I krzyki różnorodne, i szczełk różnej broni
Szalonymi rozgwarą uderzył po bloni.
Naokoło warowni rzeź toczy się krwawa,
I jakby chmurny obłok kłębi się kurzawa,
I coraz się rozciąga i dłużej i szerzej;
Czasem ogień z rusznicy jak piorun uderzy,
Czasem bieżąc po wałach różnemi zakręty
Grzmotnie wśród chmury kamień z wieżycy zepchnięty,
Przebija w chmurze otwór, co znowu się zlewa;
Z chmury tylko krew świszczy jak deszczu ulewa,
I wałą się zabici do rzeki, do fossy,
A z twierdzy jęk niewieści kwili w niebogłosy.
Z za Niemna coraz nowi przybywają goście,
I na trupach zabitych, jakby na pomoście,

Stają nowe szeregi na pomoc mistrzowi,
 Kędy huf obezsilon, świeżym się odnowi.
 A Litwini wciąż jedni wśród nieprzyjaciela;
 Oko piaskiem nabite już niecelno strzela,
 Ręce trudem złamane nie udźwigną młota,
 Słabym tylko zamachem po pancierzach grzmota
 Silny niegdys ich bardysz.—Koleją — koleją,
 Widzi Margier, że jego bojownicy mdleją,
 W piersiach zachrypnął okrzyk, co był silny z rana,
 W oczach krew się zapiekła, a na ustach piana.
 Zatrąbił do odwrotu, i swój zastęp cały
 Pod osłonę warowni zgromadził na wały,
 I już pod samym wałem ujrzał krzyża znamię.
 Spojrzał w oczy Litwinom, i ręce załamię:
 Napróżno im wydawać wojownicze hasła,
 Ostatnia iskra męztwa w ich oczach zagasła;
 Ale jeszcze ostatnia nadzieja nie znika.
 —„Niech silny grad kamieni spotka najeźdźnika!“
 I co żyje: mężowie, niewiasty i dzieci,
 Jęli dźwigać stos cegieł—i gradem polecą
 Tysiąc strasznych pocisków—a każdy coś znaczy:
 Bo najstraszniejsza siła, to siła rozpaczki!
 Jak gdyby pod sturęcznym zamachem olbrzymia,
 Chwieje się huf krzyżacki, i pochód zatrzyma.

IX.

Od wschodniej, od zachodniej, od północnej ściany
 Margier ujrzał pęd wroga kamieniami wstrzymany;
 Zwrócił się k'południowi—o straszny Perkunie!
 Tu chorągiew krzyżacka odważnie się sunie

Z niedostępnych bezdroży — gdzie stara olszyna,
 Gdzie się lochów tajemnych siatka rozpoczyna,
 Silny hufiec niemiecki zachodzi swobodnie,
 Przed hucnem młody łucznik potrząsa pochodnię,
 Zapalił dach i dalej spustoszenie niesie,
 I oto płomień węzłem zwiija się po strzesie!
 Margier poznał Ransdorfa — i wzrokiem sokoła
 Obrzucił całą twierdzą. — „Litwini! — zawoła —
 „Dajcie rozbrat nadziei: już się twierdza pali.
 „Modlitwa nie pomoże, męztwo nie ocali.
 „Jedno zostało... umrzeć... O! gdyby wrogowie
 „Szanowali cześć niewiast, albo dziatwy zdrowie!
 „Litwini! ja, wasz księżę, z rzewnemi modlitwy
 „Upadłbym do nóg jego dla zbawienia Litwy.
 „Ale któż Krucygiera o litość umodli?
 „Trzeba umrzeć... Litwini! czyż umrzem jak podli?
 „A na ostatnim trupie męznego Litwina
 „Naszych starców i dzieci Krzyżak pozarzyna!
 „I będzie się na zgliszczach urągał boleści,
 „Naszych bogów znieważy, niewiasty zbecześci!
 „O! nie dopuść, Perkunie, na Litwę tój plamy!
 „Jeśli trzeba się poddać — trupy im oddamy!
 „Zapalcie stos ofiarny! wzmóście się na sile,
 „Rzućcie na nich kamieniami, wstrzymajcie na chwilę,
 „By wrogowie, przyszedłszy w nazbyt rannój dobie,
 „Nie przeszkodzili spełnić, cośmy winni sobie.
 „Jeszcze ostatnim gradem na wroga ciśnięjcie!
 „Brat bratu, ojciec dziecku niech odbierze życie:
 „To lepiej, niżli zginąć od ręki siepacza!“
 Rzekł, i kamień z okopu co największy stacza,
 I twardemi granity od końca do końca
 Sto krzyżackich rycerzy w topielisko wtrąca.

Twierdza gore, bój kipi — Litwini z rozkoszą
 W środku samój warowni stos ofiarny wznoszą.
 Straszliwy jęk rozpaczy doszedł do podziemi;
 Wyszła Marti, jak upiór, z bogami swojemi,
 A zagasiwszy Znicza — z wysileniem ducha
 Ostatnią jego iskrę na stosie rozdmucha.
 Ransdorf widzi z daleka swój zdrady owoce:
 Marti strasznym toporem w pierś Litwinów grzmoce,
 Pod ofiarném żelazem ściele się gromada,
 A kto skonał, kapłanka na stosie go składa.
 Dzieci Litwy, pijane szalem i rozpaczą,
 Same się zabijają, same na stos skaczą;
 Niejeden dziki ojciec wśród pogorzeliśka
 Chwycił syna z kolebki i na ogień ciska;
 A matka jeszcze trupa spalonego pieści,
 Nim ją przyszli zabijać — skonała z boleści.
 Margier kapłanom w trąby odezwać się każe,
 Aby się podniecała wściekłość przy ofiarze;
 A sam z kilku mężnymi własne mury wali,
 Strąca balki na Niemców, by nie przeszkadzali
 Spełnić się losom Litwy przy ofercie krwawej.
 Pocziesz się, wielki mistrzu, żniwem twój wyprawy!

XI.

Kiedy Litwę ogarnął jój zapal szaleńczy,
 O Egli zapomniano, że w więzieniu jęczy,—
 Ransdorf z ogniem i mieczem, jakby zbójca dziki,
 Obiega całą twierdzę z wiernemi łuczniaki,
 Po znajomych komnatach snuje się dokoła,
 I w ręce na nią klaszcze, po imieniu woła.

A chociaż płomień huczy, a bój z dala wrzeszczy,
 Choć się z echem rozlega płacz matek złowieszczy,
 Chociaż echo szaleje wpośród komnat próżni —
 On pewien, że ją znajdzie, że jój głos odróżni,
 Wpadł szalencie do lochów w ofiarnój podziemi,
 To deptał bogi Litwy, to klękał przed niemi;
 Wreszcie w lochach podziemnych, których nie pamięta,
 Znalazł ciemne więzienie, gdzie Egla zamknięta.

XII.

Ona z piętnem boleści na wybladłej twarzy,
 Siedziała w głębi lochu — coś głęboko marzy.
 Promień słońca ukradkiem jój oblicze złoci:
 Zbledniał krasny rumieniec wśród murów wilgoci,
 Schmurniało piękne czoło, powisła jój głowa,
 A na jój ustach bladość spoczęła grobowa;
 Rzekłbyś, że skamieniała, jak martwa opoka,
 Gdyby nie iskra życia, co strzela z jój oka.

Gdy Ransdorf ostateczne wysilenia czyni,
 Kiedy pękły żelazne wrzeciędzie jaskini,
 Cofnęła się trwożliwie, krzyknęła boleśnie,
 Patrzy nań nieprzytomna jak na widmo we śnie.
 Ransdorf krwią obryzany przed dziewicą klęka:
 — „Córko Litwy! błysnęła ostatnia jutrzenska
 „Nad gniazdem twego rodu — cała twierdza gore!
 „Przybiegam cię ocalić, och! przybiegam w porę:
 „Płomień ostatnie balki na dachu przepala,
 „A Krzyżacy do twierdzy cisną się jak fala,
 „A Litwini pod zamkiem rozpaczliwą zgrają
 „Sami się na ofiarę bogom zabijają,

„Aby żywo nie wpadli pod niemiecką władzę.
 „Idźmy ztąd, piękna Egle, ja cię uprowadzę!
 „Straszny dzień!.. uciekajmy... czy widzisz dym czarny?
 „Czy słyszysz huk płomieni i okrzyk ofiarny?
 „Czujesz, jak tu gorąco już przepala cegły?
 „Śpieszmy! bo droga trudna, a nasz cel odległy...
 „Ja ciebie uprowadzę szlaki znajomemi
 „Z niebezpieczeństwa wrogów, ze zgliszcza twój ziemi!“
 Rzekł, i patrząc z rozkoszą w oblicze dziecięce,
 Chciał miłe sercu brzemię pochwycić na ręce;
 Ale córka Margiera łagodna a cicha,
 Skinieniem go oddała, spojrzeniem odpycha,
 A w tém jedném spojrzeniu tyle sił wyteża,
 Że jak pchnięty ramieniem bojowego męża
 Cofnął się młody Krzyżak. — „Stój, dziki zuchwalcze!
 „Kto ci mówił, żeś słaba? że siebie nie zwalczę?
 „Co znaczą mego domu gorejące ściany?
 „W twoich ręku pochodnia i miecz krwią zbryzgany!
 „Posłuchaj mię, Krzyżowcze! och! niedawno jeszcze
 „Jako najslodszą myślą biedne serce pieśczone,
 „Że z tobą w cudzej ziemi pędzić będę chwile,
 „Obowiązki dla bogów, dla Litwy uchylę,
 „Porzucę dom i ojca... i będzie mi błogo,
 „I tu nie pożałuję nikogo... nikogo!
 „W snach widziałam twój domek, i morskie wybrzeże,
 „I mury waszych zamków, i kościelne wieże;
 „Przysięgłam twemu Bogu, że moich porzucę,
 „I skłonię całe serce ku jego nauce...
 „Lecz dzisiaj w moich myślach i w sercu inaczej:
 „Ty przywiodłeś do Pullen krzyżackich siepaczy,
 „Wniosłeś do mojej strzechy i miecz i pożogę,
 „Dzisiaj Litwa chce ofiar — cofnąć się nie mogę.

„Moja powinność umrzeć w ofiarnej postaci
 „Obok mojego ojca, obok moich braci.
 „Weź ten krzyż... mnie niewolno nosić go na łonie:
 „Egle ze swemi bóztwy w jednym stosie spłonie.
 „Ztąd nie zdołasz mię wyrwać całą swoją mocą
 „I nigdy się nie dowiesz: do kogo i po co
 „Zaszlę ostatnią modłę...“

VIII.

Tak mówiła śmiało.

O duszo Margierowa! czemu słabe ciało
 Obralaś za mieszkanie? czemu we łzach oczy?
 Czemu ten dym, co buchnął, twoją główkę mroczy?
 Czemu płomień pożarny, co się mignął z dala,
 Z piersi ostatni oddech gorącym wypala?
 Egle traci przytomność, chwieje się i pada,
 A płomień już się wgryza, sklepienie przejada,
 I w głębokie podziemie od baszty przyległej
 Posypały się głównie i runęły cegły.
 Z pośród gruzów pożarnych, dymu i płomieni,
 Porwali biedną Eglę łucznicy strwożeni;
 A Ransdorf na ich czele, jako czujna warta,
 Ukazuje im drogę, płomienie rozgarta;
 A gdy wyszli z podziemia, on drżący i siny
 Mieczem toruje drogę pomiędzy Litwiny.
 Tam już z wałów ostatnie cofnęły się strażę,
 A twierdza jednym hukiem goreje w pożarze;
 Ze wszystkich stron Krzyżacy wpadają i wrzeszczą,
 A ich trąba ogłasza godzinę złowieszczą,

To chychoce jak szatan, to syczy jak żmija.
 A Litwa nieprzytomnie sama się zabija:
 Tam morderczym toporem brat uderza brata,
 Ojciec własne niemowlę bardyszem rozplata,
 Dzika Marti ze stosu płonącego drzewa
 Ostatnią dla nich pieśnię pogrzebową śpiewa,
 Poleca swoim bogom dusze tych, co płoną,
 I wywija w powietrzu siekierą święconą.

Ransdorf z lubą zdobyczą przebiega podworze,
 Przeciska się przez ognie, topory i noże,
 I mieczem nieprzytomne wymierza zamachy;
 A jego hełm i pancerz wykowane z blachy
 Napaliły się w ogniu, pierś i głowę pieką.
 O! w téj głowie, w téj piersi gorącej daleko!
 Wrząca dusza młodziana silniej płomienieje
 Od zgryzot, i obawy, i trwożnej nadzieje.

XIV.

Wierni jego łucznicy, uchyliwszy głowy,
 Niesli omdlałą Eglę za obwód zamkowy,
 Gdzie z pod olchy, zawarte kamieniami i kłodą
 Poczynają się lochy, co do Niemna wiodą,
 W których była ostatnia obrona Litwina,
 A których dziki widok tyle przypomina!
 Och! bo w życiu Ransdorfa to miejsce nielada:
 Tędy go wiodła miłość, tędy wiodła zdrada,
 O poranku szedł tędy na czele swój młodzi,
 A teraz jak kochanek szczęśliwy przechodzi.
 Lecz choć sercu i mężtwu dziś stało się zadość,
 Czemu na jego twarzy nie kraśnieje radość?

Czemu serce nie kipi w swobodzie młodzieńczej
 Gdy szlachetne żądanie skutkiem się uwieńczy?
 Już swobodny od mieczów i pogorzelniska,
 Czerpa wodę z potoku, na twarz lubą pryska —
 Egle dała znak życia, snadź że coś pamięta.
 Swobodniej odetchnęła pierś bolem ściśnięta;
 Otwarła jasne oczy — o radosna zmiana! —
 I niebem zabłysnęła dla duszy młodziana,
 I sili się przypomnieć wszystkie dnia koleje:
 Gdzie jest? dokąd ją wiodą? co się w zamku dzieje?
 Chce, ale nie śmie spytać, a choć się zapyta,
 W oczach tylko łuczników odpowiedź wyczyta:
 Bo ich trwogą przeraża podziemne bezdroże,
 Zguba jeszcze tak blisko — a głos zdradzić może.
 — „Czas nagli do pośpiechu! uciekajmy skoro!“
 Tak wołając łuczniki na barki ją biorą,
 A Ransdorf z zapaloną pochodnią na przedzie,
 Znajomemi zakręty cały orszak wiedzie;
 Aż w milczeniu ostrożne posuwając kroki
 Stanęli u wybrzeża niemnowej zatoki.

Tam, jak Ransdorf zawczasie przygotować każe,
 Czeka już łódź niemiecka i zręczni wioslarze.
 Egle jeszcze w półmartwa, złożona do łodzi,
 Spojrzała w stronę zamku, zkąd okrzyk dochodzi,
 I na krwawe płomienie, co jój dom pożarły,
 I okrzyk rozpaczliwy z piersi obumarłej
 Przeszył piersi Ransdorfa jak ostrém żelazem:
 — „Puszczajcie mię do ojca! ja zginę z nim razem!
 „Ja przed obliczem śmierci odważnie dostoję,
 „Jak wszyscy bracia moi, jako siostry moje!“
 Tak jęknęła boleśnie, i ręce załamię,
 I znów omdlała głowę przewiesza na ramię.

A Ransdorf klęczy przed nią i słowa nie mówi,
 A wioslarze na wodza skinienie gotowi
 Zepchnęli kół do wody, — zaszumiały wiosła,
 I fala z cichym szmerem ich czółno poniosła.

XV.

A na zgłiszczach zamkowych kipi bój zajadły:
 Zwęglone od płomienia ściany już opadły,
 Do Niemna, do Puniały płynie krew ruczajem;
 Litwini nie przestają mordować się wzajem,
 Wskakują w stos ofiarny, śpiewają i jęczą,
 Obryzgani posoką i pianą szaleńczą.
 Jeden Margier spokojny wśród jęku swych dzieci;
 Żaden mu wściekły wyraz oblicza nie szpeci.
 Ujrzał zgubę, gdy Krzyżak od lochów się wciska,
 Zaprzysiągł, że mu odda trupy i zwaliska,
 A jako dobro Litwy, jak bogowie każą,
 Ścina głowy swym braciom z uroczystą twarzą:
 Nie pastwi się nad nimi jako wściekły zbójca,
 Ale pełni powinność książęcia i ojca,
 Aby lud bohaterski, sercem ukochany,
 Nie przyszedł w pohańbienie, dźwigając kajdany.

Szukający zdobyczy wśród zamku płomieni,
 Krzyżacy na morderstwo patrzą przerażeni;
 Od ranka swęj wściekłości wywierając dosyć,
 Nie śmieją na Litwinów już ręki podnosić.
 Choć biorą to szaleństwo za sidła szatana,
 Do ich serca wstępuje jakaś cześć nieznaną
 Dla chrobrych bojowników. Już stos ledwie pała,
 Już Marti wśród gorących płomieni skonała,

Już słyhać słaby łoskot ledwie kilku młotów,
 Margier krwawą ofiarę już dopełnić gotów
 I przebić własne piersi.

XVI.

Wtém z Niemna od brzegu
 Płynącą łódź krzyżacką z daleka postrzega:
 Poznał postać Ransdorfa — rzucił wzrok sokoli:
 Poznał Eglę — zapłakał... bo mu serce boli.
 — „Bogowie! ja tu czuwam, gdzie o Litwę idzie,
 „A tu własna krew moja śpieszy ku ohydzie!
 „Wyrodna krew Margiera, Egle nieszczęśliwa,
 „Śpieszy potargać z Litwą rodzinne ogniwa,
 „I z młodą a najdzikszą krzyżacką gadziną
 „Ucieka od ofiary, kędy wszyscy giną!
 „Perkunie! wzmocnij rękę! oto w jednym strzale
 „Ja cześć jój nieskalaną od hańby ocale!“
 Rzekł, i z silnego łuku wymierzył do łodzi,
 Nie wierzy w trafność oka: bo mu lżą zachodzi —
 Naciągnął — puścił strzałę... pobiegła ze świstem,
 Aż Niemen zapluchotał drgnieniem uroczystém.
 Stańło w oczach ojca grobowe widziadło,
 A z czółna coś białego do wody upadło.
 Jeszcze wystrzał, i jeszcze uroczysta chwila,
 Łódź skręca się po fali, chwieje się, nachyla,
 I z pluchotem jak kamień do Niemna uderza
 W polerownej zbroicy ciężki trup rycerza.
 Zakrzyknęli wiosłarze ratunkiem zajęci;
 Jeszcze się biała płachta z falami zakręci,
 Mignęła raz... i drugi po wodnym obszarze...
 Uciekli na brzeg drugi strwożeni wiosłarze.

A Niemen jak dotknęła czarodziejska władza,
Znowu płynie spokojnie, znowu się wygładza,
Kręci się lekkim wirem, od słońca połyska,
Nie zgadniesz w jego łonie śladu grobowiska.

XVII.

— „Spełniła się—rzekł Margier—ofiara straszliwa!“
I podchodzi do stosu, i miecza dobywa.
Tam już wszyscy Litwini snem wiecznym posnęli:
Owdzie trup się czerwieni, owdzie kość się bieli,
Owdzie jęk się wydziera ostatniego ducha;
A nad stosem przygasłym jeszcze dym wybucha.
Margier kołpak soboli zdjął z rycerskiej głowy:
— „Witam cię, chobro Litwo, w otchłani grobowej!
„Daj świadectwo niebiosom w uroczystej dobie,
„Żem cześć twoją ocalił i zginał przy tobie!
„Nie umarłaś spodlona — tylko nieszczęśliwa!“
Rzekł, i szerokim mieczem pierś własną przeszywa,
Oczy wlepił w niebiosą, i trupem się ściele...
Skonał ostatni Litwin na bratnim popiele.

E P I L O G.

Krzyżacy w gruzach cegieł i spalonych głowni
Długo szukali skarbów ukrytych w warowni,
Żołdactwo w popielisku długo się szamota
Szukając starych miodów i srebra i złota.

Wycięli stare lasy u Litwinów święte,
 Zabrali tuczne trzody dotąd nieporznięte,
 I zburzyli warownię i z ziemią zrównali,
 Krzyż na nią postawili i odeszli dalej.
 Puszczyki zamieszkały tajemne otchłanie,
 Czas objął rumowisko w swoje panowanie.
 Na rycerskich popiołach to się trawka wspina,
 To porosły pokrzywy i gęsta leszczyna;
 Potém rolnik zaorał niwę znakomitą,
 I posiał na jój łanie chleborodne żyto.

A na gładkiej głębokiej Niemnowej topieli
 Czasem się biała płachta o zmroku zabieli...
 Ci nie wierzą, ci wierzą — dziwny ród człowieczy!
 Ktoś ci jeszcze odpowie: że to stare rzeczy,
 Że z czasów, gdy Litwini byli jeszcze dzicy,
 Jest to chusta grobowa Egli topielicy.

A więcéj próżno pytać o przeszłość nieznaną, —
 Gdzieś ją, slysze, w lacińskich ksiązkach zapisano:
 Chcesz się prawdy dowiedzieć? — pytaj kronikarzy;
 Resztę niech własna głowa, niech serce domarzy!

Borejkowszczyzna, 6 sierpnia 1854.

KĘS CHLEBA.

GAWĘDA Z PÓL NADNIEMENSKICH.

DO CZYTELNIKA.

Otom znowu przed słuchaczem,
Chętny z moją posługą!
Nie pytajcie: czemu? za czém?
Gdziem się bawił tak długo?
Och! cierpiałem, długo, srodze!
Dziś już piersi nie bolą;
Po staremu k'wam przychodzę,
Z kęsem chleba i solą,
Z dobrém sercem weźcie, proszę,
Pokosztujcie, kto życzy!
A przebaczcie gdy po trosze
Będzie w chlebie goryczy!
Kiedym kreślił biedne dzieło
Gwoli ducha potrzebie,
Z oczu parę łez kapnęło
I zagorzkło na chlebie.
Chciałem dar mój niebogaty
Złożyć w ręce rówieśne;
I zbierałem nasze kwiaty,
Polne, łączne i leśne.
Myślę sobie: „Ot po prostu
„Mym słuchaczom poświęcę!“
Wtém ukryta gałąź ostu
Zakrwawiła mi ręce.

Więc i pismo poszło krzywo,
 Gdy piosenkę wam klecę:
 Bacząc zawždy chęć życzliwą,
 Podarujcie kalece.
 Nim się lepszy dźwięk odnowi
 Na wioskowym mym flecie,
 Bierzcie zdrowi, k'pożytkowi,
 Co tu dobrém znajdziecie.

KĘS CHLEBA.

I.

Dziwno mi nieraz, gdy w myslach rozważę,
 Jako skrybowie i Pańscy pieśniarze
 Z silnemi pierśmi i z sercem ochoczym,
 Skarżą się nieraz na brak żywej treści:
 Że w pięknej Litwie śpiewać niema o czém,
 Że im nie staje wątku do powieści.
 O bracia moi! rówiennicy mili!
 Za cóż swęj matce bluźnicie zuchwali?
 Czyście już całą przyrodę zgłębili?
 Czyście już całą głąb' duszy zbadali?
 O! jeśli waszą unużyło lutnię
 Łowić brzęk wiatru, co w zaroślach gwarzy,
 Śpiewać niebiosą zachmurzone smutnie,
 Lub z Symonidem wtórzycie pieśń żniwiarzy,
 Albo powtarzać szczebiotanie ptasze
 I jęki nasze i radości nasze —
 Jeśli już dla was nienowa nauka
 Słuchać jak serce waszych braci puka, —

To weźcie wszystko przeglądać na nowo
 Przez drobne szkiełko, co mikroskop zowają.
 Połóżcie pod niém, co łaska i wola,
 Główkę motylą lub serce człowiecze,
 Łezkę, co z oczu splakanych wyciecze,
 Lub kwiat urwany z litewskiego pola.
 A rozpowiedźcie sumiennie a święcie
 Blask każdój barwy, każde serca drgnięcie,
 Każde ruszenie drobnego atomu,
 A pieśń już sama utworzy się snadnie —
 A dobrzy ludzie zbiorą się gromadnie
 Posłuchać pieśni, westchnąć po kryjomu;
 A gdy się słuchacz rozczuli, rozmarzy,
 O! wtenczas dobre żniwo dla pieśniarzy.

II.

Bez szkieł, lecz z duszą, co kocha i wierzy,
 Patrzę na kawał chleba z mój wieszery:
 W tym drobnym zlepku wszak może się chowa
 Cała treść pieśni żywotna i czuła.
 Drobną okrucho! o gdyby ci mowa,
 Jakżebyś rzewne dzieje nam wysnuła:
 O twojej doli, o rodzinnej roli,
 O twojej siejbie, kwitnieniu i wzroście,
 Jako się rolnik na żniwie mozoli?
 Jakie tam ptactwo przylatało w gościę?
 Jak na twój kielek czerwono-błady
 Działało słońce i rosa i cienie?
 Czy ciężkie grady, czy chciwe owady
 Spadały z niebios na tve spustoszenie?
 Czy sute były dożynki po żniwie?
 Czy pan był wesół, żeć zebrał szczęśliwie?

Za ile ziarenek ile dostał groszy,
 Gdy przybył kupiec w wioskowe zacisze?
 Czy grosz wydano dla serca rozkoszy?
 Czyli na ołtarz zbytłkowi i pysze?
 I jak wyrobnik zakupione ziarna
 Kruszy w kamieniach, na chleby wypieka?—
 O zlepku żytni! okruszyno marna!
 Jakże tve dzieje ciekawe dla czleka!
 Z twojemi losy jak ściśle się splata
 I jasny pałac i chróściana chata!

III.

Chleb — święte słowo w niebie i na ziemi,
 W nim Bóg sam siebie między ludzi dzieli,
 Przed Chlebem Życia truchleją anieli,
 Człek go przyjmuje usta pobożnemi,
 W chlebie Sakrament odkupienia bierze,
 W chlebie jest Boga z ludzkością przymierze.
 A gdzie Bóg zsyła swojego anioła
 I dzikich ludzi ku światłu powoła,
 Tam zaraz zbożem zasiewa się niwa,
 Srogi syn lasu zaraz chleb pożywa.
 A skoro spożył, wnet się uszlachetni,
 Wnet się w ogniwa społeczne kojarzy;
 Chleb jego przyszłość dziejową uświetni
 I piętno boże wyciśnie na twarzy.
 W marnój okrusze, barbarzyńcy prości
 Przyjęli święty sakrament Ludzkości.

IV.

O wyobraźnio, święty niebios darze!
 Jako chleb ciało, ty nakarmiasz duszę,

Dzięki twym cudom, kiedy się rozmarzę,
 W ziemskiego chleba malutkiej okrusze
 Całą jej przyszłość wysnowyвам snadnie,
 Dusza przeczuje, a serce ją zgadnie.

V.

Chlebie! po twoim smaku i zapachu
 Czuję z nad Niemna polankę borową,
 Widzę kaplicę o słomianym dachu,
 Słyszę jej dzwonek, jak brzęczy nad głową.
 To brzęk znajomy: bywało po lesie
 Z sosny na sosnę jak wiewiórka pnie się,
 Z góry na górę błyskawicą biega,
 Lub się po łące jak powódź rozlega.
 Och! pomnę, pomnę jego brzęk poranny,
 Kiedy bywało przy końcu już żniwa
 W dzień Przemienienia, lub Najświętszej Panny,
 Z poblizkich wiosek lud boży zwoływa.
 Śpieszy w kaplicę ciżba pracowita
 Święcić owoce, albo kłosa żyta.
 Tam gdy swe snopki na ołtarzu złożą,
 A ksiądz modlitwę poświęcałną pocznie,
 Pokłękły naród widzi rękę bożą,
 Jak błogosławi ich plonom widocznie,
 Już wie, że polna nie przepadnie praca.

Święcone snopki na siejbę wymłaca,
 Święcone ziarno po zoranój roli
 Sypnie garściami na każdój rozorze,
 I mówi w duchu: „Kiedy Bóg pozwoli,

„Jak gaj wyrośnie, zaszumi jak morze;
 „Daj Bóg doczekać do przyszłego lata,
 „Tożto się wianki kłosiane posplata!“
 Święcone ziarno mieszając z umłotem,
 Na dwornym morgu siał kmiotek sędziwy,
 Przywykł za własne uważać te niwy,
 Bo z dawna własnym użyźniał je potem;
 Więc szczerém sercem odmawiał pacierze:
 „Niech urunieje, niech bujny wzrost bierze!“
 Na skrzydłach wiatru jesiennego ranka
 Poszła modlitwa wysoko .. wysoko...
 Bóg rzucił k'niwom miłosierne oko,
 I zaruniała usiana polanka
 Krzewistą runią, — a całe pól łono
 Jakby ktoś szatą przyodział zieloną.

VI.

— „Boże, przyjm dzięki pokornego ducha
 „Za dobrą wróżbę plonów mojej pracy!
 „Niech traw zbożowych nie niszczą robacy,
 „Ni grad, ni powódź, ni skwarna posucha!“
 Szlachcie Łagoda, dzierzawca tej włości,
 Klęcząc na morgu, tak modłę wdzięczności
 Wylewał Bogu, obchodząc swe łany,
 Wznosił ku niebu i ręce i oczy;
 Powstał z modlitwy — i ujął ochoczy
 Grubą czeczotkę, kapelusz ze słomy,
 I poszedł dalej ścianką wedle gaju,
 Wciąż błogosławiąc Dawcę urodzaju,
 I w kole dziatwy, przy skromnym obiedzie,
 Stary wesoło wypił miodu czarę,

Wtórzy do śmiechu, pogadanki wiedzie,
 I opowiada przypowieści stare,
 I cały wieczór był rozpromieniony,
 Tak go cieszyły przyszłoroczne plony.

VII.

Och! między chwilą zasiewu i zbioru
 Jeszcze rok cały nadziei a troski.
 Biedny dzierżawco ubogiego dworu! >
 Przeminał dla was ów wiek prądziadowski,
 Że gdy na polu nie dopisze praca,
 Inszym się kształtem rachunek oplaca:
 Lub służąc z kordem do pańskich zamiarów,
 Lub pijąc wino z bezdennych puharów.
 Za nadto żwawie, wesola drużyno,
 Rąbałaś kordem i spijałaś wino:
 W pańskich puharach dziś zostały męty,
 Gorzka żółć z octem dla ubogiej braci;
 A biada temu, kto czynszów nie płaci,
 Suszą, powodzią, lub gradem dotknięty!
 A owych czynszów rachunek bez końca:
 Za niwy, łąki, za wodę w kałuży,
 Za dach nad głową, za promienie słońca,
 I za powietrze, co na oddech służy;
 Za polny kwiatek pokropiony rosą,
 Z którego pszczołki plastr miodu przyniosą;
 Za przelew prawa do kmiecój spółbraci
 Tyle a tyle, srebrników się płaci
 Do rąk dziedzica.

Dziś drogie talary:
 Pracuj i módl się, wyrobniku stary!
 Niech cię od nędzy sromotnej wyzwoli
 Garść drobnych ziarenek wrzucona do roli.

VIII.

Bóg ją przeżegnał, a czarnych pól łono
 Jak gdyby szatą przyodział zieloną;
 I przyszła zima, i latorośl żyta
 Wciąż rozwijając swój badylek krzepki,
 Mrozem spowita, a śniegiem przykryta,
 Legła jak dziecię — spocząć snem kolebki;
 A w trawce drzemie, nim je Pan Bóg zbudzi,
 Życie i pokarm dla tysiąca ludzi.

IX.

Bo Pan Bóg radzi o swojej czeladzi;
 Pastwiska jego my jesteśmy trzodą.
 Umocnić serce wcale nie zawadzi
 Na wszelką dolę, mospanie Łagodo!
 Zasiałeś niwę modląc się pobożnie,
 Bóg rączy wiedzieć, kto twą pracę później.
 Bogaty sąsiad, pan poblizkiej włości
 Może już dawno chleba ci zazdrości;
 Widząc ruń piękną w około twych chatkach,
 I w chleb zamożny twój naród wioskowy,
 Może już z panem poczynił umowy
 I na twą wioskę wyliczył zadatek;
 Trafił pochlebstwem do pychy magnata
 A sutym groszem do służalczej zgrai,

Jeszcze się chytrze przymili, przyczai,
 Jeszcze się z tobą jak z równym pobrata;
 Lecz gdy ci rękę do uścisku poda,
 Wtenczas twą zgubę dopełnił już właśnie!—
 Ani się stary spostrzeże Łagoda,
 Gdy kocim szponem krwawo go zadraśnie.
 Tém właśnie dzielna probuje się głowa,
 Kto zręczniejszy szpony mordercze przychowa.
 Biada prostakom!

X.

Tymczasem na niwie
 Wicher ze śniegiem swawoli burzliwie;
 A chleborodném obdarzona życiem
 Śpi trawka żytnia pod białém przykryciem.
 Mróz, co ją zwarzył i zakował w bryłę,
 Żywotnej treści wyssać z niéj nie może:
 Z zimnem słowiańskim obeznane zboże,
 Nabiera hartu i krzepnie na sile.
 A słońce wyżej, wyżej się pomyka,
 Wytryska ciepłem z każdego promyka.
 Choć mróz i wicher srożą się okropnie,
 Codzién po trosze śniegowisko topnie;
 Aż ocieplone wiatry marcowemi
 Puściły śniegi na polach, na łące.
 Zwija się wężem strumyków tysiące,
 Potok z potokiem kojarzy się, zlewa;
 Lecą ze szmerem wyzwoleńcy młodzi
 I szumią gwarem wiosennéj powodzi
 Nadbrzeżne błonia, zarośla i drzewa.
 Słońce promieńmi, jak olbrzymim grotem,

Rozbija lody, łamie i rozpryska;
 Fala wyzuta z cieśni grobowiska
 Płasa po nurtach wirowym obrotem.
 Rybacy czółnem już po Niemie płyną
 I śmiały sternik puszcza się z wiciną,
 A z ponad czarnej pooranej roli
 Ostatnia wilgoć kłębami wybucha.
 Wiosenny wietrzyk po niwach swawoli,—
 A rolnik, pełen wesołego ducha,
 Wychodzi czekać i słuchać co rana
 Pieśni skowronka, klekotu bociana,
 I z sercem pełnym wiosennej radości
 Wita przybycie pożądaných gości,
 A ze skowronkiem myśl jego skrzydlata
 Z rzewną modlitwą ku Niebu ulata.

XI.

Stary Łagoda, co przez całe życie
 Mógł się napatrzeć, nadziwować wiosnie,
 Każdą pozdrawia i wita radośnie,
 Z każdą się pieści w dziecinnym zachwycie,
 Patrząc z uśmiechem ku domowej strzesie,
 Najpierwszą dziatwie przylaszczkę przyniesie,
 Wszystkim zwiastuje najwierniej, najwcześnieją,
 Powrót bociana i skowronka pieśni.
 I nikt od niego lepiej nie pamięta
 Wszystkie wesołe a doroczne święta:
 Kiedy się święci chleb, ogień, czy woda,
 Nikt lepiej nie znał jak stary Łagoda.
 Gdy stary zegar, piastun jego dłoni,

Co w niskiej izbie kołace u progu,
 W noc Zmartwychwstania dwunastą wydzwoni,
 Starzec powstaje i modli się Bogu;
 A po nad rankiem, gdy cisza dokoła,
 Kiedy snem twardym spoczywają młodzi,
 Drżącemi pierśmi, ile głos podoła,
 On *Alleluja* radośnie wywodzi.
 I wtedy starzec najszczęśliwszy z ludzi,
 Gdy pieśnią dziatwę i czeladkę zbudzi,
 Kiedy obaczy, że wszyscy weseli,
 Święconym chlebem gdy wkoło się dzieli,
 Kiedy mu życzą domownicy prosi:
 „Daj Boże za rok doczekać w radości!“

Tak rok po roku jakiś się wyprosił,
 Jakos wymodlił dla starego pana,
 I radość była, bo ją w sercu nosił,
 Złym sercom obca, zepsutym nieznana,—
 Radość niewinna, spokojna i cicha,
 Co się do trawki, do kwiatka uśmiecha,
 Co na twarz starą wraca uśmiech młody,
 Co rzeźwi duszę widokiem przyrody.
 Taki skarb w sercu nie każdemu nosić,
 Kto nie pracował usilnie i długo;
 Tego modlitwą nie można uprosić,
 Lecz tylko nabyć cnotliwą zasługą:
 Jak długie lata żywota się liczą
 Przechować serca niewinność dziewiczą.
 Bo czyje oko choć raz się zaproszy,
 Kto raz sumienie w poniewierkę poda,
 Już nie osiągnie tego szczęścia w duszy,
 Jakie miał biedny, zgrzybiały Łagoda.

XII.

Jest zwyczaj w Litwie u szlachty i kmieci
 Gromadką w pole iść na święty Jerzy:
 Gospodarz w gronie czeladzi i dzieci
 Klęka na morgu, mówi pięć pacierzy,
 Ogląda pola, czy urodzaj wróża,
 Potém sąsiedzi do kółka się zbiorą,
 Zabrzękną w czarki i lulki zakurzą,
 Potém znów klękną modląc się z pokorą,
 A w dobrej myśli, ze spokojną twarzą
 Idą do domu, śpiewają i gwarzą.

— „Patrzaj, Macieju! ot idą ze dworu.
 „Stary pan wyszedł z dziatkami i żoną,
 „Klękli się modlić—właśnie od ugoru
 „Były zasiewki garsteczką święconą.
 „Ja sam rzuciłem—tam wyborna skiba,
 „Niedawna trzebież, to widać z daleka:
 „A jużby Pan Bóg niełaskaw był chyba,
 „Gdyby tam żyto nie wyrosło w czleka!“
 Tak stary Szymon mówił do sąsiada
 I nalał czarękę na trzecią już kolój:
 „Bądź zdrów, Macieju! niech marnie przepada,
 „Kto nam źle życzy—niech sam zginie wolój!“
 — „Bądź mi zdrów, kumie!“—Maciej mu odpowie
 Przyjmując czarękę, którą Szymon poda:
 „Za zdrowie pańskie! daj Boże mu zdrowie!
 „Niedarmo stary zowie się Łagoda;
 „Łagodna dusza naszego paniska,
 „Człek nie ma krzywdy u niego we dworze,
 „Nie tak jak inszy, co drze i uciska,
 „Że aż posłuchać nie dopuszczaj Boże!

„U nas... grzech mówić... tak, tak, panie kumie,

„Pan nas uważa za ludzi, za braci,

„Skargę wysłucha, krzywdę wyrozumie,

„Niech mu Bóg za to stokrotnie zapłaci!

„Niech ze swój działwy cieszy się radośnie,

„Niech zboże jego na las patrząc rośnie!“

— „Ej, szkoda tylko, że rośnie przy drodze:

„Mogą urzeknąć nieżyczliwe oczy.

„Pan sąsiad słyszę i bardzo ochoczy,

„Tutejszą wioskę zagustował srodze.

„Zjedna dziedzica i nas zadzierzawi;

„To sztuczka kręta, o sobie pamięta,

„A w pańskim zamku na niego łaskawi

„Od leśniczego do plenipotenta.

„Daje pieniądze — albowiż oni głupi?

„Dla czego nie brać, kiedy ktoś przekupi?

„A dla dziedzica... to niewielka szkoda,

„Że nas obedrą bez litości bożej;

„Czy pan Zabora, albo pan Łagoda,

„Wszystko mu jedno; kto zapłaci drożej,

„Ten będzie siedział na dwornym zagonie.“

— „A w Imię Ojca i Syna i Ducha!“

(Zakrzyknął Maciej) „Szymonie! Szymonie!

„Nie gadaj głośno — bo szatan podsłucha;

„A Bóg łaskawy strzegł nas do téj pory

„Od głodu, ognia i pana Zabory!

„Albowiż nie słyszysz, jak jego poddani,

„Každéj niedzieli gdy się w karczmie zbierzem,

„Z głodu wybladli, szmatami odziani,

„Sypią przeklęctwem jak żebrak pacierzem?

„Gdy nas Zaborze doła w ręce poda,

„Zgubi na zdrowiu, zgubi w gospodarce.

„Posłuchaj kumie, wypijmy po czarce,
 „Niech z nami stary wiekuje Łagoda!“
 Tak dwaj kmiotkowie, przy kielichu szczerzy,
 Gwarzyli z sobą na sam święty Jerzy.

XIII.

A żyto rośnie, jak nikt nie pamięta,
 Złoty urodzaj!—święconych ziarn dzieło!
 Pod koniec maja na Zielone Święta
 Zielone kłosie krasować poczęło;
 Mży się jak fala polanka bogata,
 Pył chleborodny jak dym nad nią lata;
 W sercu rolnika pokrzepia nadzieję,
 Bo łaską bożą ponad kłosem wieje.
 Kwiecień był ciepły, a maj służy deszczem,
 Będzie gaj żytni—to przypowieść znana.
 Stary Łagodo! zkad taka odmiana,
 Że zesmutniałeś w przeczuciu złowieszczém?
 Poglądasz w koło tęsknemi oczyma,
 Na uśmiech twoich uśmiech się nie trzyma?
 Czemu najczęściej zasklepiasz się doma?
 A gdy cię kroki na pole powiodą,
 Bywało z kwiatem, z grzybem lub z jagodą,
 Teraz powracasz z pustemi rękoma?
 Czemu w twém oku uśmiech coraz rzadszy,
 Kiedy na żonę i na dziatwę patrzy?
 Ani cię polny urodzaj pocieszy,
 Ani twa dziatwa, co pięknie dorasta,
 Ani śpiewanie pracowitéj rzeszy,
 Ani gwar ludzki, gdy ruszysz do miasta.

Coś ci niemilo, niedobrze na świecie,
 Twą siwą głowę jakiś ciężar gniecie.
 O! bo kto serca w sobie nie zagłuszy,
 Kto przeżył życie z Bogiem a przyrodą,
 Bystry u niego, o! bystry wzrok duszy,
 Jego przecucia nigdy nie zawiodą.
 Stary Łagoda, lubo już nie w porę,
 Oczami duszy przeniknął Zabore.
 Choć serce pełne prostoty gołębięj
 Mysł podejrzliwą jakby grzech odpycha,
 Lecz robak w serce wgryza mu się głębięj
 I jak mól w drzewie wciąż kolata z cicha:
 — „Ej, pękną twoje najdroższe nadzieje!
 „Ej, praca życia marnie ci zmarnieje!...
 „Dzisiaj zamożny i śpichrz i stodoła,
 „Jest coś i w trzosie—to krwawy pot czoła;
 „Ale któż zgadnie, co zdarzyć się może?
 „Gdzie przyjdzie spocząć na zgrzybiałe lata?
 „Coś z oczu patrzy źle panu Zaborze,
 „Z pańskimi sługi coś bardzo się brata.“
 Och! jeśli z dworku cudzego wypędzą,
 Przyjdzie się spotkać z cierpieniem i nędzą.
 Dokąd się stary obróci Łagoda?
 Chciwość nie miota jego duszą wzniosłą,
 Nie szkoda zbiorów i dworku nie szkoda,
 Chociaż nałogiem serce doń przyrosło,
 Nie szkoda bujnych urodzajów pola,—
 Smutniejsze myśli ciężą mu widocznie.
 Podrosła dziatwa—a kędyż jój dola?
 Zgrzybiała głowa—a kędyż odpocznie?
 Choćby pracować i ciężko i szczerze,
 Ręce nie zwykły k'sosze i siekierze.

Nad kim już cięży grobowe przykrycie,
Późno mu nowe rozpocząć życie.

XIV.

W dni moje młode, w dni moje szczęśliwe,
I jam uprawiał Nadniemeńską niwę.
Wiem, jak tam żyją w gospodzie i chacie,
Jak się zbierają na żniwa gromadnie,
Tameczne łąki znam po aromacie,
Wodę tameczną po smaku odgadnę.
Inszego ptactwa śpiew mię nie omami,
Znam jak skowronek, jak tam słowik śpiewa;
Poznam po szumie nadniemeńskie drzewa,
I wiatr tameczny rozpoznam płucami.
Bo tamte strony ukochałem szczerze —
A taka miłość, jak miłość dziewicy,
Słodka urokiem lubój tajemnicy,
Obeym jój uszom nigdy nie powierzę.
Bo śmieszno kwilić ku borowej sośnie,
Ku lichój trawce, co na piaskach rośnie,
Albo k'pustyni, kędy dworek stary
Pomiędzy wydmy i mokre wiszary.
Ale ta miłość, to sielskie zacisze
Tak mię zbratały z przyrodą jak z matką,
Że nic tam dla mnie nie było zagadką,
Zda się bywało wzrost trawy posłyszę.
I dzisiaj kiedy wzrok ziemski przysłonię,
A okiem duszy w te strony powiodę,
Widzę jak żywo starego Łagode,
Jako się krząta po polnym zagonie;

I słuchem duszy, jak gdyby na jawie,
 Słyszę na błoni nadrzecznej obszarze,
 Jak brzęczą w kosy ochoczy kosarze
 I polny konik jak strzekoce w trawie;
 Jak szumi zboże, gdzie wyrosło gęściej,
 I jak pod sierpem żniwiarek zachrzęści;
 Jako wioskowe żony i dziewoje
 Gwarzą na morgu, chychocą i pieją
 Pieśni żalodne, stare pieśni swoje,
 Co wiekowały setnych lat koleją —
 I z matki, z babki, z prababki podeszły
 Do ust nadobnej krasawicy przeszły:
 Pieśń o Dunaju, o krasnej kalinie,
 I o kozaku, co na wojnie ginie;
 A kiedy słodsze zapuka uczucie
 Do prostej piersi szczęśliwą nadzieją,
 Śpiewa o lubym, o zielonej rucie,
 A towarzyszki z jej marzeń się śmieją;
 Pieśniarka nie wie, gdy ją dumka pali,
 Śmiać się? czy gniewać? czyli marzyć dalej?
 Widzę, jak słońko kryje się za lasy,
 A rzeźwy chłodek powiewa od rzeki,
 Skrzypią ze zbożem ładowne kolasy,
 Ryk trzody z błoni dochodzi dalekiej.
 A tu na polu krzątają się dziewczki,
 By dworskich morgów dziś dożyć obszary,
 W tym samym miejscu, kędy Maciej stary
 Świecone ziarno rzucał na obsiewki.
 Nie darmoś księżu przeżegnał te ziarna!
 Nie darmo siewco modliłeś się Bogu!
 Wasza modlitwa i praca nie marna:
 Plenny urodzaj ściele się do brogu.

Dożnięcie zagon wesołą gromadką,
 Przy szumnym gwarze, przy pieśni odgłosie,
 Zwijcie do wianka najpiękniejsze kłosie
 Z krasną kaliną i modrą bławatką;
 Zanieście panu podarek ze żniwa,
 Jak zdrów doczekał, niech wesół spożywa.

XV.

Niezdrow, niewesół coś stary Łagoda—
 Jak gdyby nierad z dożynkowych gości.
 Dawniej przyjmował z uśmiechem radości,
 Młoda żniwiarka gdy mu wianek poda;
 Dzisiaj wioskowa dziwi się gromada,
 Czemu zesmutniał a twarz jego blada?
 Sami u siebie pytają i gwarzą:
 Kto tę zgryzotę do serca mu kładzie?
 Bo przyjął wianek z obojętną twarzą,
 Martwym uśmiechem dziękował gromadzie,
 A gdy śpiewano dożynkowe pieśnie,
 Starzec zapłakał... zapłakał boleśnie!
 Łzy jego twarzy wioskowi ludziska
 Dawniej widzieli—lecz zgadli choć prości,
 Że insza smutku, insza łza radości,
 Kiedy to z serca pełnego wytryska,
 Co kiedy błysnie na twarzy człowieka,
 Jakby promieniem bozkim przyobleka.
 Takiemi łzami, w dożynkowe święta
 Trafia się czasem zapłakać Łagodzie;
 Ale łza smutku dzisiaj niepojęta,
 Jakby tu zgadnąć, co mu serce bodzie?

Żona i dziatwa widząc twarz złowrogą
 I dumań starca częstym będąc świadkiem,
 Spytać nie śmieją, a zgadnąć nie mogą,
 I sami smutni leją łzy ukradkiem.
 Lud patrząc w oczy, aż zabłysną słodzięj,
 Nieśmiało k'stołu pańskiemu podchodzi.
 Lecz pan przypomniał, że dzisiaj ma gości,
 Wesolém okiem spojrzzał na żniwiarzy;
 Święte na Litwie prawo gościnności
 Spędziło smutek z zadumanéj twarzy.
 Na stole białą zasłanym oponą
 Stawia chleb cienki i słodkie owoce,
 Smolone szczepy na dziedzińcu płoną,
 A wiejski skrzypak skoczny taniec grzmoce,
 Piskliwe tony wyciąga od ucha,
 Nastroja skrzypce i dźwięku ich słucha
 I znowu grzmoce.—Miód, sprawca wesela,
 Krąży po rękach—gwar coraz to wzrasta;—
 Skromny parobczak i cicha niewiasta
 I młode dziewczę coraz się ośmiela.
 Podchodzą k'panu i młodzi i starzy,
 Pan się uśmiecha i ochoczo gwarzy.
 U niego kmiecie, to synowie mili,
 A starcy ze wsi, to bracia rówieśni;
 Zaprasza gości, by jedli i pili,—
 Zahulał taniec, zaszumiał gwar pieśni;
 W senném powietrzu szumi święto żniwa,
 W mgłach letniéj nocy z echem się rozplywa.
 Pomimo pieśni, mimo tańca gwary,
 Kmiecy rozhovor rozlega się głośno:
 — „Daj Boże zdrowie! oto pan nasz stary!
 „Niechaj mu dziatki na pociechę rosną,

„Niech syny jego, na téj saméj ziemi
„Będą panami nad syny naszymi!“

XVI.

— „Oj, złe Szymonie! złe sąsiedzi moi!
„Tylko u Boga miłosierdzia proście:
„Wczora pan karmi, wczora żeńców poi,
„Dziś szumią inni na folwarku goście.
„Słyszę, nasz dziedzic, gdy jechał za morze,
„Taki dał rozkaz do swych komissarzy:
„Wygnać Łagodę, bo złe gospodarzy,
„A wioskę jego dać panu Zaborze.“
Tak kurząc lulki a idąc do pracy,
Pomiędzy sobą gwarzyli wieśniacy.

— „Wygnać z dzierżawy? co się tobie marzy!“
(Rzekł na to drugi) „Ależ jak? i za co?“

— „Od czegoż głowa i rozum pisarzy?
„Znajdą przyczepkę — bo za to im płacą.
„Daj się im w ręce! — jak opiszą człeka,
„To aż zapomnisz o swym własnym rodzie.
„Ot słyszę za to, że gdzieś dach zacieka,
„Aż tysiąc złotych liczą na Łagodzie.
„Stary... wiadomo... do wszystkich się garnie,
„Każdemu ufał, zawierzył na skoro,
„Ot i podeszli... oczernili marnie...
„Teraz chudobę ostatnią zabiorą...
„Ze złym człowiekiem i nam sprawa krucha:
„Pana Zabory niebezpieczne oko,
„Dziedzic daleko, a Pan Bóg wysoko,
„Zabora skargę niebardzo wysłucha.

„Dobrze nam było ze starym Łagodą,
 „Bóg raczy wiedzieć, czy tak będzie dłużej,
 „Czy się tak samo nabytki powiodą?
 „Na dwoje wróżka, ej na dwoje wróży!
 „Bywało grosza zarobi gromada,
 „Gdy na flisówkę parobcy popłyną;
 „Dziś pan Zaborą, gospodarz nielada,
 „Każe im dworną puścić się wiciną.
 „Tak... tak... sąsiedzi!...“ Tu starzy włóścianie
 Kiwnęli głową jakby w jedno hasło,
 I stary Szymon rozprawić przestanie —
 Tak się zadumał, że w lulce zagasło.
 Wykrzesał ogień, rozpałił i pyknął,
 I dalej mówił: — „Zły życia ostatek!
 „Człek do Łagody już dawno przywyknął.
 „Toż on, mospanie, zemną jednolatek,
 „Jeśli dożyjem tegorocznej zimy,
 „Na święty Szymon sześćdziesiąt skończymy.
 „Lat ze trzydzieści czy więcej już pono
 „Jak my za niego Pana Boga prosim;
 „Toż kiedy cerkiew dzisiejszą święcono,
 „Kończy się latek trzydzieści i osiem.
 „Dobre panisko—ej szkoda go, szkoda!“
 To mówiąc starcy rozeszli się skoro,
 A w każdym uściech był stary Łagoda,
 A w każdym sercu był strach przed Zaborą.

XVII.

I słusznie Marcin powiadał sąsiadom,
 Że tam i gwarno i szumno we dworze:

Przybył pan rządcą, a każdy już świadom,
 Że pańscy słudzy przychylni Zaborze.
 Pan rządcą z razu przystępny, łaskawy,
 Z uśmiechem w uśmiech, jakby anioł z nieba,
 Rozpoczął ściśle rachunki z dzierżawy.
 Łagoda prostak nie wie co potrzeba,
 Nie zna przysłowia: „Nie weźmiesz, gdy nie dasz,“
 Ani pojmuje sumienia na sprzedaż.
 Dobrze mu za to! — pan rządcą w pokorze
 Zgrają pismaków do dworku napuszcza:
 Na polu, w śpichrze, w komorze, w oborze,
 Wszędzie plondruje wygłodniała tłuszczą;
 A każdy chmurnym spojrzeniem aż bodzie.
 Tylko pan rządcą ma uśmiech na twarzy,
 W imieniu pańskim starym Łagodzie
 Czyni uwagę, że źle gospodarzy:
 Że śpichrze starym pobudował gustem,
 Że na stodole mech kwitnie na strzesie,
 Że się rozwała stary młyn z upustem,
 Zkąd dziedzic straty niezmierne poniesie,
 Że wodospustów na łące niewiele,
 Które się kopią jak najłżejszą pracą,
 Że na ugorze rośnie chwast i ziele,
 Zkąd jasny wniosek, że rolnik ladaco.
 Pióro jak wicher po papierze lata,
 Kresząc Łagody gospodarze winy;
 Rosną jedności, dziesiątki, seciny,
 Każda na pieniądź oblicza się strata;
 Rosną tysiące w straszliwej postaci,
 Które Łagoda gotówką opłaci.
 A jeszcze czynsze — to już swoją drogą,
 Jeszcze we włości skrzywdzeni być mogą,

Co jedno z drugim obliczywszy szczerze,
Z dziesięć tysięcy srebrników się zbierze.

- „Tak“ — mówił rządca — „złe panie Łagodo!
„Ulepszyć dworek miałeś dosyć pory.
„Patrzaj, jak drudzy gospodarstwo wiodą!
„Czemu nie brałeś przykładu z Zabory?
„Ulepszył grunta, wyprowadził rowy,
„Osadził drogi topolą i brzozą:
„Zda się o miedzę, wszak grunt jednakowy,
„U niego zboża do stodół nie zwiozą,
„Taki urodzaj! — a co u waszmości?
„Kąkól i chwasty, kamienie i trawy.
„Musisz zapłacić, co się słusznie rości,
„Potém łaskawie wyruszyć z dzierżawy.
„Swojego dobra nasz dziedzic już dłużej
„W podobne ręce powierzać nie może;
„Wiedząc, że sąsiad lepiej mu usłuży,
„Tutejszy dworek dał panu Zaborze.
„Co się mnie tycze, ubolewam srodze,
„Że z niedobremi wieściami przychodzę...
„Za to wszelkiego dołożę starania,
„Ażeby ulżyć waszmościnej doli;
„Memu bliźniemu wedle przykazania
„Uczynię wszystko... co możność pozwoli.
„Dziesięć tysięcy, toć niemała kwota,
„Wedle rachunku winienes ją kassie;
„Niech to waszmości głowy nie kłopotą,
„Może nie jesteś teraz przy zapasie,
„To poradzimy i na to, jak możem.
„Na wszystko sposób najkrótszy przywiode:
„Coś gotowizną, coś weźmiemy zbożem;
„Słyszę, masz niezłe koniki i trzodę,

„Wszystko w rachunku przyjmijemy, strącimy,
 „I dopomożem, i będziemy radzi.
 „Możesz we dworku przemieszkać do zimy,
 „Bo pan Zaborza wójta tu osadzi.
 „A zimą wszędzie przytułek znajdziecie,
 „Nie umrze z głodu twojej dziatwy rzesza,
 „Są miłosierne zakłady na świecie,
 „A na niebiosach jest Ten, co pociesza.“
 To mówiąc rządcą łagodnie i z cicha,
 Słodkiem obliczem k'niemu się uśmiecha.

XVIII.

Stary Łagoda zrozumiał nieszczęście,
 Zadrzał z ohydy i zacisnął pięście;
 Ogniem zabłyśły przyciemniałe oczy,
 A krew gorąca serce mu oblała,
 Ze stariej twarzy ledwie nie wyskoczy,—
 A gniew na czole trzęsie się i pała.
 Ale rozważył i obliczył pilno
 Swoje ubóstwo i starość bezsilną,
 Obliczył, czego nie czuł do téj pory,
 Potęgę możnych i chytróść Zabory.
 Nierówna walka! — zamarzył jak we śnie,
 Zwisła ku piersiom skłopotana głowa,
 Na jego oczach błysła łza chwilowa:
 — „O dzieci moje!“ wyjąknął boleśnie.
 Lecz krótko tryumf trwał nieprzyjacieli,
 Łzę w jego oczach raz tylko widzieli;
 Spojrzał ku niebu i ducha pocieszył,
 Spojrzał na wrogów i wzgardą ich przeszył.

Czy odrętwieniem bolesném dotknięty,
 Czy biorąc święte pocieszenie w wierze,
 Pomimo płaczu i dziatwy i żony
 On zimném okiem patrzył na łupieżę.
 Dał sobie wydrzeć całą własność świętą,
 Krwawo dla dziatwy zebrane grosiwo;
 Patrzył z uśmiechem, kiedy ręką chciwą
 Pańską pieczęcią stodoły zamknęto.
 Ciężój mu było przenosić daleko
 Głód własnej dziatwy, gdy się widzieć zdarza,
 Jak z jego trzody udojone mleko
 Dawano chartom pana komissarza,
 Kiedy wprzęgano do cudzego pługą
 Dwa siwe woły, co bywało pieści,
 Nawet raz jeden Zaborzyński sługa
 Zelżywém słowem kiedy go bezczęści.
 Ale urazę odrzucił na stronę,
 Ani się dąsa, ani gniewem miota;
 Choć ręce słabe, barki pochylone,
 Dostojnie dźwiga krzyż swego żywota.
 Pogodne czoło, obojętne oko
 Nie zdradza żalu, ni brzydkiój rozpaczy,
 A jeśli cierpi, to gdzieś tak głęboko,
 Że nikt z żyjących tego nie zobaczy.
 Gdy mu słuźalcza uprzykrza się rzesza,
 Działwę utula i żonę pociesza.
 Wmawiał, że zawód rozpoczyna świeży,
 Udawał młodość i siły ochocze,
 I gdzieś daleko od Niemna wybrzeży
 Wziął starą chatę i gruntu półwłocze.
 Odarty z grosza, z obory i stada,
 Lecz nikt nie powie, że mu duch upada.

Świetny pan rządcą, gdy się w mieście zdarzy,
 I pięknym cugiem przejeżdżać się raczy!
 Ale Łagodzię coś bardziej do twarzy
 Pogodne czoło i kostur żebraczy.
 Choć dziwno zda się przyrównać do miary:
 To pan wielmożny, a to nędzarz stary.

XIX.

Łagoda nie chciał kłaniać się Zaborze,
 Nie czekał zimy w swoim dawnym dworze;
 Z żoną i z dziatwą i z kilku talary
 Poszedł w świat obcy, na nowe kłopoty.
 Do starych panów wyszedł Marcin stary,
 Żegnał ich z płaczem za wiejskimi wroty;
 Zeszli się inisi dawniejsi poddani,
 Niewiasty, dzieci, gospodarze z wioski,
 Przypominali ich pobyt ojcowski,
 Całując ręce i pana i pani,
 Dziękując prostą od serca wymową
 Za chleb, sól pańską i za dobre słowo.
 I za dawniejszą pańską zapomogę
 Niosą podarki jak ofiarę świętą:
 Ten garść orzechów dla dziatwy na drogę,
 Drugi plastr miodu, co wczora podcięto,
 Inszy w ofercie niesie chleba kawał,
 Życząc, by nigdy nędzy nie doznawał.
 A choć wszystkiego wypowiedzieć trudno
 Prostemi słowy i mową prostaczą,
 Znaczno na sercach żalność nieobludną,
 Można tym oczom zawierzyć gdy płaczą.

Stary Łagoda doświadczył naocznie,
 Jak go żalują kmiotkowie ubodzy;
 Z dobrymi ludźmi gdy się żegnać pocznie,
 Już łez serdecznych nie trzymał na wodzy.
 I ciężki kamień z serca mu opada,
 Gdy go wieśniacy pobłogosławili.
 Panie Zaboro! masz głowę nielada,
 Lecz w życiu takiej nie doczekasz chwili!
 Bo nie każdemu i nie w każdym czasie
 Tak piękną chlubą napełnia się dusza,
 Jaką czuł starzec, gdy z wioski wyrusza
 W starzej sukmanie, w skrzypiącej kolasie.
 Ujrzał nad grobem uwieńczone dzieło,
 Ujrzał świadectwo swoich bliźnich grona,
 Że jego życie niemarnie zginęło,
 Że jego zasług niepróżna skarbona;
 Wyższym go ludzie uczynili prości
 W obliczu Boga, w obliczu ludzkości.

Spojrzenie wzniosłej i cnotliwej pychy
 Rzucił raz jeszcze ku wiejskiej zagrodzie,
 Skrył się za górą jego wózek lichy,
 I nie słyszano więcej o Łagodzie.

* * *

XX.

Nie sądźcie, moi czytelnicy mili,
 Że na bezdroża zuchwale was wiodę,
 Żeśmy z bitego gościńca zboczyli,
 Kreśląc Zaborę i starca Łagodę,

O kęsie chleba rzecz mając w zamiarze
 Żem się zagwarzył i Bóg wie co gwarzę.
 Oto daleka nadniemeńska wioska
 Po to się kreśli, byśmy prawdzie wierni,
 Łacniej śledzili pierwszy zaród kłoska
 Do chwili żniwa, do snopa na ścierni.
 Racście przebaczyć, że nieczyste pole,
 Że obok kłosów — porosły kąkole.
 Więc jako czynią na polu żniwiarze,
 Jedno i drugie na snopki rozdzielę,
 Jedno i drugie w oczy wam pokażę,
 Byście poznali, co chleb a co ziele,
 Byście nie mogąc rozeznac z oddali,
 W chwastach zbożowej trawki nie zdeptali.
 Chleb — wielkie słowo w niebie i na ziemi,
 W nim Bóg sam siebie między ludzi dzieli,
 Przed Chlebem życia truchleją anieli,
 Człek go pożywa usta pobożnemi.
 A w ziemskim chlebie jest pokarm i siła,
 W chlebie Bóg życie doczesne przysyła,
 Z chleba bierzemy i żywi i zdrowi,
 Zbawienie ciała, zbawienie duchowi.

XXI.

Lecz biada temu, kto szydzi z pokuty,
 Kto Chleb zbawienia świętokradzko spożył!
 Pokarmem życia na duszy otruty
 Pod swemi stopy sam przepaść utworzył.
 O ziemskim chlebie też same są wnioski;
 Jeśli nie wierzysz, przychodniu z daleka,

To zajdź na Litwie do najpierwszej wioski,
 I spytaj o to najpierwszego człeka.
 Tam ci naocznie pokaże lud boży
 Chleb, co się sporzy i co się nie sporzy:
 Jeden posila — a drugi cię zdradnie
 O głód przyprawi i obdarzy bolem;
 Jeden być musi zatruty kąkolem,
 A drugi czysty, — któż zresztą odgadnie?
 Zdaje się zboże czysto i wyniosło
 W blizkich zagonach wedle siebie rosło,
 Razem doznało i deszczu i suszy,
 Razem pożęte, zwiezione przed burzą,
 Tak samo w żarnach na mąkę się kruszy,
 A przecież zdrowiu niejednako służą:
 W jedném być muszą kąkolu owoce,
 Lub krzywda ludzka, albo łzy sieroce.
 Takiego chleba, jeżeliś go świadom,
 Nie kupuj w mieście ani radź sąsiadom,
 Nie jedz go w ucztę ani w dni powszednie:
 To chleb przeklęty, czuć od niego piekłem.
 Spytaj Zabory — jeżeli nie zblednie,
 To się pokaże, że kłamstwo wyrzekłem.

XXII.

Późną jesienią wracałem z podróży,
 A był to wieczór i deszcz chłosnął duży,
 Przez całą odzież, po twarzy, po rękę
 Gdy zdrojem chłodna opłynęła woda,
 Iskierka ognia błysnęła w okienku,
 Dach się nasunął — to była gospoda.

Gospody nasze, jak wszystkim wiadomo,
 Klecone z bierwion, potrząśnięte słomą,
 Nędzne postacią i dymem i wrzaskiem,
 Każą się we dnie omijać z daleka;
 Ale w noc ciemną swych ogniów odbłaskiem
 Jakos w podróży orzeźwiają człeka.
 Jakos ci głowa weselój zamarzy,
 Jakbyś sam siebie odzyskał po stracie;
 Bo zatęskniony do człowieczej twarzy
 Chciałbyś rzec komus: „Dobry wieczór, bracie!“
 Cóż gdy na dworze ciemno, zawierucha,
 A tutaj dobrém słówkiem się odezwa,
 A lud zebrany rozprawia na trzeźwo,
 A komin ciepłym ogniskiem wybucha?
 Ni ztąd ni zowąd chętką się nawinie
 Przepędzić nocleg w ubogiej mieścinie.
 W takiej gospodzie, choć do domu blisko,
 Stałem tedy na noclegowisko.
 Nie chcąc się nudzić w izdebce dla gości,
 Wszedłem do izby kipiącej w rozgwarze;
 Tam pili miodek jacys ludzie prości,
 Z dalekiej strony wiejscy gospodarze.
 Siadłszy przy ogniu, co wesołość budzi,
 Taki słyzałem rozhovor tych ludzi:

XXIII.

— „Bądź zdrów, Szymonie! — Pij wesół Marcinie!“
 „Tak... tak... starego paniska nam szkoda!
 „Gdzie się to stary obraca Łagoda?
 „Bóg raczy wiedzieć — ot marnie gdzieś zginie.

„Widzisz!... odarli człeka do ostatka
 „I w świat puścili — aż strach, panie kumie!
 „Co jemu zagon i czynszowa chatka?
 „Wszakże on sochy udźwignąć nie umie;
 „A gdyby umiał, to tylko zastęka,
 „Nie jego siła, nie jego w tém ręka.
 „Co to? wiek cały przebył po szlachecku,
 „Jak tu przywyknąć w ubogiej chudobie?
 „A w lat sześćdziesiąt — to siły jak w dziecku,
 „Czuję to, kumie... czuję sam po sobie.“
 — „Co tam, Szymonie! Bóg dobry i basta!
 „Przed nim nie uda kłamliwy potwarca.
 „Już dzięki Bogu i dziatwa podраста,
 „Coraz pocieszy i wyręczy starca.
 „Niech tylko ręką powodzi się praca,
 „Niech będzie szczęśliw, kędy się obraca.“
 — „Dziś gdyby do nas zawitał na chwilę,“
 (Rzekł drugi wieśniak przyparty do ściany)
 „Swojego dworku, gdzie przeżył lat tyle,
 „Aniby poznał — takie tam odmiany!..
 „Prawda, że z nami bywa czasem kręto,
 „Za to Zabora wszędzie zysk wyciśnie,
 „Bo gospodarzy pięknie i korzystnie.
 „Ot nowe śpichrze budować zaczęto,
 „Nowemi gonty pokryto dom cały,
 „Morgują pola i kopia kanały.
 „Na przyszłą wiosnę zawiną się dzielnie:
 „Poczną pod wioską stawiać wietrzne młyny,
 „Budować z muru piętrowe gorzelnie,
 „Sprowadzą wielkie woły z Ukrainy,
 „Co orać będą i pracować latem,
 „W zimie sprzedane — grosz spłacą dukatem.“

— „Byłem“ (rzekł inszy) „niedawno we dworze
 „Poprosił pana, by zwolnił od stróży.
 „Sam pan Zabora był w dobrym humorze,
 „Jął się przechwalać, że mu szczęście służy:
 „— A co? powiadał, gospodarka tęga?
 „Niech sobie jęczy i krzyczy hołota,
 „Nie tak jak dawniej — stary niedołęga
 „Nie znał, że dworek to jabłko ze złota.
 „Bywało włóścian żaluje i pieści,
 „I cóż mu w końcu dopomogli chłopci?
 „Cóż tu zarobił przez latak trzydzieści?
 „Czeczotkę z lasu i torbę z konopi.
 „Ot i w tym roku u pana Łagody
 „Sto nędznych kopek zebrało się w gumnie.
 „Patrz, na rok przyszły ile będzie u mnie
 „I bez modlitew, bez święconej wody!
 „On, starożytnym zwyczajem narodu
 „Poświęcał kłosa a orał niedbale,
 „Latem przy żniwie wędniał na upale,
 „Sprzedawał za nic i umierał z głodu.
 „Ja się nie wdaję w miłosierdzie boże,
 „Pójdę o własnej gospodarskiej sile,
 „Pięć razy pole pod żyto poorzę,
 „A będzie chleba dziesięć razy tyle! —“
 — „Oj, chleb Zabory! oj chleb, panie bracie!
 „Niech Pan Bóg broni takiej gospodarki!
 „Mnie dano żyta ze dworu dwie miarki,
 „Ot i choroba zjawiała się w chacie,
 „Że już i końca nie widziałem lichu!“
 (Tak mówił Szymon szeptaając po cichu).
 „Najprzód zasłała dziecina z kolebki,
 „Potem parobczak — a gdy ten się dźwignie,

„Zaniemógł syn mój jak dębina krzepki,
 „Ot drugi tydzień jak leży w malignie.
 „Ja do doktorów — co tam doktorowie!
 „Jakiemiś proszki napróżno męczyli;
 „Ja do znachora — daj Boże mu zdrowie!
 „Całą chorobę odgadnął po chwili.
 „— Może to z wiatru? pytam u znachora,
 „Może złe oczy? — A broń Jezu Chryste!
 „Pewnie was chlebem nakarmił Zabora;
 „W tym chlebie duchy gnieźdzą się nieczyste.
 „Dajcie tu kęsek — ja zło wyprowadzę. —
 „A gdy go żegnać i szeptać coś pocznie,
 „To cóż powiecie? chleb zczerniał na sadzę,
 „Po nim robactwo pelzało widocznie.
 „— Ho! znam się! znam się! przepadnij moc czarta!
 „Słuchaj Szymonie, — tak mi znachor rzecze: —
 „To czyjaś własność niesłusznie wydartą,
 „A to robactwo, to są lzy człowiecze.
 „Nie bój się! zdrowie choremu powróci!
 „Lecz chleb ten spalcie do jednej okruchy,
 „Inaczéj wszyscy będziecie zatruci,
 „Lub was nieczyste opanują duchy. —
 „Więc ja do miasta następnéj niedzieli,
 „Kupuję żyto i wiozę do młyńa;
 „Przy nowym chlebie wszyscy pozdrowieli,
 „I syn mój biedny zwlekać się pocznia.“
 Tak Szymon gwarząc zdarzenie ciekawe,
 Pokiwał głową i zapił tę sprawę.

XXIV.

— „Słyszałem o tém“ (rzekł inszy z wieśniaków):
 „Mówilem żonie, że zaklęte zboże;

„Lecz ona prawi: — Wszędzie chleb jednaków,
 „A gdzie ja wezmę, jeśli nie we dworze?
 „Na dworném polu pracuje gromada
 „Od poniedziałku do samėj soboty,
 „Człek nie ma czasu do swojėj roboty,
 „Cóż więc dziwnego, że w polu przepada?
 „Jeśli jest jakie sumienie na świecie,
 „Niechże Zaborza przekarmi nas przecię! —
 „Tak nierozważna mówiła kobiéta,
 „Poszła do dworu i przyniosła zboże,
 „I wnet się do nas nieszczęście przypyta:
 „Jakaś niezgoda, dopuszczenie boże.
 „Kobiety, dzieci, a nawet ja z bratem,
 „Pan Bóg wie za co, nuż klótnie i swary;
 „Szatan się cieszył — a co idzie za tém,
 „Znikła zamożność i porządek stary.
 „Mówię do brata: — Posłuchaj mię Janku,
 „Niechaj się twoja nienawiść ostudzi,
 „Co to za korzyść klótnia bez ustanku?
 „Obraza Boga i pośmiech u ludzi.
 „Więc się rozdzielmy. — Rozdzielmy się, powie,
 „Wszakżeśmy bracia, nie jacyś wrogowie. —
 „Poszedł do dworu, wziął półwłocz pustoszy,
 „I nuż się dzielić — bo szatan rozpędza.
 „Był jakiś zapas dobytku i groszy,
 „Poszło na dwoje — u obudwóch nędza!
 „A przy podziale, gdyśmy oba ślepi,
 „Wedle zwyczaju chleb na pół złamali,
 „Mówiąc do siebie: — Jak się chleb nie zlepi,
 „Tak my pospołu nie będziemy żyć dalej...
 „To w kęsie chleba, czy dacie mi wiarę?
 „Jakieś robactwo znalazło się szare.

„Wtedy uczulem, że czegoś się boję,
 „Niedobréj wróždy — i wyszło na moje.
 „Przy wspólnej pracy, za dawniejszej pory
 „Człowiek się łatwiej nakarmił, przydział;
 „Dziś my nędzarze! — a to chleb Zabory
 „Przywiódł do domu niezgodę i podział.“

XXV.

— „Ej, prawda! prawda!“ (rzekł parobczak młody):
 „W chlebie Zabory nieszczęście się chowa.
 „Ot zapomniałeś niedawnej przygody:
 „Pamiętasz Hannę? i piękna i zdrowa,
 „W szesnastym roku — o Boże uchowaj!
 „Miała iść za mąż, cieszyła się, śmiała,
 „Pan miarkę żyta dał jój na korowaj,
 „Otoż nieboga w dzień ślubu skonała.
 „A tamten żebrak o drewnianej nodze?
 „Zdrów jakby ryba, choć staw do naboru,
 „Pamiętasz? z wioski powłókł się do dworu,
 „Dostał kęs chleba — i umarł na drodze.“

XXVI.

— „Znają dokoła zaborzyńskie zboże,
 (Znów mówił Szymon nad czarką schylony).
 „Zabora w cudze posyła je strony,
 „Bo doma nigdzie wyprzedać nie może.
 „Tam nasze żyto okrzyczano wszędzie,
 „Tu w wielkiem mieście i znaku nie będzie.“

„Tu między ludźmi niezgód co niemiara,
 „Tu pełno śmierci, choroba się szerzy,
 „Tu ludzie mędrsi, a słabsza ich wiara,
 „W zaklęte ziarno tu nikt nie uwierzy.
 „Nie tak jak w naszym miasteczku targowém!
 „Onegdaj kupiec spotkał mię znajomy,
 „Dawaj gawędzić to o tém, to owém,
 „O urodzajach i ziarna i słomy.
 „ — No! mówił do mnie: niech ja marnie zginę!
 „Dziwnego pana wy jesteście chłopi:
 „Garść jego zboża sypnij na wicinę,
 „Pewno się cała wicina zatopi.
 „Zdaje się rządny, gospodarz wyborny,
 „Lecz z nim handlować nikomu nie radzę:
 „Ciężki na rękę, grosz jego niesporny,
 „Musi mieć serce powalane w sadzę! —
 „O! panie bracie, mają rozum żydzi,
 „Zdaje się prostak — a jak rzeczy widzi!“

XXVII.

Taką gawędę słyszałem w gospodzie,
 I takem sobie rozmyślał w podróży:
 Czemu kęs chleba wydarty Łagodzie
 Zdrowiu ludzkiemu i szczęściu nie służy?
 Czemu, gdy w jakim ukaże się domu,
 Kłótnię, chorobę lub śmierć niesie komu?
 Za co niewinnym trzeba karę znosić,
 Jeżeli żyją u Boga w zasłudze?
 Czy własnych grzechów na duszy nie dosyć,
 Aby opłacać przewinienia cudze?

Czemu Zabora wesoły, bogaty?
 Czemu tak bujnie wyrasta mu niwa?
 A biedny rolnik z wyrobniczej chaty
 Jedząc chleb jego — nieszczęście spożywa?
 Ja w mojej głowie tego nie wyjaśnię...
 Karczemne baśnie — nic więcej jak baśnie!

XXVIII.

Widziałem w mieście, jak kupcy ciekawi
 Zboże Zabory chciwie obścapiłi;
 I myślę w duchu: Czyliż od tej chwili
 Więcej tu cierpień i niezgód się zjawi?
 Ale zrzędzeniem tajemniczej Ręki
 Sąsiedni piekarz jedną furę bierze,
 Wypiekł na chleby — wziąłem dwa bochenki,
 I chleb żakłety jadłem na wieszczę.
 A Pan Bóg, karząc swęj woli bluźniercę,
 Łoże niemocy zgotować mi każe,
 A ten dla kogo niosłem bratnie serce,
 Bolesne na mnie jął ciskać potwarze,
 I chleb nieczystą pokalany siłą
 Krwawemi łzami oblać przychodziło.

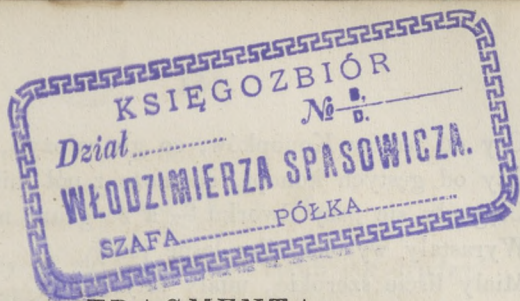
XXIX.

Dziwne są drogi Opatrzności Bożej,
 Gdy grzechy chłoszczę, a zasługę płaci!
 A my zuchwali bluźnimy najsrożej,
 Cierpiąc za naszych ojców i współbraci.

Może w ten sposób miłosierna rada
 I nasze winy na ludzkość rozkłada,
 By grzechów świata zgładzić szereg długi
 Wspólném cierpieniem, wspólnemi zasługi;
 Czy może pełniąc za bliźnich ofiarę,
 Własnej zasługi dopełniamy miarę;
 Bóg raczy wiedzieć — ale zawsze biada:
 Bo obcy ciężar wziął na swoje ramię,
 Kto z krzywdzicielem do stołu zasiada,
 Kto z jego ręki kęs chleba rozłamie,
 Bo tutaj każda płaci się okrucza
 Bolescią ciała lub spokojem ducha.

Czy pan Zaborą, gdy oko zamruża,
 Ma sen spokojny? czy go co przepłasza?
 Spytaj się o to u anioła stróża,
 Jemu wiadomo — a to rzecz nie nasza.
 Lecz strzeż się chleba wydartego zdradnie,
 Nie bierz, gdy pieniądz Zaborą ci poda:
 Boć najniewinniej na głowę upadnie
 Ciężka łez kropla, co wylał Łagoda.

Listopad 1854. Wilno.



FRAGMENTA

O FILIPIE Z KONOPI.

Z NOTATY NA OKŁADCE STAREGO KALENDARZA,
SPISANE RYTMEM.

FRAGMENT I.

Niechaj grecki Homerus albo rzymski Maro
Kleci o Trojańszczyźnie epopeję starą;
Niech Tasso głosi dzieje Krzyżowców pałasza,
Milton raj odzyskiwa, Baka śmierć ogłasza,
Niech jeden gra na lutni, drugi na multance,
Wszak krainy rymowej bezbrzeżne są krańce.
Niech każdy nowe rzeczy jakby z rogu sypie, —
Ja zaśpiewam o sławnym z Konopi Filipie.
Muzo! (czy jak inaczéj dziś twoje nazwisko)
Gdy się nadto rozpędzę, bądź koło mnie blisko,
Gdy się głowa zamarzy, gdy serce zapala,
I kiedy bredzić pocznę — niech twa rączka biała
Wodą z kastalskich źródeł głowę mi pokropi,
Ażebym się nie wyrwał jak Filip z Konopi!

Przed trzemaset latami, gdzie podolskie łąny,
Był cichy dwór szlachecki, Konopie nazwany,

Czy od panów Konopków, co go założyli,
 Czy od gęstych konopi, co może z pół mili
 Ciągnęły się przy dworku — a że grunt niepodły,
 Wyrastały wysoko niby leśne jodły,
 Miały liście szerokie, miały kity duże;
 Tyle o dawnym dworku i nomenklaturze, —
 Dość że jego panowie, ilem zebrał śladów,
 Pisali się z *Konopi* z dziadów i pradziadów.

Tam w dniu pierwszego maja, na posłaniu grubém,
 W dzień świętych Apostołów Filipa z Jakóbelem,
 Roku, co się od dawna w mgłę przeszłości topi,
 Wyrwał się z łona matki *Pan Filip z Konopi*.
 Popatrzał na świat boży i zacisnął pięście,
 I skrzywił się, jak gdyby zobaczył nieszczęście,
 I wrzasnął w niebogłosy na nótę sierocą,
 Jakby pytał z boleścią: A jaż tutaj po co?
 I długo hałasował nakształt wojewody,
 Co przybywszy w podróży do nędznej gospody,
 Złorzeczy gospodarzom, aż trzęsą się ściany:
 Dla czego tutaj pałac nie wybudowany?
 Musiał wreszcie pomyśleć: Cóż po tym zapędzie?
 Gdy nie można inaczej — niechaj i tak będzie!
 Wydał jakieś jęczzenie albo uśmiech głuchy,
 I usnął zawinięty w matczyne pieluchy.

W tydzień zebrano gości, jak się zwykle zdarza,
 Młodzian ochrzczon Filipem wedle kalendarza,
 I łaskawi sąsiedzi popili się zdrowi,
 Życząc dobrych sukcesów panu Filipowi...

.....

FRAGMENT II.

Bogdajby to na świecie być takim jak drudzy!
 Stateczni obyczaju i zwyczaju słudzy,
 Których myśli nie idą jakąś dziwną drogą,
 Lecz na ubitych ścieżkach utrzymać się mogą, —
 Tacy nie będą nigdy samotnymi w tłumie,
 Oni świat zrozumieją — a świat ich zrozumie.
 Zdarza się inszy człowiek, istny pieszczoł boży,
 Któremu gūy myśl nową Pan do serca włoży,
 Najprzód w czasie i miejscu trafnie go ośmieli,
 I ludzi usposobi, by go zrozumieli;
 A wtedy słowa jego umysły ogarną,
 I pięknego zasiewu posypie się ziarno.
 Lecz znowu się zdarzają pomiędzy tysiącem
 Ludzie z szaloną głową a sercem gorącym,
 Co nie bacząc, gdzie mówią lub mówią do kogo,
 Przekonań swego serca powstrzymać nie mogą.
 Nie dość silny, by zwalić starą postać rzeczy,
 Taki człek wszystko zbija, wszystkiemu zaprzeczy:
 W namiętności społeczne, burzą rozpędzone,
 Dmucha jak przeciw wiatru, by w inszą wiał stronę;
 Napróżno z całej siły zbiera w sobie ducha,
 Biedne piersi mu pękną, a nic nie wydmucha!
 A śmiechuż będzie śmiechu z biednego szaleńca!
 Gawieź palcem wskazuje, przechodzień się znęca:
 „Słyszycie, co on roi? patrzcie, kędy tropi!
 „Filip z Konopi!...”

.....

FRAGMENT III.

U ojców Jezuitów, w miasteczku Ostrogu,
 Uczył się młody Filip służyć Panu Bogu,
 Mówić mądrą łaciną, czytać rzymskie prawa,
 Słowem — tego wszystkiego, co szlachcie przystawa.
 Tam poczęli mistrzowie poznawać go ściślej;
 Myśli bywało... myśli... i nic nie wymyśli.
 Do nauk brał się niezłe; lecz widzą ojcowie,
 Że gdy o co zapyta lub myśl jaką powie,
 Tak mu się coś nie wie dzie w pośród szkolnej rzeszy,
 Że lub zgorszy bluźnierstwem, lub głupstwem roz-
 [śmieszyl!

A że był drobny wzrostem i wielce ruchawy,
 To bywało aż skoczy ze studenckiej ławy,
 Wybieży w środek szkoły i gada, i gada,
 I rękami wywija, aż trąca sąsiada,
 A oczy aż się iskrzą — taki w mowie zapał,
 Koniec końców — rozśmieszyl albo plagi złapał.
 Na przykład: Ksiądz Retoryk raz uczył swe ucznie,
 Jak trzeba pięknym stylem wysłować się sztucznie,
 (A wtedy rej łacina wiodła w polskiej mowie
 I wielce byli w modzie Olimpu bogowie), —
 Więc mówił ksiądz Retoryk: — „Trzeba zażyć pracy,
 „A nie gadać po polsku, jak mówią prostacy;
 „Ale umieć łacinę, i przypiąć co chwila
 „*Sententionem* z Flakka lub wierszyk z Wirgila,
 „Peryody układać okrągłej budowy,
 „To jest właściwe *signum* eleganckiej mowy.

„Powtóre... uważajcie... że mówię: powtóre!
 „*Conticuere omnes!* podnieść uszy w górę!

„Otoż tedy, *powtóre* — niechaj w twojój mowie

„Najczęściój olimpijscy panują bogowie.

„Zamiast mówić: ktoś *mądry*, dobry do *porady*,

„Nazwiój go ulubieńcem bogini *Pallady*.

„Nie powiadaj: *człek mężny*, bo tak mówią prości;

„Lecz powiedz, że jest pelen *marsowój* dzielności.

„O kwiatach trzeba mówić, że to dzieci *Flory*;

„Zboże zaś w pięknej mowie to *Cerery* zbiory.

„Na jabłko, nie mów: *jabłko*, lecz owoc *Pomony*.

„A tak wszyscy poznają, żeś człek wyuczony!“

Filip na szkolnej ławie dosiedzieć nie może:

— „Nie!“ — krzyknął — „nie masz zgody, księżę pro-

[fessorze!

„Jeden Bóg stworzył kłosa i jabłka i kwiaty,

„Na co tu Ceres, Flora, bóstwa starój daty?

„Wszak Pan Bóg zakazuje wzywać bogi cudze!

„A że słynie ktoś mężnym w krajowój posłudze,

„I jeżeli konieczna retoryka taka,

„To już lepiej Tarncwskim nazywać wojaka:

„Najlepićj bohaterem nazwać bohatera!“

Ksiądz Retoryk brwi zmarszczył jak Jowisz Homera,

A mszcząc się uchybienia mistrzowskiej powagi,

Skinął na starszych uczniów — i Filip wziął plagi.

A srogich bóstw Olimpu niewinna ofiara,

Gdy po ciężkiej przestrodze pocieszyć się stara,

Każdy nóż najgrawania do serca mu topi:

— „Nie wyrywaj się więcej Filipie z Konopil!“

Drugi raz w Wielki Piątek jezuickie żaki,

Aby dać pobożności gorliwój oznaki,

Więc za to, że Żydowie umęczyli Boga,

Chciały wygrzmotać kijmi rabina z Ostroga.

Hurmem tedy pobiegły ku jego gospodzie,

(Takowe nabożeństwa były wtedy w modzie):
 Dalej tłoczyć się krzycząc w około siedziby,
 Zaświstały kamienie, zabrzęknęły szyby,
 Wysypał się rój Żydów w hałaśliwej tłuszczy,
 Ktoś jeden, potem drugi do bitwy poduszczy,—
 I dwa groźne obozy skupiły się z blizka,
 Każdy złorzeczeniami i kamieniami ciska;
 Pogruhotano kije—zwarło bój na pięści,
 A żakom jezuickim snadź Bellona szczęści:
 Bo tamtych większa liczba, tych mężstwo ośmiela,
 Pokonały wrzaskliwe hufce Izraela;
 Krew nawet popłynęła—już starsi przypadli,
 Pienią się zapaśnicy, biją się zajadli.
 Wtém, gdzie bitwa najsroźsza, gdzie najgęstsze ciosy,
 Wpadł Filip z cycerońska krzycząc w niebogłosość:
 —„Stójcie, bracia! co widzę? cóż to w waszej głowie?
 „Wszak Chrystusa męczyli ich dawni przodkowie!
 „Cóż oni temu winni? Swawole! swawole!
 „Na bezbronnych!.. na słabszych!.. O! ja nie po-
 [zwolę!“

I wpadł w środek motłochu—a tam kupy wrzące
 Nuż tedy grzmotać pięściami swojego obronę:
 Bo tego co on gadał, żaden nie dosłyszysz,
 Mniemali, że zachęcał swoich towarzyszy.
 Zwijał się biedny Filip, padł na ziemię twarzą,
 I gdyby nie starosta z ratuszową strażą,
 Co przyszedł spędzić motłoch—pewnie dałby gardła,
 Tak się zawziętość judzka na niego wywarła.
 Został jeden na placu—pierzchli towarzysze;
 A ksiądz Rektor nadszedłszy—co widzi, to pisze:
 Więc jako naczelnika ulicznej swawole,
 Znow skazał na przykładne ukaranie w szkole.

A co tam było żartów! a śmiechów bez końca,
 Że to wódz Izraela, że Żydów obrońca!
 Biedny Filip z Konopi! za dobre zamiary
 Że się wyrwał nie w porę, aż trzy odniósł kary!..

FRAGMENT IV.

Czyż wam dalsze przygody Filipa powtórzę?
 Nie spisaćby ich wszystkich na wołowej skórze.
 Wyszedłszy na młodziana, pracuje jak może,
 Bo służył i rycersko, i na pańskim dworze.
 Zawsze mu się nieszczęście jak z rękawa sypie:
 — „Nie wrywaj się naprzód! dobrze ci Filipie!
 „Czyń, jako czynią drudzy, wierz jak każdy wierzy!“
 Tak mu często radzili towarzysze szczerzy;
 Ale niełatwa rada, kto nieszczęścia dziecię,
 Kto Filipem z Konopi zrodzon na tym świecie.
 Kiedy trąba bojowa na wojnie zazgrzyta,
 On wrywa się naprzód i pali z kopyta,
 Nie bacząc, gdzie jest odsiecz—czy koledzy biegą,
 Wrąbie się w środek hufca nieprzyjacielskiego;
 Nim nadbieży szczęśliwa pomoc od współbraci,
 Zawsze gęstemi rany swą płochosć przyplaci,
 A jeszcze mu nałaje obozowa władza,
 Że im szyki pomieszał, że w planach przeszkadza.
 Gdy inși brali łupy lub wojny honory,
 On nigdy się nie stawiał, bo zawždy był chory;
 Wtenczas gdy pole bitwy hojnie krwią pokropi,
 Wrywał się z chorobą jak Filip z Konopi.

Raz z hufcy tatarskimi jak lew szedł w zawody,
 Pan chorąży przedstawić miał go do nagrody;
 Lecz Filip, jak mu często pomylić się zdarza,
 Zaskarżył chorążego do regimentarza.
 Skarga była prawdziwa, jak to wiedzieć możem,
 Lecz chorąży przez zemstę mianował go tchórzem,
 Zaświadczył, że go znalazł za wojskiem na ziemi,
 (A pan Filip w téj chwili czuwał nad rannemi).
 Wyrwał się biedny Filip jak raz w samą porę,
 Zaskarżać naczelnika, opatrywać chore.

Służył, rzuciwszy wojsko, u dworskich podwoi.
 Pan mówi: — „Bracia szlachta, przyjaciele moi!
 „Na sejmiku zakrzyczeć, nie pozwolić całkiem,
 „Aby skarbnik piltyński był u nas marszałkiem.
 „Ja dzisiaj waszych wotów domagam się prosto
 „Za moim przyjacielem rzeczyckim starostą!“
 Tedy krzyczą dworzany, szlachta zaściankowa:
 — „Niechaj żyje starosta! niech skarbnik się schowa!
 „Kto nas dziś przekreduje, jesteśmy ciekawil
 „A kto inaczej trzyma z nami się rozprawi!“
 — „Jakto! czy my nie szlachta? czy poddani chłopci?
 (Zawołał wielkim głosem pan Filip z Konopi):
 „Prawda, że na twym chlebie, mości wojewodo!
 „Ale mnie na sejmiku wyższe względy wiodą.
 „Syn Rzeczypospolitéj, znam krajowe prawa,
 „I za tym podam kreskę, kto lepszym się zdawa.
 „Pan skarbnik ma i głowę i serce nielada,
 „Toć jemu marszałkować sejmikiem wypada.
 „Choć mi szyję zetniejcie, póki serce żywe,
 „Ja dla pana starosty rzucę negatywę:
 „Tak mi każe sumienie!“ Więc po takiój sprawie

Pan go wygnał ze dworu—a dworscy szubrawce
 Uragali się nad nim, że ma zmysły chore,
 Że się wyrwał z sumieniem jak raz w samą porę,
 Istny Filip z Konopi!

Więc głodno i pieszo

Śpieszył Filip na sejmik, kędy wszyscy śpieszą;
 Przekrzyczał, przekreskował i do tyła sprostał,
 Że marszałkiem pan skarbnik piltyński pozostał.
 Ale skarbnik piltyński, nic tego nie świadom,
 Kiedy ucztę dziękczynną wydawał sąsiadom,
 Kiedy szlachtę po uczcie hojnie winem kropi,
 Nie zaprosił na obiad Filipa z Konopi.
 Filip tedy w gospodzie ochoty zażywa,
 Zajada kawał chleba, pije szklanę piwa;
 A choć w duchu był wesół—lecz drudzy się śmieli,
 Że porzucił sztandary dworskiej klienteli.
 I dla czegoż porzucił? że jak Filip czysto
 Wyrwał się w samą porę ze sprawą ojczyzną!
 Ze śmiechu poszła bitwa—dzięki szerpentynie,
 Dostał kreskę przez wąsy, krew z czoła mu płynie;
 Więc złorzecząc sejmikom, w nędznej alternacie
 Osiadł Filip z Konopi w rodzicielskiej chacie...

.....

FRAGMENT V.

Do chaty, jak wiadomo, trzeba gospodyni:
 Więc objeżdża sąsiady i konkury czyni.
 Choć srodze poraniony, chociaż niebogaty,
 Dobrą mu niespodziankę naraiły swaty.
 Była panna posażna z domu Doliwitów,
 Skojarzenie i piękne a pełne zaszczytów,

A dziewczę takie hoże, takie rażne, słyszę,
 Że mu szczerze radzili dobrzy towarzysze:
 Bo dwór pana Filipa podupadał znacznie,
 Bo on sprawę domową zaniedbał niebacznie,
 A z owój konjunktury w małżeńskie ogniwa
 Na szlachecką chudobę grosz i zaszczyt spływa.
 Więc starym obyczajem poczęto konkury;
 Można było sukcesa przewidywać z góry:
 Pan ojciec krew żołnierską spodobał w Filipie,
 Pani matka za skromność pochwały mu sypie.
 Tylko bieda z dziewczyną—widział jak na dłoni,
 Że się widocznie lęka, że widocznie stroni,
 Że siedzi zadumana, pokryjomu wzdycha,
 Smutnie główką pokiwa i łzę otrze z cicha.
 Przykro patrzył pan Filip na ten znak niemiły:
 Bo jój oczy nie żartem do serca się wpiły,
 Może kocha innego — pan Filip się biedzi.
 — „Nie uważajcie na to!“ — cieszą go sąsiedzi —
 „Alboż to młode dziewczę jest panią swój woli?
 „Alboż może folgować swemu sercu gwoli?
 „Wyplacze się, przetęskni i z wesołą twarzą
 „Z tym pójdzie do ołtarza z kim rodzice każą.
 „Zresztą, gdyby ten środek zdał się za surowy,
 „To można spowiednika użyć do namowy.
 „Wszak na tém Polska stoi!“

— „Wstydz się panie bracie!
 „Czyż sercu człowieczemu już woli nie dacie?
 „Czyż mam młodą małżonkę zakowywać sidły?
 „Gwałtem porywać brankę jak Tatar obrzydły?
 „Razem rękę i serce! inaczej nie biore!“
 Ot i z sercem wyskoczył jak raz w samą porę!

Ale trudno poradzić, gdy się głowa stropi.
 — „Upamiętaj się waszmość, Filipie z Konopi!“
 (Tak go sąsiad ofuknie). „Czas w głowie mieć olój!
 „Wybrałbys piękny posag niż te brednie wolój.
 „Majątek ubożeje, idą stare latka:
 „Bierz, co daje fortuna i ojciec i matka!“
 Radzono, by się zaraz oświadczył z amory;
 Ale Filip z Konopi w tych rzeczach nieskory,
 Chciał zjednać serce dziewczki: nieznacznie... nie-
 [znacznie,

Już się do niej przybliża, już z nią szeptać zaczęli;
 A szepta tajemniczo... coś w głowach się marzy;
 Ona poweselała—on zesmutniał w twarzy.
 To jedynie przyjaciół pocieszało trocha,
 Że para młodych ludzi widocznie się kocha.
 Całe dni z sobą razem i wieczory razem,
 Pan Filip z tajemniczym coś szepce wyrazem,
 Przytłumione westchnienia znać po nim co chwila,
 A ona wdzięcznym okiem k'niemu się przymila.
 Czasem łzą oblanemi pożegna oczyma,
 I wyjeżdża z jój domu—dni kilka go niéma;
 Ale dokąd i po co wymyka się zdradnie?
 Tego nawet najbliższy przyjaciel nie zgadnie.

Raz powrócił k'bogdance z niebytności długiej,
 Z nim przybył nieznamy jakiś młodzian drugi;
 I pan Filip na stronę ojca, matkę bierze,
 Snadź już o rękę córki oświadcza się szczerze.
 Tak szepta przyjaciela, radzi w głębi ducha,
 Że nakoniec natchnienia rozumu posłucha.

Coś długo z rodzicami ciągnie się narada,
 A dziewczę to krasnieje, to jak chusta błada.

Wyszli wreszcie—a Filip z obliczem radości
 Zbliżył się do młodziana, co przybył z nim w gości,
 Zbliżył się do dziewicy — i rękę im poda:
 — „Teraz do nóg rodzicom! do nóg paro młoda!
 „Rodzice zezwolili!!“ Więc owi przelekli
 Do nóg ojca i matki nieśmiało ukłękli.
 A gdy ci błogosławią: „Połączcie się zdrowi!“
 Oni upadli do nóg panu Filipowi
 — „Tyś anioł dwojga ludzi!!.. dobroczyńca miły!“
 Aż się usta sąsiadów z dziwu otworzyły,
 I rzecz stała się jasna, jak żaden nie marzy:
 Że Filip widząc smutek na dziewiczej twarzy,
 Zbliżył się do niej szczerze — poznał niespodzianie,
 Że się kocha w ubogim, lecz zacnym młodzianie,
 Że ojciec na ten związek zezwolić nie raczy,
 Że ona Filipowi da rękę... z rozpaczą...
 Lecz to będzie ofiara — bolesna, straszliwa!..
 Więc się Filip z dziwacznym konceptem wyrывa:
 Choć bolało go serce, choć kochał nad życie,
 Poprzysiągł uszanować to uczuć odkrycie,
 I za dwojgiem kochanków, téjże saméj chwili,
 Wstawił się do rodziców, którzy go lubili.
 Nim upór pana ojca przełamał ognisty,
 On przewoził kochankom ukłony i listy,
 I póty prosi, błaga, intrygę kojarzy,
 Aż na związek serc czułych zezwolili starzy.
 I jakże wyszedł na tém? — Żał się Panie Boże!
 Stracił bogaty posąg, stracił dziewczę hoże!
 Nie żał go, że cichaczem twarz łzami pokropi:
 Bo się wyrwał w swatowstwo, jak Filip z Konopi.

.

FRAGMENT VI.

Tedy Filip zraniony na ciele i duszy,
 Już w domu zamieszkałszy rzadko gdzie wyruszy;
 Przywiązał się do pola, do łąki, do wioski,
 I w pracy swe bolesne zagrzebywał troski,
 Ugaszczał dobrych ludzi, uszczęśliwiał kmiotka,
 Odżyła nowém życiem domowa zagrodka.
 Sąsiedzi go lubili i estymowali:
 —„Lubo dziwak“—mówiono—„choć mu mózg się pali,
 „Ale serce poczciwe w pracy się nie nuży,—
 „Trzeba o tém pomyśleć, niech rodakom służy!“
 Tak mówili życzliwi współobywatele,
 A właśnie, że ku temu i zrzeczność się ściele:
 Bo przyszła wić królewska do wszystkich powiatów,
 Aby na sejm grodzieński wysłać deputatów.
 Więc zgromadził się sejmik w powiatowém mieście,
 Zjechało się i panów i szlachty ze dwieście.
 Tego, owego wybrać... ktoś krzyknął w zapędzie:
 „Niech pan Filip z Konopi naszym posłem będzie!“
 Z ust do ust gdy się braciom jego imię poda,
 Przyjęto na rozwałkę—i stanęła zgoda.
 Tak tedy, choć się w żadne urzędy nie ciśnie,
 Został wybrany posłem prawie jednomyślnie.

Wdzięchen za miłość bratnią, za tyle okrzyków,
 Wydał braterską ucztę dla swych powietników,
 Gdzie potężnym kielichem pijąc bratnie zdrowie,
 Zawolał uroczyście:—„Hej, mości panowie!
 „Niech żyje bracia szlachta! bohaterskie plemię,
 „Filar złotój swobody téj sarmackiej ziemie!”

— „Wiwat szlachta!” (ktoś krzyknął powtórę, potrzecie)
 „Nie masz stanu, jak szlachta, nie masz w całym świecie,
 „Ona jedynie godna zaszczytów, swobody!”
 — „Mylisz się!” (krzyknął Filip) „na to niema zgody:
 „Bo jest w Polsce stan inszy — chociaż nie herbowni,
 „Muszą stanąć ze szlachtą i staną na równi!”
 — „Co waść gadasz, mospanie Filipie z Konopi?
 „Któż to równy ze szlachtą?...”

— „Któż to równy? — chłopci!”
 (Zawołał groźnym głosem iskrząc się oczyma),
 „Których Rzeczpospolita w poniżeniu trzyma.
 „Kiedy my bronim granic, mościwy kolego,
 „Oni nam chleb gotują, naszej dziatwy strzegą.
 „Tam, gdzie ziemię rolniczą stworzyły niebiosy,
 „Wart najlepszego herbu ich topór i kosa.
 „Waść niby człek rycerski — a pożał się Boże!
 „Szabla ci zardzewiała od pradziada może.
 „A patrzaj na ich plugi — czyż nie więcej warte?
 „Jak się błyszczą codzienném użyciem wytarte!
 „Oni w swojej dostojnej a skromnej postawie
 „Lepiej się zasłużyli niż my w naszej sprawie:
 „Warci równości z nami!... Dziś gdym ziemskim
 [posłem,
 „Patrzajcie, jaki projekt do sejmu przyniosłem:
 „Oto moja najpierwsza kmiotków zapomoga!
 „Równość w obliczu prawa, jak w obliczu Boga,
 „Jeden Statut dla wszystkich, zobopólna rada,
 „Miejsce w Izbie poselskiej, gdzie szlachta zasiada.
 „Patrzcie, mości panowie! czysty zysk w tym względzie!
 „Ileż głów zdrowej rady krajowi przybędzie!
 „Ile serc nieskalanych! a na ich oświatę

„Wszak mamy Jezuitów kolegia bogate.
 „Toż w Rzeczypospolitej nie dziwna nowina,
 „Daj mu miejsce, szlachcicu, obok twego syna!
 „Płać podatek do skarbu, jak i kmiołek płaci!
 „Szlachtę nazywasz bracią, miejże tych za braci!
 „Ja piję zdrowie kmiołków! hej! kto zemną pije?”
 Krzyczał Filip z Konopi wyciągnawszy szyję,
 I w serdecznym zapale ducha gorącości,
 Pełny kielich tokaju wyciągał do gości.

Ale szlachta zgorszona zrywa się od stołu,
 I sto głosów gniewliwych zawrzało pospołu:
 — „Co! mój herb Paparona przyrównać do cepa!”
 — „Co to! szlachta mniej warta niżli gawieź ślepa!”
 — „Co to! chłop z moim synem ma siadywać w szkole!”
 — „Co to! ja na podatek od szlachty pozwolę?”
 — „Piękny poseł! na sejmie stan szlachecki zgłuszysz!”
 „Hejże, mości panowie! a obciąć mu uszy!”
 I sto spojrzeń Filipa przebodło surowo,
 I sto szabel zabłysło nad niebaczną głową,
 I każda jedna ostrzem, druga płazem kropi.
 Zatoczył się skrwawiony pan Filip z Konopi,
 Chciał dobyć karabeli—lecz padłszy jak długi,
 Wywrócił stół z puhary,—krew i wina strugi
 Pocięły po podłodze, szkła w powietrze leca...
 A gdy się zapęd szlachty uspokoił nieco,
 Wywleczono z pod stołu jak gdyby złoczyńcę,
 Zrąbanego do kości, zbitego na sińce.

Ten widok jakoś szlachtę do żalu poruszył:
 Ocucono Filipa, dopytano duszy,
 Dali nieco pomocy i nieco pociechy,

I zawieźli Łazarza pod domowe strzechy.
 Dobrze mu! jak nie wiedzieć, że los taki spotka,
 Kiedy szlachtę porówna do podłego kmiotka?...

.

FRAGMENT VII.

Łoże jego choroby—to łoże żebracze;
 Myślicie, że ktoś czuwa, że ktoś nad nim płacze?
 Ani żywego ducha! Pan Filip w swój dumie
 Wyrwał się przed lekarzem, że leczyć nie umie,
 Że trzeba inszym kształtem opatrywać rany;
 Zagniewał się na niego lekarz zawołany,
 I opuścił nędzarza na łożu niemocy.
 Potém Filip z Konopi wyrwał się jak z procy,
 Dowodzić przed plebanem, kutym teologiem,
 Że wszyscy chrześciance równi są przed Bogiem,
 Że grzech brać dziesięcinę od ubogiej włości,
 Że nie każdy zbawiony, kto Suchedni pości.
 Księdzu aż uszy wędły na takie gadanie,
 Powiedział, że tu noga jego nie postanie,
 I dopełnił co przyrzekł. A tu przyszła nędza:
 Grosz mozolnie zebrany grosza nie dopędza,
 I dworek opustoszał, i grunta w bezładzie,
 A musi trzos mieć pełny, kto się w łożko kładzie,—
 Nie stało i na plastry w szlacheckiej chudobie.
 Tak przejęczał rok cały, złorzecząc sam sobie.
 W rany weszła gangrena—a głód wewnątrz wierci,
 Aż po długim konaniu doczekał się śmierci.

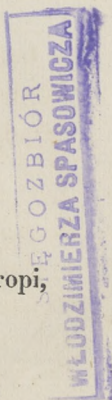
A kiedy dziad kościelny gromnicę mu poda,
 Wyrwał się z narzekaniem: że mu życia szkoda.
 Boże, Boże! tak marnie sterawszy swe lata,
 Tylko Filip z Konopi mógł żałować świata!...

ZAKOŃCZENIE.

I nikt z żyjących ludzi po panu Filipie
 Nie płakał na pogrzebie, nie wypił na stypie,
 Nikt mu pochwalnych liter nie wyrzył na grobie,
 A kurhanek piaszczysty—rozsypał się sobie.
 Śpi Filip, nim się na sąd straszliwy obudzi;
 A pamięć jego życia w pośmiewisku ludzi:
 Kto się wyrwie nie k'rzeczy, kto się w mowie stropi,
 Dotąd go nazywają Filipem z Konopi.

Ktoś świadom życia jego, albo nawet świadek,
 Czystych na kalendarzu dopadłszy okładek,
 Wzorem owego czasu, z polska po łacinie,
 Zapisał te przygody, co podaję ninie.
 Jam dopadł téj rzadkości—i legendę całą
 Ubrał w sukienkę rytmu, jak mi się udało;
 Nieklamanym affektem służę ci, jak mogę,
 Czerpaj ztąd, czytelniku, zbawienną przestrogę.

Choć się uczucie w piersi, myśl do głowy cieśni,
 Choćbyś jaśniej przeglądał niż twoi współczesni,
 Nie śpiesz się (moja rada) mówić do słuchaczy,
 Co twe serce przeczuwa, co twe oko baczy.



Nie idź za gorącemi twój duszy popędy;
Co ci korzyść przynosi, dopatruj się wszędy;
A serce miój zamknięte, chociaż twarz otwartą;
Nim się na coś poświęcisz—rozważaj, czy warto?
Chowaj zimną ostrożność i w czynie i w słowie:
Bo Filipem z Konopi każdy cię nazowie.
Ognistych bohaterów minęły już lata:
Krew, łzy i pośmiewisko—taka ich zapłata.

1854. Wilno (dom Müllera).

ŻEBRAK Z RZEMIOSŁA.

G A W Ę D A.

I.

Panie Jakóbie! ot jeszcze do pary
Powiem waszmości jeden koncept stary,
Zkąd się przysłowie rozeszło powoli,
Że człowiek sprawca sam swojej niedoli.
Ot u nas, widzisz, jest ludzi gromada,
Co to, jak mówią, na dwóch stołkach siada,
Co przez zbytęcną usłużność gotowi
Dać świeczkę Bogu a dwie szatanowi.
Szatan, łakomy na światło jarzące,
Najpierw takich pochwytuje w ręce,
I za dwubarwne a niepewne zdanie
Tęgiego figla płata niespodzianie.
Posłuchaj waszmość.

Pod krzyżem przy drodze
Siadywał żebrak o drewnianej nodze;
Miewał przy sobie, jak zwykle żebracy,
Różaniec, stołek, krucyfiks na tacy,

Stare kantyczki, dwie torby, dwa kije,
I drżącym głosem śpiewał litanie.

A tam gościniec trawą nie zarasta:
Jedni do miasta, drudzy idą z miasta;
A żebrak rodem z téj saméj krainy,
Znał tu każdego z postaci i z miny,
Starych i młodych, niewiasty i dzieci,
Panów i żydów, i mieszczan i kmieci,—
Wiedział kto dobry, a kto jest ladaco;
Ale przed każdym pobrząkiwał tacą,
Każdemu śpiewał piosnkę jednéj miary:
„Niechaj Bóg twoje poszcześci zamiary!”

II.

A nasza próżność, to już rzecz wiadoma:
Nazwie marszałkiem pana ekonoma,
Albo szlachcica panem wojewodą,
Albo dziewczynę kwiatkiem czy jagodą,
Wójtem wieśniaka, kapralem żołnierza —
A trzygroszówki lecą do talerza,
I w jego sakwach gromadzi się żywo
I chleb miastowy i wiejskie mięsiwo.

Jeszcze tu żebrak nie nagrzeszył dużo,
Gdy nazwał dziewczę jagodą lub różą;
Gorzéj mu nieraz poblądzić się zdarza,
Gdy zacnym panem nazywał zbrodniarza,
Tchórza rycerzem, dzwonnika plebanem,
A samoluba miłosiernym panem.

Wiedział to żebrak, bo znał swe sąsiady;
 Lecz myślał sobie: Niéma inszej rady,
 Trzeba się modlić i po tacy dzwonić,
 Kto wart, czy nie wart nizko się pokłonić,
 I wznioślszy oczy powtarzać bez miary:
 „*Niechaj Bóg twoje poszczęści zamiary.*“

III.

Raz ksiądz Bernardyn idący po kweście
 Rzekł do żebraka: — „Niesłuszni jesteście;
 „Bo nie każdemu i nie w każdej porze
 „Godzi się mówić: *Niech ci Bóg pomoże!*
 „Wszak tutaj różny snuje się przechodzień,
 „Może zły człowiek, może jaki zbrodzień,
 „Co złe zamysły w swoim sercu chowa —
 „Czyż za każdego modła jednakowa?
 „Wszak jeśli Pan Bóg spełni twoje modły,
 „To niewinnego pokrzywdzi człek podły,
 „Oszust prostaka otumani zdradnie,
 „Zbójca rozbije, a złodziej okradnie.
 „Nie możesz wiedzieć, co każdy z nich myśli,
 „Więc z twemi słowy rachując się ściślej,
 „Nie mów każdemu, przyjacielu stary:
 „*Niechaj Bóg twoje poszczęści zamiary!*
 „Radzę ci mówić sumienniéj i prawiéj:
 „*Dobrym zamysłem niech Bóg błogosławi!*“

IV.

— „A! mości księże! co mi tam do tego,
 „Z jakim zamysłem i gdzie ludzie biega?”

„Czy sprawa dobra? czy niesprawiedliwa?
 „Ja jestem żebrak, mnie trzeba grosiwa.
 „Niech złodziej kradnie, rozbójnik zabija,
 „Ja mojej sakwy, ja pilnuję kija,
 „Ja z modlitwami każdemu usłużny,
 „Kto mi da chleba, albo grosz jałmużny.
 „Na to ubogi, że Majestat błaga:
 „Niechaj każdemu Pan Bóg dopomaga!
 „Przebacz, co powiem: to skrupuły głupie!
 „Grosz na tabakę daj, księżu biskupie!
 „A jak tam sobie będziesz żył w klasztorze,
 „Mniejsza mi o to — *niech ci Bóg pomoże!*“

V.

Ksiądz kwestarz westchnął na taką ślepotę,
 Rzucił starcowi na tacę dwa złote,
 A żebrak dalej w rzemiosło nędzarza,
 Ludziom pochlebia, a Boga obraża!
 Były to czasy sudermańskiej wojny,
 Wszędy po kraju snuł się żołnierz zbrojny,
 Ci za Zygmuntem, ci przeciw Zygmunta,
 Ci palą wioski, ci pustoszą grunta,
 Ci bronią kraju, a o drugich pisze,
 Że w pierś ojczyzny wbijają bardysze.
 A żebrak widzi, jak tam wioski gora,
 Jednak żołnierstwu kłania się z pokorą:
 — „Trzeba napelniać moją sakwę biedną,
 „Czy Szwed, czy Zygmunt, to mi wszystko jedno,
 „Moja ojczyzna krzyżyk i rozdroże,
 „*Niechaj im wszystkim Pan Bóg pomoże!*“

VI.

Gdy Szwedzi idą palić nasze siola,
 Żebak się kłania, o jałmużnę woła,
 A gdy jałmużnę na tacę położą,
 On pomoc dla nich przywoływa bożą.
 A kiedy Szwedów pokonywać śpieszy
 Pułk petyhorski, pancerny lub pieszy,
 Znow żebak bije pokłony usłudze:
 — „Dajcie, rycerze, biednemu jałmużnę!
 „Niech w waszych piersiach krzepi się odwaga,
 „*Niech waszym włóczniom Pan Bóg dopomaga!*“
 A tak, czy Szwedzi, czy idą Sarmaci,
 Każdy za modłę żebakowi płaci;
 A żebak w służbie Chrystusa i czarta
 Miedziane grosze do swych sakiew zgarta;
 Choćby nogajscy naszli Tatarowie,
 Gotów się modlić za szczęście i zdrowie.

I tak za szwedzkie i polskie proporce
 Modląc się zebrał—miedziaków dwa korce:
 Więc włókę ziemi zakupił za korzec,
 Za drugi sobie pobudował dworzec,
 I z włóki gruntu miał dobre intraty;
 A że gościniec był blisko od chaty,
 Przeto, jak dawniej, pokorny, usłudny,
 Siedział przy drodze i zebrał jałmużny.

VII.

Gdy żebakowi tak dobrze się dzieje,
 Pewnego ranku idą dwaj złodzieje,

I jeden mówi: — „Otoż losy szczęsne,
 „Jeżeli sakwy starego wytrzesnę!
 „Toż mówią ludzie, groszowity sztuka
 „I ztąd i z owąd swoich zysków szuka!“
 Drugi odpowie: — „Oho! znam ja dziada!
 „Ma tam i w chacie zapasy nielada;
 „Nieraz tam zajrzeć brała mię ochota,
 „Ale brytana uwiązał we wrota.
 „Jakżebym pragnął obrać go do naga!
 „*Moim zamysłem niech Bóg dopomaga!*“

Przeto złoczyńca chcąc skusić biedotę,
 Idzie do starca, rzuca mu dwa złote,
 I w pół ze śmiechem dobrotliwie rzecze:
 „Pomódl się za mnie, poczciwy człowiecze!“
 A stary żebrak, choć znał, że to złodziej,
 Lecz myśli sobie: Co mię to obchodzi?
 Złożył kantyczkę, wsparł ręce u kija,
 Mówi Ojczy nasz i Zdrowaś Marya,
 I kończy pacierz swoją zwykłą drogą:
 „*Twoim zamiarom niech Nieba pomoga!*“

VIII.

I w mgnieniu oka jego prośby słowo
 Na skrzydłach wiatru stało przed Jehową.
 I rzekł Przedwieczny do aniołów grona:
 — „Jego modlitwa niech będzie spełniona!“
 Stało się tedy — a złodziej nieznacznie
 O różnych rzeczach zagadywać zacznie:
 Pyta żebraka, jako mu się wiedzie?
 Ile lat liczy? kto idzie? kto jedzie?

A żebrak wdzięczen za uprzejmość taką,
 Gwarzył z przechodniem, częstował tabaką,
 Życzył mu szczęścia — a złodziej w gawędzie
 Zręcznie mu z sakiew grosze wydobędzie,
 Chleb i owoce i zapasy różne,
 Co może w tydzień zebrał przez jałmużnę.
 Żebrak nie postrzegł, tak zawzięcie gadał,
 Kiedy go złodziej do szczętu okradał:
 Bo Pan Bóg jego wysłuchał pacierze
 I złodziejowi *szczęściło się* szczerze.

IX.

Tymczasem drugi skrada się do chaty,
 A brytan groźny, ogromny, kudłaty,
 Zamiast zaszczezać i nasrożyć paszczę,
 Jeszcze się do nóg złodziejowi głaszcze.
 A ten szczęśliwy, że się brytan garnie,
 Splondrował skrzynie, zasieki, spiżarnie.
 Tu mu się dobrze pożywić wypadło:
 Znalazł pieniądze, napitek i jadło,
 I sutą odzież, kozuchy i świty,
 Wszystkiego, panie, zapas znakomity,
 Że jednem słowem, można mówić śmiało,
 Tylko ptaszego mleka nie stawało.
 Złodziej niegłupi — a jak się zawinie,
 Wszystkie zapasy uprzął w godzinie;
 A tak sumiennie był pracy oddany,
 Że nawet ćwieki wyciągnął ze ściany.
 Więc pospiewując po sowitém żniwie,
 Poglaskał psisko i poszedł szczęśliwie.

X.

Wieczorem żebrak aż krzyknął z rozpacy,
 Kiedy swą szkodę podwójną zobaczy,
 Aż targa brodę, aż płacze, aż mdleje,
 Przeklina siebie i psa i złodzieje;
 A bardziej jeszcze po sercu mu bodło,
 Że mówił pacierz, by im się powiodło.
 Wytaczać skargę na niewiele zda się,
 Księdza kwestarza wspomniał po niewczasie,
 I już na prawdę jak nędzarz ubogi
 Płaczliwym głosem żebrował u drogi.
 Lecz po nauce, po ciężkiej goryczy,
 Już nie każdemu powodzenia życzy,
 Lecz kończąc pacierz dodaje w pokorze:
 „Dobrym zamysłem dopomagaj Boże!“
 Modlił się, kiedy wdzięczność go uniosła,
 Ale już nie był żebrakiem z rzemiosła.

Śmiano się z niego i długo i szczerze:
 „Ja cię okradnę — mów dziadku pacierze!“
 A ztąd przysłowie powstało powoli:
Że człowiek sprawca sam swojej niedoli.

M A T Y S E K.

GAWĘDA.

Był Matysek chłop przed laty,
Jak drugiego nie znajdziecie,
I przystojny, i bogaty,
I szczęśliwy na tym świecie;
Był kochany, nie znał biedy,
Zazdrościli mu ludziska;
Nikt nie wierzył, aby kiedy
Przyszła kréska na Matyska.

Krasawica, cud-dziewoja,
Zakochała w nim się skrycie:
— „Mój Matysku! jestem twoja,
„Będę twoja całe życie!“
Lecz ktoś inny sypnął grosza,
I wzajemność dziewczki zyska,
I Matysek wziął odkosza.
Przyszła kréska na Matyska.

— „Mój Matysku, nie dbaj o to,
„A miłosne rzuć zachody!
„Lepiej z nami użyj złoto:
„Pójdziem hulać do gospody!“

Tak go sąsiad cieszył w biedzie
I całuje i uściska.

— „Dobrze mówisz, mój sąsiedzie!“
Przyszła kréska na Matyska.

Pił z rozpaczy dobrę całą,
Na pociechę pół-tygodnia,
Poił wszystkich co się wlało,
I sąsiada, i przychodnia;
A gdy przyszło do zapłaty,
Toć ostatni grosz wyciska,—
Jak niepyszny szedł do chaty.
Przyszła kréska na Matyska.

I od tańca i od trunku
Zachorował téjże doby; —
Lekarz przybył dla ratunku,
I napędził trzy choroby.
A za recept i za leki
Wziął ze stajni dwa koniska,
I odjechał w świat daleki.
Przyszła kréska na Matyska.

Więc przed śmiercią myśli sobie:
— „Niechże wspomną towarzysze!
„Ja testament dla nich zrobię
„I każdemu coś zapiszę.“
Ale w chacie nic nie było
Prócz starego w proggu psiska,—
Westchnął biedak całą siłą:
Przyszła kréska na Matyska.

Umarł tedy, jak ów święty,
Co tureckim ludzie zowają,
A odzieży lichéj szczęty
Położyli mu pod głową,
A na pogrzeb nikt z sąsiadów
Nie popatrzał nawet z blizka,
Trumnę niosło czterech dziadów:
Przyszła kréska na Matyska.

Pod darnią, pod zieloną,
Zajął miejsce nieprzestronne;
Na pogrzebie nie dzwoniono,
Bo nie stało na podzwonne.
Przy kapliczce tuż pod ścianą
Jedlinowy krzyżyk błyska,
A na krzyżu napisano:
Przyszła kréska na Matyska.

1855. Borejkwoszczyzna.

KAPRAL TEREFERA
I
KAPITAN SZERPENTYNA.

GAWĘDA ŻOŁNIERSKA.

I.

Ej żołnierka chleb to twardy
A jak wspomnisz mimo chęci,
Jakbyś łyżkę zjadł musztardy,
Tak na oczach łza się kręci.
Boć to młodość — taka może
Jak dziś widzisz pan dobrodziej?!
Nie dopuszczaj, Panie Boże!
Gdzie się podział hart u młodzi!
Bładzi, wątli, ani siły,
Ani w sercu, ani w ręku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

II.

Dziś u starca w sercu, w oku,
Jak widzicie, ognia dosyć;
A cóż we Dwunastym Roku,
Gdy szabelkę przyszło nosić?

Patrz ten krzyżyk — toż go przecię
 Wysłużyłem ciężką pracą:
 A jeżeli słuchać chcecie,
 To opowiem, jak i za co?
 Ej! to, panie, czasy były!
 Głodu, chłodu, jęku, brzęku!
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefero tatuleńku!

III.

Z pod Smoleńska nasza wiara
 Żwawym marszem w odwrót kroczy;
 Rzadko który miał suchara,
 A gorzałki — ani w oczy!
 Pod jakowymś tam folwarkiem
 Dano spocząć nam nareszcie,
 A kozacy tuż nad karkiem,
 A mróz stopni ze trzydzieście! —
 Zapalono krzyż z mogiły,
 Nuż się tłoczyć przy ognienku!
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefero tatuleńku!

IV.

Ostały z każdój strony
 Tłumy ludu jakby fale:
 I Żmudziny, i Gaskony,
 I Krakusy, i Westfale.

Ot i spłonął stosek drzewa;
 Więc chróśniaki zbiera tłuszczą,
 I przeklina, piosnki śpiewa,
 I z fajeczki dym wypuszcza.
 Kto chciał zasnąć, legł bez siły
 Na tornistrze albo łęku.
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefero tatuleńku!

V.

Legł i nie wstał—chyba wstanie
 Na dolinę Jozafata!
 Na kamrackie pożegnanie
 Zmówim pacierz za kamrata,
 Śnieg rozkapiem choć pałaszem
 I zasypiem oczy śmiałka!
 Boć to, widzisz, w pułku naszym
 Pacierz krzepił—jak gorzałka.
 Insze pułki nie wierzyły,
 Że jest przyszłość w bożych ręku.
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefero tatuleńku!

VI.

Myśmy mieli kapitana,
 Co nas jeszcze trzymał w wierze,
 I bywało codziennie z rana
 Każe mówić trzy pacierze.

Co do postów: gdy golizna,
Nolens, volens, człowiek pości —
 Kapitana czci starszyzna,
 A kochają strzelcy prości.
 Był to sobie dziad pochyły,
 Mówił z cicha, pomaleńku...
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefere tatuleńku!

VII.

Choć potulna zda się mina,
 Licho groźne i uparte;
 Miał przezwisko Szeryntyna,
 Bo się panie rąbał *arte!*
 Dla żołnierza pierś otworzy,
 Grosz ostatni wydobędzie,
 Po za frontem — człowiek boży,
 Ale szatan na komendzie!
 Głos mu bucha jak z baryły,
 Wali płazem mimo jęku.
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefere tatuleńku!

VIII.

Z pod Smoleńska, uważałem,
 Że coś stary idzie chromo;
 Czy raniony może strzałem,
 Czy się znużył, nie wiadomo.

Bo to szatan w nim się mieści!
 Tak był twardy w swojej roli,
 Choćby skonał od boleści,
 Nie dopytasz co go boli!
 Przeskakuje śnieżne bryły,
 Brnie przez śniegi z bronią w rękę,
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefere tatuleńku!

IX.

Gdy ruszano z stanowiska,
 Stary krzyknął: — „Broń na ramię!“
 Patrzę, tylko brwi naciska,
 Chce grać zucha, — ale kłamie.
 Sprawił wiarę do szeregu,
 I sam naprzód w marsz ochoczy;
 Ale widzę ślad na śniegu,
 Że jegomość krwią się broczy;
 Coś się chwieje jak napily,
 Coś się kurczy jakby w sęku...
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefere tatuleńku!

X.

Dobył chustki, siadł na drodze
 I obwiązał chorą nogę;
 Ja to widzę, więc pochodzę,
 Myśląc, że coś dopomogę.

Lecz jak krzyknie stary gdera:
 — „Co się troszczyć cudzą raną!
 „Do szeregu, Terefera!“
 (Tak mię w pulku nazywano).
 Aż się oczy zaiskrzyły,
 Aż mu pałasz skrzypnął w rękę...
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefero tatuleńku!

XI.

A w Imię Ojca i Syna,
 Jakie lichy złe i dumne!
 Powstał z ziemi Szerpentyna
 I nuż kulać przed kolumnę.
 Choć cierpienia nie okaże,
 Lecz to widzą wszyscy z dala;
 Krwią oblały się bandaże,
 A znużenie z nóg obala;
 Starzec goni resztką siły,
 Lecz nie wyda z piersi jęku.
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefero tatuleńku!

XII.

Ot nie wytrwał — jęknął szczerze,
 Zachwiał się i padł jak długi!
 Przyskoczyli doń żołnierze,
 Z dziesięć ramion na usługi.

Sam widocznie iść nie może,
 Chce go unieść oddział cały:
 Bo fūrkony, żal się Boże,
 Gdzieś w Smoleńsku pozostały.
 Nosze z płaszczów się zrobiły
 I uplotły z chróstów pęku.
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefere tatuleńku!

XIII.

Lecz się stary jak wyzwierzy,
 Rzekłbyś tygrys z jego miny:
 — „Cóż to? cały pułk żołnierzy
 „Ma się późnić z méj przyczyny?
 „Precz odemnie! marsz do szyku!
 „Rozkazuję to pod gardłem.
 „Słuchaj, mości poruczniku!
 „Podaj raport, że umarłem.
 „Nie kopajcie mnie mogiły,
 „Nie potrzeba trąby brzęku!“
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefere tatuleńku!

XIV.

Pan porucznik westchnął smutnie
 I szeregi powiódł w pole.
 Myślę sobie: Choć łeb utnie,
 Ja mu zginąć nie pozwolę!

Więc zostałem — i nie tchórzę,
 I powiadam: — „Kapitanie!
 „To się za nic stać nie może,
 „Pan w tém polu nie zostanie.“
 — „Cóż gdy kroczyć nie mam siły!“
 — „Ja poniosę pomaleńku.“
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefero tatuleńku!

XV.

— „Precz mi z radą i pomocą!
 „A nie przywódź mię do złości.
 „Mną się trudzić niéma po co,
 „Ty masz swoje powinności.
 „Uważałem Terefero,
 „W twym plutonie są rekruci,
 „Dzierżą bagnet jak siekiere,
 „Maszerują jakby skuci;
 „Trzeba, aby się rozwiły
 „Władze w nogach, zręczność w ręku.“
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefero tatuleńku!

XVI.

„Jestem ranny — po krwi stracie
 „Tak mi słabo!... skończę życie...
 „Słuchaj, dobry mój kamracie,
 „Jak do domu powróćcie,

„Wiesz zaścianek, tam... przy Niemnie,
 „Kędy matka moja żyje,
 „Schodź, pożegnaj ją odemnie,
 „Oddaj krzyżyk z mojej szyje;
 „Opatrz domek mój pochyły
 „I dwa ule przy okienku...“
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefere tatuleńku!

XVII.

„W ładownicy cała nędza:
 „Jest tu mały groszów worek
 „To mi zanieś gdzie do księdza,
 „Poproś dla mnie o paciorek!
 „Matce powiedz, niech nie płacze,
 „Bom nie zginął jako podli;
 „A do frontu zbierz rębacze,
 „Niech się każdy z nich pomodli!
 „Śpiesz, bo wojska już się skryły,
 „Już nie słyhać broni szczęku.“
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefere tatuleńku!

XVIII.

— „Dobrze! dobrze!“ — ja doń mówię—
 „Nie gadajmy o tém wolój;
 „Jak da Pan Bóg czas i zdrowie,
 „Wszystko pójdzie w swoją kolój.

„Teraz lepiej, mojem zdaniem,
 „Kapitana wziąć na plecy,
 „Do szpitala się dostaniem,
 „Kędy leczą się kalecy.
 „Tuby śniegi was zakryły,
 „Tubysz skonał na tym pieńku.“
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefere tatuleńku!

XIX.

Jak ofuknie się z hałasem,
 Jak zaiskrzy się, zapłonie:
 — „Patrz: kolumna już pod lasem!
 „Twoje miejsce przy plutonie.
 „Śpiesz dopędzić towarzysze:
 „Za zbiegowstwo areszt, kula!“
 Ja udając, że nie słyszę,
 Sadzę na mój kark dziadula.
 On się zwija z całej siły,
 Grozi, krzyczy na mych ręką.
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefere tatuleńku!

XX.

Myślę sobie: Mniejsza o to,
 Niech się złości, będę znosić!
 Lecz z ciężarem brnąć piechotą,
 W śniegowiskach trudno dosyć!

Człowiek spocznie sobie chwilę
 I marsz naprzód, aż łeb potnie;
 Do wieczoru ze trzy mile
 Przetrzepaliśmy samotnie.
 Stary wparł się w grzbiet pochyły,
 Ani słówka... ani stępu...
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefere tatuleńku!

XXI.

Po za wojskiem w całej drodze
 Tu i owdzie ogień błyska;
 Albo trupa gdzie znachodzę,
 Albo ślad obozowiska.
 Miałem w torbie dwa suchary,
 To podróżny zapas cały.
 Na popasie zjadł mój stary
 I wychylił haust gorzały.
 Gdy się płuca pokrzepiły,
 Zyskał humor pomaleńku.
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefere tatuleńku!

XXII.

Już pod wieczór, widzę z dali
 Jakieś wojsko ciągnie chmurą,
 A konnica naprzód wali.
 Szerpentyna rzekł ponuro:

— „Widzisz trutniu, co to czeka,
 „Kto rozkazy poniewiera;
 „To kozactwo... nas rozsieka...
 „Marnie zginiesz, Terefera!
 „Patrz, swawole co zrobiły!
 „Byłbys z braćmi, z bronią w ręku!“
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefero tatuleńku!

XXIII.

„Żal mi ciebie... dziatwy twojój...
 „Pan Bóg skarzał cię wyraźnie!...
 „Lecz poczekaj... wszak to swoi...
 „Ja ci zaraz sprawię łaźnię!“
 Patrzą tedy... aż tu jedzie
 Huf porządnie szykowany,
 Z dala działa, a na przedzie
 Mameluki i hułany.
 Aż od śniegu lecą pyły,
 Aż powietrze drga od brzęku!
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefero tatuleńku!

XXIV.

Ot na białej, dzielnej szkapce
 Jakis jeździec ku nam kroczy:
 W szarój kurtce, w niskiej czapce,
 Co mu spada aż na oczy.

Patrzę pilno... i struchlałem...
 — „Broń prezentuj jak na wartę!“
 Krzyknął kapitan z zapalem —
 „To sam cesarz Bonaparte!“
 Szerpentina jak odżyły
 Na śnieg skoczył z moich ręki.
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefere tatuleńku!

XXV.

To był cesarz... nie inaczej;
 Wstrzymał konia, spojrział groźnie
 I zapytał: — „Co to znaczy?
 „Gdzie wasz oddział? co tak późno?“
 Myślę sobie: Czym półgłówek,
 Żeby zaraz tracić serce?
 (A francuzkich kilka słówek
 Nauczyłem się w żołnierce).
 Więc zdobywam się na siły
 I powiadam bez zajęku:
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefere tatuleńku!

XXVI.

Od początku, z tęgą miną
 Całą sprawę mu wywodzę:
 Co się stało z Szerpentiną,
 Jak raniony padł na drodze,

Jakem kwapił się z posługą,
 By go unieść do szpitalu.
 Cesarz słuchał — słuchał długo,
 I rzekł: — „Brawo, mój kapralu!“
 Aż mu oczy zaiskrzyły
 Jakimś ogniem pełnym wdzięku.
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefero tatuleńku!

XXVII.

Potém spytał Szerpenty,
 Jak się zowę, jak prowadzę?
 I mój kapitan jedyny
 Dał świadectwo méj odwadze.
 Już się znacznie, że nie dąsa,
 W rozrzewnieniu pozbył złości,
 Jednak mruknął coś z pod wąsa
 O wojskowej niekarności;
 Lecz się usta nie ruszyły,
 Nie wydały głośno dźwięku.
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefero tatuleńku!

XXVIII.

Do swych piersi cesarz sięga —
 Dał mi krzyżyk... o rozkosze!
 Patrzcie dzieci, to jest wstęga,
 A na ciele sam krzyż noszę!

A jak umrze Terefera,
 Weń ustróście go na mary,
 Niechaj moją pierś ubiera,
 Niech ozdabia mundur stary;
 Poszanujcie u mogiły,
 Bo był trzyman w dobrych ręku!
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefero tatulenku!

XXIX.

Więc potrząsłem hardo czołem,
 Aż mi w oczach promieniściój:
 — „Wiwat cesarz!“ wykrzyknąłem,
 Zawtórzyli mi gwardziści.
 Nas zabrano na furgony,
 Do szpitalów przyszli z rana.
 Bóg niech będzie pochwalony,
 Wyleczyli kapitana!
 Teraz, słyszę, człek zażyły,
 Gospodarzy przy Niemenku...
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefero tatulenku!

XXX.

Cóż myślicie o tym gderze?
 Gdy do zdrowia przyszedł wreszcie,
 Za niekarność Tereferze
 Trzy dni kazał być w areszcie.

— „Cesarz“ — mówił — „wynagradza,
 „Bo pocziwym szedłeś torem;
 „Ale bratku, moja władza
 „Naruszona twym uporem.
 „Choć wyrwałeś mię z mogiły,
 „Nie popuszczę władzy z ręku!“
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefero tatuleńku!

XXXI.

Słusznie mówił — bo mospanie,
 Czy wodzowie, czy to prości,
 Kiedy rozkaz człek dostanie,
 Pilnuj ściśle powinności!

* * *

Tak powiadał Terefera,
 Siedząc w progu nizkiej chaty;
 I rękawem łzy ociera,
 I wywija kij sękaty,
 I łeb siwy, łeb pochyły,
 Zadumany wsparł na rękę —
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Terefero tatuleńku!

CÓRA PIASTÓW.

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW LITEWSKICH — 1282 r.

I.

I znowu chodźcie posłuchać ciekawie, —
I znowu bitwę przed oczy wam stawię,
I znowu kresłę litewskie postacie,
Brodate, dzikie, ubrane w niedźwiedzie,
Miękkie jak dzieci, gdy w domowej chacie,
Straszne, gdy idą w krainy sąsiednie,
Kiedy dzikości popuściwszy wodze
Kąpią się we krwi, rabują w połodze.
Nawet niepomny obowiązków syna,
W niedobrej chwili kresłę ich oblicze,
Gdy ich bojaków skrwawiona drużyna
Wiedzie z sąsiady wojny napastnicze,
I w cztery strony czterma wiatry bieży
Dla brzydkiej zemsty lub brzydszej łupieży.

II.

Wstyd nie płomieni synowskiego czoła,
Że mych praocjów łupieżcami zową:
Czyż ich sąsiady żyjące dokoła,
Co wyznawały wiarę Chrystusową,

Lepsze poganom podawały wzory
 Bratniej miłości i świętej pokory?
 Kiedy zachodni rycerze jak fala
 Zabijać Litwę dla odpustu płyną,
 Zowiąc jój synów dziećmi Beliala,
 Dzikim potworem i leśną gadziną:
 Czegoż się dziwić, że gromada dziczy
 Głowę podniesie i żądłem zasyczy,
 Gdy krew bojową Kawas mu poruszy,
 Kiedy go Perkun do zemsty poduszczy?
 Bardziej się dziwić, gdy dziki syn puszczy
 Słodkim uczuciom da przystęp do duszy,
 Gdy bałwochwalec marsowa jagoda
 Łzami czułości zaleje się hojnie,
 Kiedy starcowi dłoń synowską poda,
 Gdy uszanuje słabszego na wojnie,
 Kiedy oszczędzi dla rycerskiej cześci
 Głowę dziecięcą albo wstyd niewieści.
 Spytajcie wtedy: zkąd on cnotę bierze?
 Gdzie on to widział? kto w nim ludzkość budzi?
 Czy własne serce? albo leśne zwierzę?
 Zkąd się nauczył? — pewno nie od ludzi!
 Gdy doń Krzyżacy pukają we wrota,
 Wie, co go czeka od wyznawców Chrysta
 Starcom zaguba, niewiastom sromota,
 Mężom kajdany i hańba wieczysta,
 A chacie płomień, a bogom zniewaga —
 Nikt nie wymodli, nikt się nie wybłaga.
 I Litwin — srogi, gdy twierdzą zdobędzie,
 Pluska się we krwi, nie oszczędza jęku,
 A miecz i ogień, zniszczenia narzędzie,
 Nie dopuść Boże widzieć w jego rękę!

Jednak wśród ognia, wśród jęków skonania
 Uszy zatyka i oczy zasłania:
 Bo mu potrzeba być sroższym od zwierza,
 A on własnemu sercu niedowierza.
 Żelaznym hełmem uzbrojona głowa
 Lęka się dumek, co rozczulić mogą,
 A dzielna ręka w godzinę złowrogą
 Od bicia serca zadrzeć mu gotowa:
 Och! bo to serce bogowie odlali
 Z miękkiego wosku i ze twardej stali.

III.

Starec to czasy, które wam wygwarzę.
 Dawno już w próchno rozpadły się ręce
 Owego ludu, co w szumnym rozgwarze
 Dał Trojdenowi oznaki książęce,
 Co mu zwierzając przyszłość swojej doli,
 Przybrał młodzieńca w uroczyste szaty,
 W szkarłatną szubę i kołpak soboli,
 Dał mu miecz kuty i pancierz bogaty.
 Ten miecz i pancierz i szubę z hatlasu,
 Dawno już wilgoć przejadła z mogiły;
 Trzy łokcie ziemi i sześć wieków czasu
 Tamtejszych ludzi dawno już przykryły.
 W stolicy Kniaziów w odwiecznym Kiernowie,
 Kurhany władców zaorane miedzą;
 Śpi stara Litwa — a jój potomkowie
 Nawet podania swych ojców nie wiedzą.
 Zimnym toporem dąb ścinają wzniosły
 Z piersi pradiada na grobie wyrosły;

A z niego drewka szczepiąc do komina,
 W święto do ognia zaprosiwszy gości,
 Naród coś marzy, niby przypomina,
 Majaczy powieść o stariej przeszłości.
 Wtedy coś burzy jego krew zaskrzepłą,
 Iskra zapału odżywa w nim jawna:
 Czy to z powieści, czy z kominka ciepło?
 Może ten ogień tlał w duszy od dawna?
 Bóg raczy wiedzieć!

IV.

Litewską stolicę

Po Narymuncie objął Trojden młody.
 Już go poznały sąsiednie narody,
 Gdy jeszcze sprawiał podlaską dzielnicę,
 Wiedzieli o nim i cudzy i swoi,
 Że mądry w radzie, a chobry we zbroi.
 Ze swój stolicy, jak ze skały sokół,
 Śledził zkąd grożą najbliższe zamachy:
 I Ruś i Niemców, Mazowsze i Lachy
 Bystrém spojrzeniem obrzucił naokół.
 Wszędy wrogowie na Litwę zażarci,
 Gotowi działać czy jawnie, czy zdradnie.
 Trojden rozmyślał: kogo najprzód skarci?
 Czyje najazdy uprzędzić wypadnie?
 Najniespokojniej jego oko pada
 Na mazowiecką dzielnicę Konrada.

V.

Syn Ziemowitów — od Białego Leszka
 Dzierzył te kraje na prawach wassali,
 Znajoma Litwie na Mazowsze ścieżka,
 Znajome pola, gdzie krew przelewali,
 I twarde mury mazowieckich grodów,
 I twarde piersi tamecznych narodów.
 Dziś dobra pora odznaczyć się świetnie:
 Trojden wypadków mazowieckich świadom,
 Konrad, pacholę siedemnasto-letnie,
 Sił jeszcze nie ma oprzeć się napadom;
 Matka, po życia smutnego kolejach,
 Mężowskiej śmierci płacząc dogorywa;
 A lud Mazowszan pracuje we żniwa,
 A baronowie polują po kniejach,
 A starostowie uczują w komnatach,
 A straż zamkowa usypia na czatach.
 Niechże uczują, niech bawią się sami,
 Niech śpią ich straż z bardyszem we dłoni,
 Aż róg litewski pobudkę zadzwoni
 Pod ceglanemi ich grodów basztami!

VI.

Trojden dał hasło o rannój jutrzence:
 Pokorne echo z gór, lasów i rzeki
 Poniosło pilnie rozkazy książęce —
 Przez dzień obiegło po Litwie dalekiej,
 Że każda strona, każdy Litwy przedział
 Już się wieczorem o hasła dowiedział.

I z gór i z lasów wychyliły głowę
 Srogie postaci wojowniczej dziatwy;
 Spieszą pod Kiernów wojska Trojdenowe,
 Że ich rachunek zaprawdę niełatwy;
 A wszystko krzepka gdyby dęby młodzież,
 Chrobre jej twarze, a straszliwa odzież.
 W niedźwiedzich szubach, kudłami do góry,
 Przy bokach trąba i siekiera wisi,
 W rękach oszczepy, korbacze, kostury,
 A zamiast czapki łeb wilczy lub rysy;
 A jeszcze inszy uczeplił na czole
 Długie kły dzika, lub rogi bawole.
 A konie Litwy oszyte w rogoże
 Parskają spięte trędzlą wojownika.
 Zdumione oko rozeznac nie może:
 Jaki to potwór z lasu się wymyka?
 Bo ludzkich kształtów dojrzeć tu niesnadnie, —
 Chyba je serce lekliwe odgadnie.

VII.

Na przodzie Litwy ksiązę Trojden hasa:
 Ma strój ozdobny junacko a suto,
 Uderza w trąbę, co wisi u pasa,
 W trąbę bawołą we srebro okutą.
 Kibić ma smukłą — znać zaraz młodziana,
 A hełm wysoki, roboty nieładą;
 A kita strusia, wiatrami rozwiana,
 W pysznych zakrętach na szyję mu spada.
 Twarz ogorzała, lecz krasna a świeża,
 Brew lekkim marsem pysznie się najeża;

A z pod brwi gęstej gdy spojrzeniem strzela,
To mu i sokół zda się nie dostoi —
Wzrokiem przeszywa pierś nieprzyjaciela,
I czułe serce niewinnej dziewoi.
Włos kędzierzawy i kita pierzasta
Igrają z wiatrem, gdy leciuchno wionie;
Zdobi wąs czarny Trojdenowe skronie,
A czarna broda bujno mu zarasta.
Ręce niezbrojne, krom lnianej odzieży,
By tém swobodnie wymierzać zamachy;
Pancerz u piersi kolcami się jeży,
A na ramionach ma skrzydełka z blachy.
Przez jedno ramię, na rzemiennym pasie
Wisi róg żubra, którym hasło dawa;
Przez drugie ramię szeroka, jaskrawa,
Zwisa siekiera, co krwi pragnąć zda się.
U boku wodza, na poprędze złotej,
Miecz długi, ciężki, niekształtnej roboty.
Rumak, obleczon czaprakiem z niedźwiedni,
I rzy i parska, snadź zwycięstwo wróży...
Truchlejcie ludy krainy sąsiedniej,
Już wam podobno nie ostać się dłużej!
Nie dla popłochu, nie na popis marny
Ten hufiec z puszczy wynurzył się czarnej!
Aż rzeźwo słuchać, gdy ziemia zatętni
Pod kopytami niezliczonych koni;
Aż echo rade, gdy wojacy chętni
Gwarliwie jada po leśnej ustroni,
Lub z męskiej piersi, co się nic nie lęka,
Zagrzmie w sto głosów pochodu piosenka.

VIII.

PIEŚŃ POCHODU LITWINÓW.

Niech wesoło szumi las:
 Książ do boju wezwał nas;
 Umocnijmy dzisiaj ducha,
 Jutro falą krew zaplucha —
 Idziem w dobry czas!

Śmiało, koniu, idź na bój!
 Towarzyszu dobry mój!
 Kiedy pan twój wrogów drażni,
 Ty nie pierzchaj dla bojaźni,
 Ale mężnie stój!

W mocnych murach mieszka Lach,
 Ale w piersiach jego strach;
 A my Lacha w jednej chwili
 Zwyciężyli, wyszydźli,
 Wzięli twierdzy gmach!

Ziemię Niemców dobrze znam,
 Bo dziewczęta krasne tam;
 Lecz my Niemca krwią się zleli,
 Krasawice uściśniełi,
 Nie uciekły nam!

Gdyśmy dalej poszli w tan,
 Drżały mury gdańskich ścian —
 My wypadliśmy z zasadzki,
 Aż pobledniał wódz krzyżacki,
 Gdańskich murów pan!

IX.

Babiński zamek choć ludny i zbrojny,
 Lecz mur i rycerz niegotów do wojny.
 Zwodzona brama na oścież otwarta,
 Wały zarosły, ostrokół wyjęty,
 Wodzowie drzemią, a żołdacka warta
 W sąsiednich puszczech walczy ze zwierzęty;
 Bo ksiązę Konrad syn Ziemowitowy
 Polubił tylko biesiady i łowy.
 Niedoświadczony, zwyczajnie jak młodzian,
 Ognia nad domem nie baczy — i nie wie,
 Że najstraszniejsze przygasłe żarzewie,
 Że wróg najbliższy, kiedy najmniej spodzian.
 Jeleń wysmukły przebieżał mu drogę,
 Więc postanowił spolować rogacza,
 I wszystkich wodzów, i całą załogę
 Wezwał na łowy.

Drużyna junacza,
 Barony państwa, jakby motłoch ślepy,
 Marnie w ostępach łamią swe oszczepy.
 Już drugi tydzień jak goście sproszeni:
 Z rana za zwierzem goni się gromada;
 W południe sypia wpośród leśnych cieni;
 Wieczorem gwarno do uczty zasiada.
 A ksiązę wesół — a zdrojami płyną
 Miód mazowiecki i pannońskie wino.

X.

Właśnie przy zwłokach leśnego rogała
 Huczna drużyna piła pogrzebowe,
 Gdy łoskot trąby odezwał się z dala,
 Głuchy, niepewny, stłumion przez połowę;
 Raz... drugi... trzeci... ozwały się wreszcie
 Okrzyki mężów i płacze niewieście.
 Konrad spójrzanie zwrócił ku drużynie.

— „Słyszycie—mówi—zkaąd ten okrzyk płynie?“

— „Nie, mości książę, wszak słuch mi się nie ómi,
 Odpowie Pełko starszy wojewoda:

„To jakaś w wiosce kłótnia między kmiećmi.

„Kończmy kielichy, bo przerywać szkoda!“

— „Czyście słyszeli te trąby rozgwarę?“

Zapytał książę Zbigniewa kanclerza.

— „To jakiś strzelec zwoływa ogary.

„Śpieszmy do lasu, bo upuścim zwierza.“

— „Widzicie łunę pożarną na niebie?“

Rzekł ku Lassocie staroście warowni.

Lassota spójrział naokoło siebie:

— „To nic — odpowie — to jacyś wędrowni,

„Jacyś pielgrzymi wracają z odpustu,

„Przy drodze sobie naniečili chróstu.

„Spocznijmy raczej, miłościwe książę,

„Bo jutro rano pracowite łowy.

„Niech wasza miłość swój pancierz odwiąże.“

Taką dał radę starosta grodowy.

Trafiło słowo do ucha Konrada:

Odwiązał pancierz i swój oszczep składa,

A na niedźwiedni, jak w miękkiej pościeli,

Układał się książę, plemię Ziemowita.

Wzorem książęcia dworzanie posnęli.
 A po za lasem znowu trąba zgrzyta,
 I słyhać jęki zmieszane z hałasem,
 I chmura dymu zawisła nad lasem.

XI.

A Trojden w zamku — już wdarł się na wały,
 Powiązał strażę lyczanemi sznury;
 Trąby litewskie w warowni zagrały;
 Wstąpił w swe prawa zwycięzca ponury.
 Litwin z okrzykiem do skarbcza się wdziera
 I srebra Piastów garściami rozdziela.
 Drzwi do kaplicy rozdarła siekiera,
 Gdzie był złocisty obraz Zbawiciela;
 Zabrano srebrne wzorzyste ornaty,
 Złote kielichy i relikwiarze.
 Do nóg Trojdena padał ksiądz brodaty,
 Pewien, że świętość uszanować każe.
 Trojden popatrzał na oblicze Chrysta: —
 „To Bóg wasz? — spyta — za cóż go męczycie?“
 Stał, podumał — i łza uroczyta
 Z oczu pogańskich polała się skrycie.
 I rzekł do księdza: — „Ten krzyż to mi znany,
 „Bo go Krzyżacy na swych płaszczach noszą;
 „Pewno to przez nich Bóg ukrzyżowany,
 „Bo oni męczyć gotowi z rozkoszą.
 „Czemuście, pytam, stary wajdeloto,
 „Nie dali wiedzieć do Litwy w tej chwili?
 „Tam insze bogi — ale mniejsza o to —
 „Waszego Boga mybyśmy bronili.

„Och! jak on cierpi! jak zraniony srodze!
 „Za cóż go męczą ciernistą koroną?“ —
 Tak mówił Trojden — i krzyknął na wodze,
 By nie z kaplicy więcej nie ruszono.
 Litwa czcząc rozkaz książęcej potęgi,
 Wyszła z kaplicy, i dalej się wali
 W ciemne komnaty, gdzie chowano księgi
 Pargaminowe z klamrami ze stali.
 Jedne z nich świętsze a oprawne suto,
 Stałym łańcuchem do półki przykuto; —
 Insze obite cedrowemi deski,
 Pobożna ręka zebrała dokoła —
 To są Doktory, Ojcowie kościoła,
 Z nich dusza ludzka ma pokarm niebieski; —
 A insze pracy niesłychanej potem
 I piękne kunsztem wybornój skryptury,
 Malował barwą, naprowadził złotem
 Mnich Benedyktyn Świętokrzyżkiej góry —
 To chrześcijańskiej nauki filary
 Ewangelia lub Testament Stary; —
 A insze zasię pargaminu skręty,
 Żywe świadectwo pięknej świata chwili —
 To Marek Tullus, Horacy, Wirgili,
 Starego Rzymu relikwiarz święty.
 Rzym, chrestna matka Lechowój krainy,
 Tuląc ją k'sobie niedawnemi laty,
 Podarowała ten spadek jedyny,
 Jak święte krzyżmo wiary i oświaty.
 Piśmienne skarby Piastowie od wieka
 Zbierali skrzętnie, kupowali drogo.
 Ale się Litwin w książki nie zacieka:
 Lęka się czarów, które w nich być mogą.

Zamknięty w klamrach może tam duch jaki
 Wywoła wróżbę Litwinom złowieszczą;
 Kto wie, te czarne i krasne zygzaki
 W swych ostrych żądlach czy jadu nie mieszczą?!
 Tak się lękając nieznanéj potęgi,
 Trojden spoglądał na łacińskie księgi;
 Wdział rękawicę — i wolumen stary
 Ujął, popatrzał raz, drugi i trzeci,
 I rzekł do Litwy: — „Wynieście te czary,
 „Puścić je z dymem — niechaj zło uleci.“
 Więc dzika tłuszczą na księgi się miota,
 Odziera klamry ze srebra i złota,
 I w środku zamku suty ogień kładnie
 I skarby wiedzy rzuca nań bezładnie.
 A kiedy ogień z między kart wybucha,
 Gdy się pergamin kurczy i popieli,
 Litwini z boku naocznie widzieli
 Latającego po nad stosem ducha:
 Jak biały ptaszek zwinął się w przestrzeni,
 Otoczony blaskiem ze siedmiu promieni.
 To był zaprawdę Duch mądrości bożej,
 Z którego Światło, Roztropność, Odwaga;
 Ten Duch skrzydlaty nie mści się, nie sroży;
 Kiedyś go Litwa na klęczkach przeblaga;
 On na jéj głowę rzuci swe odblaski
 Ze siedmiorakich promieni swéj Łaski.

XII.

Aż dotąd w zamku był rabunek cichy:
 Związana warty żołnierska drużyna,

A tłum niewieści i dwa stare mnichy
 Żadnym oporem nie drażnią Litwina,
 Kto niedoleżny, pogląda z daleka,
 Kto może uciec, trwożliwie ucieka.
 Ale gdy Litwin lochów się dopyta,
 Gdzie stały miody kołodzieja Piasta,
 Gdy pije stare wina Ziemowita,
 W zagrzanych głowach szaleństwo urasta.
 Już się zwycięzca na niewiasty miota,
 Na karkach starców probuje brzeszczota,
 Podkłada ogień pod dębowe ściany,
 Puszczą do okien kamienie i strzały,
 Już dzikie pieśni, już trąby zagrały,
 Zawył wrzask dziki z płaczem pomieszany;
 A kędy stąpią zwycięzcy gwałtowni,
 Krew bryzga ziemię i ściany warowni.

Wtém most zatętnił — i co siła zmoże
 Pędzą z ostępu strzelcowie Konrada,
 Zbrojni w oszczepy i myśliwskie noże.
 Pełko piorunem na Litwiny wpada,
 Tratuje końmi wpół-pijane głowy,
 W szerokie piersi wpędza sztych stalowy.
 Prędko się Litwa z upojenia trzeźwi
 Sygnałem trąby i krwawemi dzieły,
 I bój gwałtowny zakipiał tém rzeźwię,
 Że chobrze piersi dawno go pragnęły.
 W lekkich koleczugach wymuskane Lachy
 Zwinniej harują i mieczami sieką;
 Litewskich ramion silniejsze zamachy
 Zadają cięcia straszliwsze daleko.
 Grzmia silne piersi, człek z człkiem się splata,
 Zgrzytają miecze po pancernój blasze,

Prosta niedźwiednia i zbroja bogata
 Latają w szmaty — łamią się pałasze,
 Żelazne hełmy druzgocze siekiera,
 Śmierć ulatuje i swe łupy zbiera.

XIII.

Dowódca zamku Pelko siwobrody
 Z młodym Trojdenem puszcza się w zawody.
 Wiek ich nierówny, ale dzielność równa;
 Spotkać się z sobą pragną najgoręcej:
 Dusza Trojdena ognistsza, gwałtowna,
 Lecz Pelko w boju doświadczony więcéj.
 Zwarli się na pół żelaznemi ciała —
 Jeden drugiego nie zachwiał, nie zdążył;
 Grzmotnęli w miecze, aż skry posypały —
 Lecz żaden miecza w piersiach nie pograżył.
 Ciosy Trojdena piorunem ognistym
 Z góry z gwałtownym uderzają świstem.
 Pelko, jak granit mchem siwym porosły,
 Tępi pioruny na swém twardém łonie.
 W oczach Trojdena całe piekło płonie;
 U Pelki uśmiech bohaterski, wzniosły,
 Miecz zda się przyrósł do prawicy dziada,
 Na każde cięcie — cięciem odpowiada,
 Po każdym ciosie znać, że wprawna ręka,
 Lach litewskiego nie szczędzi mocarza,
 Gniewem nie płonie, śmierci się nie lęka,
 Życia niebacznie na sztych nie naraża.
 Był to bój piękny — i Litwa i Lachy
 Stañli patrzeć, co się zeń wywiąże.

Lach miał koleczugi, a litewskie książę
Pancerz ze szwedzkiej wykowany blachy.
Miecz u Litwina był gruby, miedziany,
Kuty po prostu w niemieckim kowadle,
Zwijął się w rękach szybko i zajadle,
Rąbał koleczugi, lecz nie zadał rany.
A miecz u Pelki stalowy, wenecki,
Dobrze hartowny i cienki jak wstęga,
Takt jego pewny, zamach niezdradziecki,
Przekrawa pancerz, aż do ciała sięga,
A gdzie dosięże, to jak ogniem pali,
Krasny krwi sznurek wytryska z pod stali.
Lecz takie cięcia, to jak żądła pszczole
Burzą do zemsty Litwina nad Lachem:
Trojden zakapiał — i silnym zamachem
Strzaskał mu stalną przyłbicę na czole.
Pelko się zachwiał i na odlew płatnie,
Pancerz Trojdena ugiął się podatnie;
Aż prysnął rzemień, co mu pancerz spinał,
Ciężki napierśnik oderwał się z szyje;—
Już w rękach Lacha wenecki puginał
Miał się dopytać, kędy serce bije;
Gdy mężny Trojden swe miedziane ostrze
Wrąbał mu w czoło—padł lacki wojwoda,
Jak dąb spróchniały gdy się gromom poda,
Z trzaskiem po ziemi konary rozpostrze.
Piers Lacha takty ostatnie dobija,
A usta szepcą: Jezus i Marya...
Skonał...

XIV.

Litwini wszędy górę biorą;
 Lach pod ich stopy rzuca miecz z pokorą.
 Jeszcze krwią płynię podwórzec zamkowy,
 Jeszcze gdzieniegdzie walka kipi żwawo.
 Leżą na ziemi okryte kurzawą
 Szczątki zbroiocy i ludzkie tułowy,
 Dobija rannych litewska siekiera,
 Jęk konających aż duszę rozdziera.
 Już Trojden z Lachów bolesnego jęku
 Może odgadnąć zupełną wygranę, —
 Zamek bezbronny ujrzawszy w swych ręku,
 Chce z niego zabrać łupy nie zabrane,
 Więc broń obejrzał, porozstawiał czaty,
 I poszedł w dalsze zamkowe komnaty.

XV.

Po starych komnat kamiennój podłodze
 Idzie stukając miedzianym brzeszczotem;
 Wiedzie za sobą swoje chobre wodze,
 A twarz zwycięzcy zlana krwią i potem.
 Kibić ma smukłą, znać zaraz młodziana,
 A hełm wysoki roboty nielada,
 A kita strusia wiatrami rozwiana
 W pysznych zakrętach na szyję mu spada.
 Twarz ogorzala, lecz krasna a świeża,
 Brew lekkim marsem pysznie się najeża.
 A z pod brwi gęstój gdy spojrzaniem strzela,
 To mu i sokół zda się nie dostoi:

Wzrokiem przeszycie pierś nieprzyjaciela
 I czułe serce niewinnój dziewoi.
 Choć jest zwycięzcą wśród warowni Piasta,
 Szaleń wściekłości oko mu nie płonie;
 Zdobi wąs czarny Trojdenowe skronie,
 A czarna broda bujno mu porasta;
 Ręce niezbrojne, krom lnianój odzieży,
 By tém swobodniej wymierzać zamachy;
 Pancierz u piersi kolcami się jeży,
 A na ramionach ma skrzydełka z blachy.
 Dwie mu popręgi idą przez ramiona:
 Na jednej trąba, którą hasło dawa,
 Na drugiej ostra, szeroka, jaskrawa,
 Zwisa siekiera już krwią napojona;
 Krew na jój ostrzu jeszcze się rumieni,
 Spada kroplami na tafle kamieni.

XVI.

Z głuchym łoskotem przeszli dwie komnaty,
 Tylko im echo na odpowiedź tętni.
 Tu stare Piasty dawniejszemi laty,
 Tu ucztowali wodzowie pamiętni,
 Tu zwykł i Konrad zmordowany łowy
 Ucztować z pany, ze swymi starosty.
 Na łosich rogach wsparty stół dębowy,
 Dalej ławice, gdzie siada lud prosty;
 A dalej sfory przykute do ściany,
 Gdzie śpią ogary i łowcze brytany;
 A dalej komin, co w słotną pogodę
 Sowitym ogniem wybuchał po sali,

Kędy siadają starcy siwobrode,
 A u ich kolan pacholankowie mali,
 Gdzie z piersi mężów wesołość wybucha,
 Gdzie miód i wino leje się w puhary.
 Dziś ta komnata i pusta i głucha,
 Ledwie rozmierzyć okiem jój obszary;
 Tylko tu goszczą od końca do końca
 Echo rozwlekłe i pasemka słońca
 U krat okiennych.

Komin się nie węgli,
 Gwar pogadanki nie kipi wesoło.
 Litwini przeszli, spojrzeli w około,
 Wreszcie do trzecich podwojów dosięgli.

XVII.

Trojden pchnął we drzwi— ciężkie rygle pękły,
 Skrzypnęły rdzawe zawiasy na osi.
 Litwin się cofnął, jak gdyby przelekkły,
 Rękę do boku... i już miecz podnosi.
 Mniemał, że jakaś ukryta zasadzka,
 Miał już syn puszczy zaryknąć z nałogu;
 Lecz się opatrzył — to dziewica lacka
 Przeciw zwycięzcom stanęła na progu.
 Była to Hanna córka Ziemowita,
 Rycerska siostra gnusnego Konrada.
 Jak biała róża, gdy jeno rozkwita,
 Tak twarz dziewczęcia nadobna i blada;
 Lecz jój spojrzenie ogniście się żarzy,
 A wyraz strachu nie postał na twarzy.
 Po ojcu wnuczka i prawnuczka Piasta,
 Kędy się rodzą i Chrobrzy i Śmiali,

Wśród szczęku broni rodzi się, wyrasta,
 Dzieckiem igrała z bardyszem ze stali.
 Stara piastunka nad książniczki głową
 Nóciła starą piosenkę bojową;
 Gwarzyła różne ciekawe powieści
 O Litwie srogięj i łagodnej razem;
 Cóż więc dziwnego, że umysł niewieści
 Zbratał się z wojen straszliwym obrazem?
 W czarnej odzieży i w białém nagłowi,
 Stała we drzwiach jak rycerz na straży,
 Mysliwski oszczep dierzając w pogotowiu,
 Groziła przebić kto wnijsć się odważy.
 Litwin oszczepu nie lęka się pchnięcia,
 Złamałby oręż co dziewica pieści;
 Lecz piękny wyraz godności niewieścięj
 Straszliwszém ostrzem przebił pierś księżęcia.
 Jakiś wstyd przebiegł po zwycięzców tłumie;
 Znowu spojrziała — cofnęli się srodzy,
 I mową ruską, co Litwa rozumie,
 Tak się ozwała do litewskich wodzy:
 — „Słabość dla mężnych jedyna zaporą.
 „Nie wnijdziesz dalej, bo tam matka chora.
 „Książę rycerskie! bądź wierny twój cześci,
 „Nasza niedola niech nas zabezpiecza.
 „Szanuj dom Piastów w dniu jego boleści,
 „Nie nadużywaj praw twojego miecza.
 „Prawa zwycięzcy, zdobyte gwałtownie,
 „Kończą się tutaj, gdzie jęczy choroba.
 „Masz skarby nasze, piwnice, zbrojownie,
 „Zabieraj wszystko co ci się podoba,
 „A cześć uszanuj w godzinę złowrogą,
 „Bo twoje losy przeważyc się mogą.

„Nie patrz szydyczko, że słaba i młoda
 „Grozę oszczepem chrobremu wodzowi:
 „Gdy o cześć idzie, Bóg losy stanowi,
 „Bóg mię uzbraja, a rozpacz sił doda.
 „Potrafię umrzeć; lecz pokąd nie zginę,
 „Nie wstąpisz wodzu w komnaty matczyne!“
 Rzekła — i k'piersiom litewskiego księcia
 Podnosi oszczep, na życie niepomna,
 Płonie w jej twarzy wstydlivość dziecięcia,
 A w oczach zapal i wola niezłomna.

XVIII.

Trojden pokraśniał, spuścił wzrok ku ziemi,
 I zakłopotan do dziewicy rzecze:
 — „Kniahini Lachów! my chobrzy z chrobremi;
 „Lecz u nas w piersiach jest serce człowieka.
 „Żaden zły zamiar w mej myśli nie powstał,
 „I żal i wstyd mi, zem zwycięzcą został.
 „Lecz na to wojna... ta czasem zaślepi,
 „Czasem się rycerz w bitwie zapomina.
 „Wziąłem wasz zamek — to nie moja wina:
 „Dla czegoż wasi nie strzegli go lepiej?
 „Nie wskresić z martwych tych, co w boju padli;
 „Lecz każę przestać wojennej srogości.
 „Nie mówcie, proszę, żeśmy zbyt zajadli,
 „Przyjmijcie, Lachy, Litwinów za gości;
 „Dziś w waszym zamku zajmiemy załogę,
 „A jutro w dalszą puścimy się drogę!“
 Rzekł, i na stronę wodzów odprowadza,
 Wydał rozkazy do drużyny dzikięj,

I w jednej chwili Trojdenowa władza
 Ucisza w zamku bojowe okrzyki.
 Staje jak wryta zawścieklona tłuszcza,
 Wpół taktu w bóje żelazo upuszcza;
 Tylko z dziedzińca posłyszysz z daleka
 Jęknie raniony lub trwożny ucieka.

XIX.

Hanna oparta na drzewcu od włócznie,
 Zdumioném okiem na Trojdena patrzy;
 Bo czyn szlachetny, piękniejszy im rzadszy,
 Serce dziewicze zholduje widocznie.
 Jeśli chcesz mężu mieć łaski Kupida,
 Trefić twe włosy na mało się przyda:
 Niechaj niewiasta raczej na twém czole
 Pięknego czynu widzi aureolę!
 Ty strojny blaskiem twojego ramienia,
 Zostaw zaloty pieszczonój młodzieży:
 Niech z oczu twoich zamiast przymilenia
 Jak błyskawica wielka myśl uderzy;
 A ta, co myśli, co czyny wywoła,
 Potędze twojój oprzeć się nie zdoła.
 Dusza jój stanie w nadziemskim zakresie,
 Dumna twym czynem przestanie być płocha,
 Ołtarz dla ciebie w swoim sercu wzniesie,
 Wprzód uwieli, potem cię pokocha.
 A taką miłość, uwielbienie, chlubę,
 Nielacno z serca, nielacno utraci!
 Choćbys jak Trojden w jój dom niósł zagubę,
 Choćbys się skrwawił posoką jój braci,

Ona niepomna swych lez i rozpaczy,
 Duszę pograży w twego czynu pięknie,
 Wszystko zapomni, wszystko ci przebaczy,
 I mimo woli przed tobą uklęknie.
 Bo serca niewiast lęklive a drżące
 Każde wrażenie do głębi poruszy,
 Czułe na piękno jak kwiatek na słońce,
 Lubią się zdumieć bohaterskiej duszy.

XX.

Trojden powrócił — a na jego czele
 Już się promieni cnotliwe wesele,
 I pięknym blaskiem wzrok mu się rozżarzy,
 I mężne ręce jak do prośby składa;
 Tak w téj postaci było mu do twarzy,
 Że się spłoniła krasawica blada.
 — „Kniahini Lachów! wnet bój się uśmierzy;
 „Wróćę wam łupy, wynagrodzę straty.
 „Wpuście mnie teraz do dalszej komnaty,
 „Niechaj się waszej pokłonię macierzy,
 „Niech trudy wojny złożywszy z méj szyje,
 „Z Piastowym rodem chleb i sól spożyję.“
 — „Szlachetny kniaziu! — odpowie mu Hanna —
 „Możesz rozkazać, a prosisz z pokorą.
 „Ale twój pancierz i zbroja blaszana
 „Może przestraszyć moją matkę chorą;
 „Na twym toporze i na pochwie miecza,
 „Patrz, jeszcze płynie świeża krew człowieka.
 „Zdejm z głowy kirys, odpasaj oręża,
 „A chleba z nami spożyjesz pospołu.

„U moich przodków szerokiego stołu
 „Jest gdzie pomieścić rycerskiego męża.
 „Rycerstwo nasze jest przy moim bracie,
 „Wkrótce powróci z obławy na zwierza,
 „I wypijecie puhary przymierza,
 „I ręce sobie chętnie podacie.
 „U Ziemowitów — u stołu Konrada,
 „Nie bój się, żadna nie grozi ci zdrada!“

XXI.

Wyszła uprzedzić matkę o gościnie,
 Trojden zdejmuje hełm pierzasty z głowy,
 Otarł krew lacką, co po zbroi płynie,
 Odparał z ramion swój topór stalowy
 I miecz swój gruby wykowany z miedzi,
 I tęskno z komnat czekał odpowiedzi.

XXII.

— „Wnijdz, książę Litwy! gość w domu, Bóg
 Mówiła Hanna rumieńcem oblana; [w domu.“
 Wzięła za rękę pięknego młodziana,
 A już jój ręka drżała po kryjomu.
 Szli przez komnatę sklepioną, wysoką;
 Nic nie przerywa uroczystej ciszy.
 Trojden k'niej zwrócił płomieniste oko
 Coś mu się zdało, że westchnienie słyszy;
 Zwiesiła główkę — a Pan Bógże zgadnie,
 Co się tam w myśli dziewicze zakradnie?

Wtém się sąsiednia otwarła alkowa:
 Tam matka Hanny, poważna matrona,
 Księżniczka z Rusi, Ziemowita wdowa,
 Jęczała długą niemocą dotkniona,
 I obyczajem swój rodzinnój strony
 Chciała uklęknąć — lecz chwieje się, ślania.
 — „Kniahini Lachów! — rzekł Trojden wzruszo-
 „Dajcie mi rękę na znak przejednania.“ [ny—
 — „Nie gub nas, nie gub i z duszą i z ciałem!
 „My wiemy, wiemy, czém są wojny prawa!“
 Mówiła matka z wejrzeniem nieśmiałym,
 A łza boleści na jój oczach stawa.
 — „Pokój wam, księżno!“ — Trojden jój odpowie,
 Zgrzybiałą rękę całując z pokorą —
 „Nie bój się Litwy: już my nie wrogowie;
 „Złóż na posłanie twoją głowę chorą.
 „W twym grodzie Litwin tryumfował górą;
 „Lecz się ukorzył przed krasną twą córą.“
 — „Hanno!“ — spytała mazowiecka księżna —
 „Czemu Konrada nie mam przed oczyma?
 „Pewnie, gdy naszła drużyna orężna,
 „Wybiegł do walki — może go już niema!
 „O, głowa biedna! głowa moja siwa!
 „Jakiegoż dzisiaj sieroctwa dożywa!“ —
 I załamała rozpaczliwie ręce.
 „Na co mi życie? na co mi zaszczyty?
 „Na co mi państwa i grody książęce?
 „Mówcie: gdzie Konrad? czy syn mój zabity?...
 „Wodzu Litwinów! tém samém żelazem
 „I mnie zabijcie... zabijcie z nim razem!“
 — „Konrad z panami na łowach się cieszy,“ —
 Odpowie Hanna: „On nic jeszcze nie wie.

„Obaczył pewnie nad zamkiem żarzewie,
„Nie bój się matko, zaraz tu pośpieszy.“

XXIII.

— „Jam tutaj, matko!—zabrział okrzyk w sa—
„Potrafię chodzić po ojcowskiej ścieżce. [li —

„Niedługo będą cieszyć się zuchwali:
„Z grodu mych przodków wycisnę łupieżce!“
Drzwi się rozwarły — i Piast młody wpada;
Zajadłość w oku, miecz w ręku Konrada.

— „A tuś mi kniaziu!... tu na moje szczęście!“

Rzekł, k'Trojdenowi podbiegając srodze....
Trojden bezbronny ścisnął silne pięście,
Grzmotnął mu w piersi, złożył na podłodze.
Krew kipi w piersiach Piastowego syna,
Powstał z podłogi... słania się i chysta —
Miecz w jego rękach jak piorun zaśwista,
I straszna walka znów się rozpoczyna.

Litwin hartownej podobien opoce,
Znowu mu w piersi całą siłą grzmoce.
Lecz w téjże chwili, jak jutrznia poranna
Pomiędzy dwiema grzmotowemi chmury,
Między walczących przedziera się Hanna,
Rozbroić zapęd i gniew ich ponury.

— „Nie sróż się, bracie! posłuchaj mię wolój;

„Od twojéj zemsty nie wskrzesną umarli.

„Wiadoma losu wojennego kolój:

„Litwini wpadli — nasz zamek odarli.

„Była tu walka mordercza i wściekła;

„Część naszych padła, a reszta uciekła.

„Nasi zwycięzcy już byli gotowi
 „Rozpocząć pożar i rabunek w grodzie;
 „Jam tylko sama wyszła ku wodzowi —
 „Mężka szlachetność już mu duszę bodzie.
 „Wstrzymała walkę jego woli władza,
 „Łupy nam wraca, szkody wynagradza.
 „Wyzuł się z helmu, odpasał miecz kuty,
 „A teraz gościem przychodzi w te progi.
 „Nie czas na żale, nie czas na wyrzuty;
 „Złóćcie, rycerze, wasz zapęd złowrogi.
 „Ten, co szlachetnie usłuchał niewiasty,
 „Co miecz zwycięzki sam na stronę kładnie,
 „Czyż ma żalować, że wszedł między Piasty
 „Zginąć w ich zamku zamordowan zdradnie?“
 Tak mówi Hanna — a jasne jój oko
 Zagrało blaskiem, i łzami zachodzi.
 Bystrém spojrzeniem zmierzyli się młodzi,
 W głąb swego serca zajrzeli głęboko,
 I w bratni uścisk serdecznie się wiąże
 Z księżęciem Litwy mazowieckie książe.

XXIV.

W dziedzińcach zamku, u jednego stołu,
 Litwa i Lachy uczują pospołu.
 Synowie Piastów gościnni, bogaci,
 Hojnie rycerstwu rozdają miód stary;
 A Litwa spełnia najpierwsze puhary,
 Jako wspominek po umarłej braci,
 Drugie w cześć bogów i ojczystej ziemi,
 Trzecie na zgodę z dziećmi Lachowemi.

Ucztują wespół zgodni i weseli,
 Jak gdyby nigdy wzajem krwi nie leli.

XXV.

A druga uczta na zamku Konrada.
 Jeszcze weselój i jeszcze tam słodziój:
 Wróg przeciw wroga do stołu zasiada,
 Obadwaj chobrzy i obadwaj młodzi;
 Toczą rozhovor o łowach i psiarnie,
 O bystrych koniach i rodzajach broni.
 A Hanna włosy z nad czoła odgarnie,
 Patrzy w Trojdena, słów jego nie roni.
 Tak zasłuchana i zaciekawiona,
 Sama nie zgadnie co się w głowie marzy;
 Jeno skraśniej, jak wiśnia czerwona,
 Gdy wzrok Litwina spocznie na jój twarzy;
 A sama nie wie, że swemi oczyma
 Lwa straszliwego na uwięzi trzyma.
 Ale król puszczy nie zwykł do łańcucha,
 Nie zdoła w ciszy zachować się dłużej;
 Nie zwykła tać gdy się serce burzy,
 Mężna piers jego westchnieniem wybucha.
 Nalał swój puhar, wypił go w połowie:
 — „Kniahini Lachów! to za wasze zdrowie,
 „W cześć waszój córy! ja k'niej sercem płonę.
 „Dajcie mi Hanę, dajcie mi za żonę!
 „My stara Litwa żołnierscy a prości,
 „U nas długiemu słowy się nie mami.
 „Szerokie moje ziemice i włości;
 „Wieczném przymierzem opiszę się z wami;

„Książęce skarby złożę pod jój nogi;
 „Zrównam jój głowę z wielkimi mocarze;
 „Czcic będzie swoje, a ja swoje bogi,
 „Modlić się będzie jak jój wiara każe;
 „Zostanie bóstwem na litewskiej ziemi;
 „Królować będzie nad ludźmi dobremi!“
 — „Mocarzu Litwy! jam tylko niewiasta,“—
 Odpowie matka: — „jam przyzwolić rada.
 „Konrad jest głową u rodziny Piasta:
 „Mocarzu Litwy! zapytaj Konrada.“
 — „Hanno!“—brat spyta—„wola, czy niewola?“
 Hanna oblicze w drobnych rączkach chowa:
 — „Trojden zwycięzca — jam branka bojowa,
 „Niechaj od niego zależy ma dola;
 „Niech waszym chęciom uczyni się zadość;
 „Będę nagrodą szlachetnego dzieła!“
 Kłękła przed matką i płakać poczęła,
 A przez jój oczka prześwieca się radość.

 E P I L O G.

Lecz może mi powiecie, żem skończył zbyt skoro?
 U nas się kochankowie tak prędko nie biorą.
 Darujcie, jam podania nie wysnuł z méj głowy,
 Wziąłem je całkowicie z kroniki dziejowej.
 Jeden wiek pisze swoje, drugi swoje prawa,
 Każdemu cudzy zwyczaj dziwnym się wydawa.

Historya podania nie kłamie, jak tuszę.
Ej dziwne Laszek oczy, a Litwinów dusze!
Litwa do pięknych czynów zapala się snadno,
Ej to cud pięknych oczu, co sercem zawładną!
Nie wstyd być dla mężnego pod urokiem wdzięku,
I złożyć krwawy brzeszczot, co już dzierżył w ręku,—
Ej nie wstyd bazarzowi, nie wstyd dla pieśniarza,
Sławę takiego czynu gdy ludziom powtarza!
Każda cnota natchniona świętym Duchem Bożym,
Łacniej się upamiętni, gdy ją w pieśń ułożym.
A gdy lubim powieści z upłynionój chwili,
Dajcie ucho méj pieśni, czytelnicy mili,
A obrokiem duchownym niech was Bóg posili!

22 maja 1855. Borejkowszczyzna.



ZGON ACERNA.

CHWILA Z XVII WIEKU.

(1608 roku).

Czego ten stary brytan, opuściwszy szyję,
Do fórtu jezuiickiej drapie się i wyje?
A wyje tak żałośnie, aż przechodzą mrowie!
O! takie skowytanie pewno zgon przepowie!—
Znają w całym Lublinie jego sierść, nazwisko:
To jakiegoś żebraka wysłużone psisko,
Chce się z panem obaczyć, polizać mu ręce.
Próżno uliczne żaki i szkolne młodzieńce
Ciskają nań kamieńmi; kruchciani dziadowie
Naprawdę swemi szczudły biją go po głowie:
Pies kurczy się, zaskomli w postawie pokorniej,
Ale go nie odpędzisz od fórtu klasztornej;
Chciałby weisnąć się milezkiem i omylić strażę,
Ale Ojciec odźwierny wpuszczać go nie każe.

Wtém stateczny przychodzień we dzwonek zadzwoni—
Brytan przypadł mu do nóg, rzucił się do dłoni,
Jakby prosił o łaskę błagalnym wyrazem,
Iżby w bramę klasztorną weisnąć się z nim razem.

Przychodzień go poglaskał:—„To ty, psino wierna!

„Jedyny przyjacielu biednego Acerna!

„Pójdziem nad jego łoże, oczy mu zaslonim:

„My w Polsce tylko jedni zapłaczymy po nim!

„Przy skonaniu pieszczocha sarmackiej cytary

„Pożaluje pies stary i przyjaciel stary...

„A reszta Polski zimna—nie wie, ani zważa,

„Że w tej chwili utracą wiernego gęślarza,

„Co jój chlubę pocziwie głosił w świat daleki!“

Tak powiadał przychodzień—lzę otarł z powieki,

I zadzwonił powtóre, potrzecie, poczwarte;—

Skrzypnęły rygle fórt, powoli otwarte,

I z za drzwi, co się z ciężkim łoskotem rozpada,

Twarz Ojca odźwiernego wychyla się blada.

—„Czego tu waszmość chcecie?—tak silnie dzwonicie!

„Po dziewiątej godzinie, choćby szło o życie,

„Niewolno bywać obcym za klasztorną kratą,

„Chyba da Ojciec rektor zezwolenie na to.“

—„To idźcież do rektora i wracajcie żwawo.“

—„Ach! czy to wasza miłość?—sam wpuścić mam

[prawo:

„Lekarz Albertus Oczko, miły gość w klasztorze,

„Za fórtę *Societatis* zawsze wchodzić może.“

Tak mówił Jezuita z uśmiechem słodyczy;

A brytan wpadł do fórt, smutnie zaskowoczy

I pobiegł w korytarze.

—„Cóż Klonowicz przecię?

„Czy zdrowszy dziś, czy słabszy? nie o nim nie wiecie?“

Zapytał Wojciech Oczko.—„Złe—odrzekł odźwierny:

„Daliśmy mu w klasztorze kątek miłosierny,

„Za to, że nas osławił po sarmackiej ziemi,

„Za to, że szczypał zakon pismy dotkliwemi,

„Że nas przewał gangreną straszliwych bezprawi,
 „Co kraj cały zarazi i o śmierć przyprawi.
 „My mścić się nie umiemy na sprawcach potwarzy,
 „Bo Chrystusa znieważa ten, kto nas znieważy.
 „Bóg zwrócił na bluźniercę zagniewane oko—
 „I ów Acernus głośny, sławiony szeroko,
 „Przyszedł na stare lata do torby i kija,
 „Nędza go i zgryzota przed czasem dobija;
 „A kraj, co w jego pismach tak wielce spodoba,
 „Nie dźwignął swego wieszczą z barłogu Hioba.
 „Lecz przyszedł Jezuita, wziął z błota oszczerce,
 „Okazał niegodnemu miłościwe serce;
 „Gdy się nędzarz w kałuży zasłużonej wala,
 „Dał mu gościnny kątek swojego szpitala:
 „Niech świat patrzy i uzna Jezuitów czyny,
 „Jak chlebem odpłacamy za żądło gadziny.“
 Rzekł odźwierny i westchnął w prostocie gołębięj;
 Westchnął i Wojciech Oczko boleśnięj i głębięj:
 Na starego lekarza osiwiiałęj rzęsie,
 Jak gwiazda promienista ła gorzka się trzęsie.

II.

— „Do celi, gdzie Acernus, wejść teraz nie możemy:
 „Rektor go pojednywa z miłosierdziem bożem.
 „Dzisiaj prosił o spowiedź z pokorą i skruchą,
 „Rektor jego spowiedzi sam raczył dać ucho,
 „Sam wprowadzi grzesznika w wiekuiste wrota,
 „I Olejem namaści i da Chleb żywota,
 „Sam wydrze jego duszę piekłu i rozpaczy.
 „My wrogom przebaczymy—niech im Bóg przebaczy!“

Tak, wiodąc sklepieniami ciemnych korytarzy,
 Odzwierny Jezuita sam do siebie gwarzy:
 Bo lekarz w tęsknej myśli pograżywszy ducha,
 Słów jego nie uważa, przechwałek nie słucha.

III.

Przed niskimi drzwiczkami zakonnich celi
 Nie śmiejąc do niej pukać przybyli stanęli.
 Ztamtąd płacz dolatywał i rozmowa cicha:
 To schorzały głos starca, to mocniejszy mnicha;
 Aż w końcu pełnym dźwiękiem do ucha uderzy
 Uroczysta harmonia łacińskich pacierzy.
 Snadź już rektor ukończył spowiedniczą pracę,
 Rzekł: „*Ego te absolvo, jam vade in pace!*“
 I słyhać głuchy łoskot, jak o trumnę młota:
 To skruszony pokutnik tak się w piersi grzmota.

Odzwierny kląkł się modlić, jak ustawy każą,
 Wojciech padł na kolana z uroczystą twarzą,
 I modlił się ze łzami: „Achl odpuść mu, Chryste!
 „Ścieżki jego żywota tak były cierniste,
 „Dni jego na tak ciężkiej upływały probie!
 „Przygarniej męczennika—przygarniej ku sobie!
 „Niechaj pieśniarz lechicki, w cierniowej koronie,
 „Godzien będzie *Hozanna* śpiewać przy twym tronie!“

IV.

W celi zabrząknął dzwonek;—na ten sygnał cichy
 Wychodzą ze swych komnat na korytarz mnichy:
 Wszystka czeladź klasztorna sypie się jak mrowie,
 I dziady z pod kościoła, i szkolni żakowie.

I otwarły się drzwiczki od ubogiej celi:
 A tam na wiązce słomy, na grubej pościeli,
 Klęczał schorzały starzec—i ręce kościste
 Podnosząc ku niebiosom, wołał:—„Jezu Chryste!
 „Dozwól, bym godnie przyjął ostateczne chryzma,
 „Udziel mi zlitowania, co doznał łotr Dyzma
 „Umierając na krzyżu!“... Chciał dalej wieść modły,
 Ale piersi schorzałe już starca zawiodły:
 Tylko ustami rusza, ręce splótł na łono.
 Wtém znowu uroczyście w dzwonek uderzono;
 Rektor Hostyę podniósł, chory głos natęża;
 Upadli na kolana laicy i księża.
 „O to Baranek Boży!...“

Chory patrzył k'ziemi,

I sercem upragnioném, usty zlaknionemi
 Przyjął Chleb odkupienia... odżył w nowe siły:
 Oczy jego tak dziwnym blaskiem zaświeciły,
 Coś tak dziwnym urokiem twarz mu promienieje,
 Że zda się nowe życie i nowe nadzieje
 Poczęły igrać w tętnach młodzieńczego łona,
 Wstąpiły w marny szkielet, co za chwilę skona.
 Choć jeszcze nitka życia w piersiach mu nie pękła,
 Lecz już dusza głęboko w niebiosą zasięła;
 Oczy tak mu się wpiły w krucyfiks na stole,
 Że ostatni dar ziemski—cierpienia i bole
 Gotów przenieść jak kamień.—Ale z wolna... z wolna,
 Słabnie lepianka ciała, słabnie nieudolna,
 I boleść chorowita znów dotyka zmysły;
 Oczy wieszczą przygasły, ręce mu powisły:
 Osunął się na pościel, czując kres złowrogi.
 Rektor prędko namaszcza czoło, ręce, nogi
 Ostatniem pomazaniem—chory zda się kona...

Nie!—tylko dusza jego w niebo uniesiona,
 Zda się z padolem płaczu zerwała widocznie.
 Lekarz przerwał modlitwy:—„Niechaj trochę spocznie,
 „Niechaj zboląłą głowę przytuli na łożo,
 „A jeszcze siła życia zagrać w piersiach może.“
 Więc skończono obrządek—a ci, co klęczeli,
 Szepcząc pacierz odeszli od nędzarskiej celi;
 Tylko został z gromnicą jeden Jezuita,
 I stary dziad kościelny, który Psalterz czyta,
 I stary Wojciech Oczko z kroplami tyzanny,
 I stary wierny brytan, co jęk nieustanny
 Ronił po korytarzach.—Acernus śpi błogo;
 Już mu łza nie pomoże, leki nie pomogą;
 Jeszcze ocknie się trochę, by pożegnać ludzi,
 A potem znów gdy zaśnie—aż na Sąd się zbudzi.

V.

Ściemniało... noc zapada—u głowy łazarza
 Lampa długim płomieniem krwawo się rozżarza,
 Knot napojony tłuszczem i skwarczy i czadzi:
 Ogień pała nierówno—jaskrawiej to bladziej;
 A po wilgotnej celi, na zczerniałej ścianie,
 Mżą się ruchome cienie, jak duchów latanie.
 Piękna była w tém świetle blada twarz Acerna:
 Wąs przyprószon siwizną, a broda pomierna,
 W uśmiech nieco uśmiechu, z jakim sypia dziecię,
 Na czole zmarszczki cierpień—ślad życia na świecie,
 Jedna ręka na piersiach, jakby boleść dławił,
 Druga w górę wzniesiona, jakby błogosławił.
 Bo może dusza wieszczą błogi kraj oblata,

Żegna swoją ziemię odchodząc ze świata.
 Może gromadę ziomeków przeprasza najczulój,
 Co kielich jego życia goryczą zatruli,
 A on, gdy cierpliwości braterskiej nie stało,
 Ciskał nieraz w ich czoła satyryczną strzałą.
 Już mu Pan Bóg odpuścił—przeznał dobre chęci;
 Odpuście jego winę i ludzie zawzięci!
 Bo jego cała wina: że czuł nadto żwawo,
 Że jęcząc opatrywał swoją ranę krwawą!!

Acernus śpi, jak gdyby w zachwyceniu bożém;
 A stara jego harfa wisząca nad łóżem,
 Nietknięta od nikogo, zda się pieśnią dycha,
 Niedosłyszaniem drganiem pobrząkiwa z cicha.
 O! wierna towarzyszka marnego rzemiosła,
 Tak się z duszą pieśniarza zbratała i zrosła,
 Że stęskniona po panu zagrała boleśnie,
 Że przeczuła pieśń duszy, co on śpiewa we śnie,
 I poczęła mu wtórzyć—znane jój zadanie,
 Drganiem strun odbić serca śpiewaczego drganie.
 Och! po tylu westchnieniach, tylu pieśniach burzy,
 Czyż nakoniec cherubów muzyce zawtórzy
 Na wieczny odpoczynek nad znużoną głową?...

VI.

A w celi tak coś straszno i tak coś grobowo,
 Że czuć obecność śmierci jeszcze nim zapuka:
 Wojciech smutny, że leków nie pomoże sztuka,
 Głowę oparł na rękę, wzrok wlepił w Acerna,
 A łza starój przyjaźni, rzewna, miłosierna,

Zastygła w jego oczach. Lampa ledwie błyska,
 Migają płachty cieniów, jak czarne zjawiska,
 Wiatr uderza do okien, wzdycha Jezuita,
 A dziad chrapliwym głosem *Miserere* czyta.

VII.

Wieszcz ocknął się ze drzemki i słodko uśmiecha;
 Przyjacielsko powitał starego Wojciecha,
 I rzekł doń: „Miły Oczko! wierzyć nie możecie,
 „Gdziem to ja latał we śnie — och! po całym świecie!
 „Śniłem, że jestem *Flisem*... w ładownej komiędze
 „Zda się, szybko nurtami Wisłanemi pędzę;
 „Od źródeł płowój Wisły, do Gdańskiego grodu,
 „Obiegłem całą przestrzeń, jak niegdys za młodu.
 „A cała ta kraina, na żyznym zagonie
 „Usiadła, jak pieszczocha, u Boga na łonie;
 „Jakie tam żyzne pola, jakie piękne lato,
 „Jak tam w wioskach wesoło, jak w miastach bogato!
 „Jakie echa dla pieśni w téj miléj zaciszy,
 „Hukniesz kędys nad Wisłą — trzy powia-
 [ty słyszy!...
 „Wzniosłem się na powietrze — wyteżyłem oko,
 „I widziałem Ruś piękną, całą Ruś szeroką.
 „Do odwiecznego Lwowa zawitałem gościem,
 „Krażyłem nad Kamieńcem, nad krzepkim Zamościem,
 „Zlatałem Busk i Sokal i Horodel stary,
 „Przesnułem się świętami w Kijowie pieczary.
 „Zakrażyłem raz jeszcze — i spadłem jak ptaszę
 „Na puszcze roksolańskie, stare puszcze nasze:
 „Wszędy mię było pełno... Zajrzałem do kwiatka,
 „Byłem pszczółką, gdzie żwawa krząta się gromadka,

„Przyniosłem kroplę miodu dla pszczołek i dla się,
 „Skosztowałem go nieco: upoił mię zda się,
 „Upoił aromatem macierzystej niwy...
 „I od wioski do wioski latałem szczęśliwy,
 „Widziałem prace ludu pasterskie i rolne,
 „Dzieliłem jego trudy i życie mozolne,
 „Zabiegłem w jego serce, przeznac duch człowieczy,
 „I widziałem tam pięknych, siła pięknych rzeczy!...
 „Kochałem go i dawniej: małeć to zasługi...
 „Och! gdybym drogę życia przechodził raz drugi,
 „Tylkobym z ludem wiejskim zbratał się najściślej,
 „I jemu wszystkie pieśni, wszystkie oddał myśli:
 „Tam się serce odmładza, tam dusza korzysta;
 „Pieśń byłaby dźwięczniejsza a myśl bardziej czysta.
 „Możni mi ją zbrudzili, uczeni, bogaci,
 „Zarazili mi serce niechęcią do braci...
 „Gdyby mnie otaczali wyrobniacy prości,
 „W dniachbym mego cierpienia nie bluźnił ludzkości,
 „Nie bluźnił Panu Bogu!!... Gromiąc błędy cudze,
 „Ani mi się marzyło o własnej zasłudze.
 „A pole do zasługi szerokie mi dano:
 „Całą drogę cierniową krzyżami usłaną,
 „Gdzie przez ostre kamienie, pokrzywy i osty,
 „Przez Golgotę do Nieba prowadzi szlak prosty.
 „Chrystus szedł tym gościńcem, ale szedł inaczej;
 „Mnie—dano krzyż—jam dźwigał, klnąc moich siepaczy!
 „Kląłem głośno — jak niegdyś modlił się psalmista,
 „Przy dźwięku świętej harfy, co była tak czysta...
 „Gdy święcone jój struny skalał śmiech mój zimny,
 „Już przestała wydzwaniać modlitwy i hymny;
 „I duch mój obumierał nie czując swęj straty,
 „Stał się gorzki jak piołun, jak oset kolezaty...

„Przyszła ciężka choroba, i nędza złowroga,
 „I przykrzejsze od nędzy miłosierdzie wroga.
 „Chleb mój jadłem z popiołem, zwiądłem jako trawa,
 „Lecz modlić się z Dawidem nie miałem już prawa:
 „Bo w dniach mojej boleści bluźniłem Jehowie...”

VIII.

— „Ej panie Fabianie!” — Wojciech mu odpowie—
 „Zbyt się brzydka rozpaczą unosisz w tym względzie.
 „Pan Bóg za twoje pieśni karać cię nie będzie,
 „Zgorszeniem się potomnych serca nie napoją:
 „Pocziwa chęć natchnęła każdą pieśnię twoją.
 „Wszak w *Worku Judaszowym* i *Zwycięztwie bogów*
 „Pragnąłeś zedrzeć larwę szkodliwych nałogów;
 „A swojemu krajowi usłużyłeś godnie,
 „Jak Herkules potwory, tyś zwyciężał zbrodnie.
 „Acernie! twoją chwałę wiek przyszły zobaczy,
 „Tylko w ostatniej chwili nie daj się rozpaczy!”
 Tak starca Wojciech Oczko przekonywać zaczął,
 I rękę uściskając bada puls nieznacznie.
 A w pulsach krew zastygła kipi gorączkowo,
 Podosycona marzeniem i żwawą rozmową.
 Po mętnych jego oczach blask przebiegał wilczy;
 Drżą mu spalone usta... ale jeszcze milczy;
 Chmurnieje mu na czole troska frasośliwa;
 Zbiera ostatek myśli, co już się rozrywa;
 To cały pokraśnieje, to jak mur poblednie;
 Z ust mu się wymykają gorączkowe brednie.
 Oczko chce dać lekarstwa, przemawia doń z cicha;
 Lecz on już głosu nie zna, a rękę odpycha;

- „I kościstemi palcy złoto k'sobie zgarta!...
- „Czego chce ta niewiasta ze wstydu odarta,
- „Co sprzedaje wstyd innych?... Patrzaj na tych graczy:
- „Jeden z twarzą wybladłą, z wyrazem rozpaczy,
- „Majątek i poczciwość na rzut kości ciska!...
- „Czy widzicie ohydne uczuć targowiska?
- „Czy słyszycie jęk smutny co aż serce targa?
- „To ubogiej sieroty żalosciwa skarga,
- „Na której całe mienie już chciwością pała
- „Złoczyńca we lwiej skórze — ludzkości zakala!
- „Patrzcie... wysuwa szpony... Ktoś puka we wrota:
- „Tłoczy się do drzwi możnych podłość i głupota;
- „Przymila się pochlebca do Plutusa dzieci,
- „Jak jaskółka za latem, on za szczęściem leci...
- „Patrzajcie, jak obżarstwo zapalczywie zmiata
- „Zagraniczne przysmaki ze stołu magnata!
- „Patrzajcie jak lenistwo, po sutój biesiadzie,
- „W aksamitnych wezgłowiach spoczywać się kładzie,
- „A panu za gościnność wdzięcznie a uprzejmie
- „Przedaje swą szablę i swój głos na sejmie!...
- „Wszak już takich występków nie ma Polska nasza,
- „Od czasu, gdy m je skarcił w mym *Worku Judasza??*
- „Robactwo się nie pastwi nad społecznym ciałem??
- „Więc nienapróżno żyłem — niedarmo śpiewałem —
- „I Pan Bóg mię nagroził w miłosierdziu świętym,
- „Że hydrę nieprawości znękałem ze szczętem!...
- „Lecz patrzajcie: tam szatan poruszył się w ciemnie...
- „Czego on tak chychoce? — urąga się zemnie!
- „Urąga się z mych pieśni, co miałem w pokorze
- „Zanieść jako zasługę przed Oblicze boże!...”

X.

Na wspomnienie szatana struchlał Jezuita;
 Dziad kościelny pobledniał — kropielnicę chwytł
 I podał egzorcyście. Ksiądz pokropił ściany:
 — „*Vade, vade, sathanas!*” wyjęknął zmieszany,
 I gęsto krzyżem żegna chorego i celę:
 „Odejdź, odejdź do piekiel, ciemności aniele!”

— „Nie! szatan nie odchodzi — nie lęka się krzyża;
 „Lecz patrzcie... gość promienny do mnie się przybliży,
 „Uśmiechem uspakaja, gdy się serce trwoży...
 „Bądź mi pozdrowion gościu, posłańcze ty boży!
 „Ja czytam w jego oczach wyrok przebłagania,
 „Wiankiem cierni jak tarczą głowę mi osłania,
 „Aby potwór zabójczy nie zbliżył się do mnie...
 „Patrzajcie... ja nie marzę... ja mówię przytomnie.
 „Ja widzę ich — obadwaj latają w przestrzeni,
 „I obadwaj promiennym blaskiem otoczeni.
 „Lecz z jednego blask krwawy płomieńmi wybucha,
 „A w środku czarna postać straszliwego ducha.
 „Jakże dzikie szyderstwo czytam w jego twarzy!
 „Jaka zabójcza groźba na oczach się żarzy!
 „Straszno mi... módl się księżo... krop święconą wodą,
 „Bo mię jego źrenice przepala, przeboda...
 „O!... teraz już mi lepić... przyleciał duch biały,
 „Jego tęczowe blaski całkiem mię obwiały,
 „A promyk z jego oczu aż mi serce głaska...
 „O, Hozanna! Hozanna! Zbawienie i Łaska!...
 „Czyż dla mnie takie szczęście? dla mnież taka chwilka?
 „Za kilka łez gorących, za mych cierni kilka,

„Za miłość pól rodzinnych, com kochał z zapalem,
 „Za piosnki... których jeszcze—ach! nie dośpiewałem?
 „Co znaczy taka miłość? co znaczą te pieśni? —
 „Teraz czuję, co mogłem... ale już niewczesnie...
 „O! gdyby jeszcze wskrzesnąć, gdyby pożyć więcej!
 „Dziśbym kochał goręcej i śpiewał goręcej,
 „Nie doznawałbym wstydu, co mię dzisiaj miota,
 „Żem zmarnował niebacznie cel mego żywota...
 „Wiele mi było dano — wiele się dopomną...
 „Biada mi!...”

I odwrócił głowę nieprzytomną,

I koscistemi dłońmi zasłaniając oczy,

Wołał, że duch ciemności już mu piersi tłoczy,

Że mu nad samém uchem straszliwy wróg świata

Nicestwo jego życia na oczy wymiata.

— „Uspokój się” — rzekł Oczko — „to gorączkę znaczy.”

— „Módl się” — powtarzał kapłan — „broń się od rozpacy,

„Bo to szatan, jak zwykle, straszy przed skonaniem.

„Padajmy na kolana — pomódlmy się za nim!”

Pokłękli; — ale chory snadź jeszcze nie kona,

Silnie kipi mu w piersiach modlitwa stłumiona,

Choć słów nie wydobędzie z zachryplego gardła,

Znaczno z promiennych oczu, że myśl nie umarła.

Jeszcze usta belkocą — to słowa nadziei,

To psalm pokutujących — *Miserere mei*;

A w starój jego harfie, co wisi na ścianie,

Znów po strunach przebiegło harmonijne drganie.

XI.

Zaskrzypiały drzwi w celi — i ksiądz rektor wchodzi,

A za nim ciżba mieszczan i starzy i młodzi:

Zeszła się na skonanie garstka prawowierna,
 To sławetni sąsiedzi, to krewni Acerna.
 I spojrzeli po sobie i szepcą do ucha:
 — „Jeszcze stary nie oddał Panu Bogu ducha.
 „Przecież był rajcą miejskim — jak duszno w tej celi!
 „Jakie twarde wezglowie!... słoma na pościeli!
 „Wstyd... umiera, jak nędzarz... a mógł zebrać grosza.”
 Tak powiadał pan Andrys do pana Bartosza.
 — „Zachciałeś!” — mówił Bartosz — „ot harfa na ścianie!
 „Jeszcze mu teraz w głowie piosenka i granie.
 „Oj, piosenki... piosenki... chciałbym słyszeć z dala:
 „Dziwnie muszą odbijać od murów szpitala.
 „Patrzej, jak zmizerniało, jak mu się wychudło;
 „Tak to puszy poetów hypokreńskie źródło!
 „Jeździł dawniej do Gdańska ze skutem i tratwą,
 „A w Gdańsku to nie żarty... tam o pieniądz łatwo:
 „Szyper przywozi pańską pszenicę lub żyto,
 „To go Niemcy nakarmią, napoją sowito,
 „A jeszcze, jak to u nich stary zwyczaj każe,
 „Od łasztu sprzedanego dają po talarze.
 „Mając z kopę talarków — o mocny mój Boże!
 „Wcale niezły handelek zaprowadzić może.
 „Człek nakupił hatlasu, tabintu, jedwabi,
 „A u nas taki towar zawsze kupca zwabi,
 „Potém handelek szerszy, potém jeszcze szerszy...
 „A on w Gdańsku cóż robił? — rzucił się do wierszy,
 „I opisywał flisów rozliczne przygody,
 „Nadwiślańskie wybrzeża, wiosieczki i grody,
 „I powrócił do domu z całym poematem,
 „I chciał się swemi rytmy popisać przed światem.
 „Bywało kopę groszy za ledwie gdzieś złowi,
 „To zaraz do Krakowa i szle drukarzowi.

„Sława rośnie po świecie — a tu długi rosna;
 „Więc rusza do lichwiarza z postawą żalną:
 „Daj grosza na zastawę, ulituj się, bracie!
 „A nasz Fiksel lubelski, waszmoście go znacie,
 „Nim da halerz, to przezna cały człeka zasób,
 „Bierze lichwę w dwójnasób, albo we trójnasób:
 „Cóż za dziw, kiedy potem dług ze długu rośnie?”
 — „Tak, tak, panie Bartoszu!” — odpowie żałośnie
 Pan Stach, co był w kościele starszym sodalisem: —
 „Niechby sobie nakoniec zabawiał się *Flisem*;
 „Lecz go duma szatańska jeszcze dalej niesie:
 „Na księży Jezuitów bryknął w swym *Ekwesie*.
 „Wyniosła go pod niebo Aryanów tłuszczą;
 „Lecz Pan Bóg takich rzeczy płazem nie przepuszcza,
 „I patrzcie, jakie zebrał niedowiarstwa plony!”
 — „Tak, tak” — rzecze pan Krzysztof, Aulicus rzeczony,
 Bo służył w pańskich dworach — „Mniejsza z Jezuity;
 „Ale jeśli plebujesz, sukmaną okryty,
 „Pocznie pańskim splendorom złorzeczyć niegodnie,
 „Wojewodów zadraśnie, hetmany ubodnie;
 „Gdy swawolnemu pióru popuściwszy wolę,
 „W jasny naród szlachecki satyrą ukole:
 „To musi z głodu umrzeć za karę bezprawi —
 „Niech się robak nie dziwi, że go lew zadławi.
 „Z panami najbezpieczniej, kiedy człek najśłodziej:
 „Dzisiaj *Worek Judaszów* bokiem mu wychodzi.”
 — „Albo to, czy przystało mieszczkańskiemu bratu” —
 Zarzucił pan Mikołusz, rajca skabinatu: —
 „Gdy się sędzia żydowski puszy we swęj chwale,
 „Jakby zasiadł w koronnym wielkim trybunale!
 „Potrzeba być obrotnym, wzbudzać postrach w żydzie.
 „Ztąd zyski i przezyski, ztąd gotówka idzie,

„A na szali Temidy ważąc adwersarzy,
 „Gdzie położą funt pieprzu, niech słusznosc przewazy.
 „A u niego bywało sprawiedliwosc kuta,
 „I dla niewiernych Żydów wartuje statuta.
 „Cóż za dziw, że zubożał sędowniczą władzą?
 „I głowę mu przekrzyczą, i grosza nie dadzą!“
 Tak rozprawiali z sobą sławetni mieszczanie;—
 A harfa po raz trzeci zabrękla na ścianie,
 I chory siłę w piersiach odzyskał nieznacznie,
 I jakby w takt jęj brzęku odzywać się zaczął:

XIX.

—„Obywatele miasta, sąsiedzi i krewni!
 „Dziękuję wam za pamięć—dziękuję najrzewniej.
 „Już sądziłem, że umrę (to cios najdotkliwszy)
 „Was ani pożegnawszy, ani przeprosiwszy...
 „Zbliźcie się, dajcie ręce... w ostatniej godzinie
 „Niech przed wami testament śmiertelny uczynię!..“
 Tu obecni spojrzeli, zdumieni po trosze,
 Jakby zdając się pytać: Zkąd nędzarz ma grosze?
 I komu je zapisze? — „Dobrzeć, panie bracie“
 Odpowie pan Mikołusz, rajca w skabinacie —
 „A wy zasię, sławetni i zacni mężowie,
 „Zważajcie pilnym uchem, co Acernus powie:
 „Aby, gdy ciało jego już opuści dusza,
 „Uroczyste zeznanie zanieść do ratusza,
 „A tam przed urzędniki i *ad legis mentem*
 „Ugruntować je pismem, stwierdzić juramentem.
 „Słuchajcie, bo to wielce uroczysta chwila!“
 A chory blade czoło na rękę pochyła,

Odgarnął długie włosy, co mu twarz cieniły,
I z piersi ostatecznej dobywając siły,
Tak jął mówić:

XII.

— „Oświadczam w mym przytomnym

[stanie:

„Żem wierzył w kościół święty, naukę, podanie,
„Że żyłem wedle jego praw i obyczaju,
„Bo to wiara mych ojców i mojego kraju.
„A jeżeli przed laty targnąłem się śmiało
„Na to, co moim oczom zdrożnym się wydało,
„Niech pobożni Ojcowie wasza niechęć znika,
„Jak to mi Bóg odpuścił usty spowiednika.“
Tu uderzył się w piersi, a westchnąwszy skrycie,
Uczynił nizki pokłon ojcu Jezucicie.
„Tę miłość, która pierśmi władała mojemu,
„Przekazuję méj matce — rodowitej ziemi. —
„Nie przestanę z za grobu, gdzie mię Pan Bóg zowie,
„Modlić się o jój szczęście, o społeczne zdrowie,
„O zgodę panów radnych, o pomyślność kmieci;
„A jeśli moja prośba do Pana zaleci,
„To mam dobrą otuchę, że skrócę jój nędzę,
„Od niej głód, mór, pożogę, szarańczę odpędzę.

„Jakiż dam upominek dla miłego miasta,
„Gdzie mi dano naukę, gdzie młodość podrasta,
„Gdziem piastował urzędy na sędziowskiej ławie?
„Cóż mu prócz kości moich, w pamięci zostawię?
„Ja kocham piękny gród nasz — ale tego mało.
„O! jeżeli potomność otoczy mię chwałą,

„Jeśli się opromieni moja chęć i praca,
 „Niech wszystek marny promień to miasto ozłaca.
 „Ja z krain wiekiuistych tu wyteżę oczy,
 „Moja rzewna modlitwa te dachy otoczy,
 „Wieże waszych kościołów i urzędów ławy,
 „Abyście sąd ludowi wymierzali prawy.
 „Tymczasem bracia moi, cni obywatele,
 „Nie gardźcie temi rady, których wam udzielię,
 „W których całą życzliwość, co się w sercu mieści,
 „Testamentem oddają z łoża méj boleści.
 „Miasto moje rodzone! tyś jest grodów kwiatem,
 „Pan Bóg dał ci być piękném, ludném i bogatém,
 „Król nowe przywileje coraz ci stanowi:
 „Bądźże wdzięczne a wierne Bogu i królowi!
 „Czemu pod twemi dachy tyle wiar się mnoży?
 „Czemu u was w pogardzie jeden kościół boży?
 „Dla czego w rzeczach wiary tyle zdań was dzieli?
 „Czemu twoi duchowni Chrysta zapomnieli?
 „Czemu serce światową rozkoszą oddycha?
 „Dla czego harde głowy podnosi im pycha? —
 „Zakłniéjcie stan szlachecki, na Boga was proszę:
 „Niech rzuci buntownicze zjazdy a rokoszę;
 „Niech raczój jednomyślnie, jak czynili starzy,
 „Wspólnemu dobru gwoli z królem się kojarzy.

„Zakłniéjcie deputatów, co do nas w téj chwili
 „Na trybunał koronny zjechać się raczyli:
 „Niechaj czynią sąd ludziom sumienny a ścisły,
 „By bicze pomsty bożej nad nami nie zwiśły,
 „Aby tych pięknych murów gwoli złój przemocy,
 „Nie rozbiła łąza wdowy, albo jęk sierocy...

„Wy zasię, cni mieszczanie, do sądów się zbierzcie,
 „I napiszcie uchwałę — i mieczem uderzcie
 „Przedajność i bezbożność, co ku złemu uczy,
 „Lichwiarstwo, co krwią ludzką pasie się i tuczy,
 „I wybiegi pieniactwa, co do zguby pędzą,
 „I zbytki, które kiedyś oplacimy nędzą.
 „Niech kocha gród rodzinny każde małe chłopię,
 „Niechaj grzech fundamentów jego nie podkopie,
 „Niech cnota jego mury ugruntuje święcie...
 „To testament Acerna — to jego zaklęcie.
 „Na dowód, że się wszystko wedle prośby stanie,
 „Dajcie rękę, przesławni lubelscy mieszczanie!
 „Rękę waszemu bratu!.. Cofacie się od niéj?
 „Och! dajcie wasze słowo, a skonam swobodniéj!..“
 Wyciągnął drżące dłonie. Zmieszany widocznie,
 Cofnął się tłum zebrany, nie wiedząc co pocznie?
 Wzajem patrzy na siebie i do drzwi się skupia;
 Jakby mu się wydało, że ta ręka trupia,
 Że te słowa zapału — to z gorączki brednie.
 Chory westchnie głęboko, twarz jego poblednie,
 A wzrok, co jeszcze ogniem błyskawicy pała,
 Wlepił na czarną ścianę, gdzie harfa wisiała.

XIV.

„Harfo moja pocziwa — narzędzie ty boże!
 „Komuż ja cię zapiszę? w czyje ręce złożę?
 „Lublin złowrogie miasto dla pieśni Sarmaty:
 „Pamiętam kiedy tutaj przed dwudziestu laty
 „Umarł Jan z Czarnolasu — a ja płacząc smutnie,
 „Pytałem: komu dzisiaj zostawisz twą lutnię?

„A któryś z dobrych ludzi rzekł pochlebne słowa:
 „To twój spadek, Acernie — cythara Janowa...
 „Och! jeżeli to prawda, żem godzien tój łaski,
 „Patronie pieśni polskiej! Janie czarnolaski!
 „Jeżelim twoją lutnię odziedziczył w darze,
 „Słabo grałem — lecz grałem jak mi serce każe.
 „Może popsuł jój struny niewdzięczny harfista;
 „Ale z rąk mych wychodzi nieskalana, czysta,
 „Jak była w twoich rękach — świętości nie traci:
 „Grałem przy niej dla Boga i dla miłej braci...
 „Mistrzu mój! ty w niebiesiech zarzutu mi nie dasz,
 „Że choć jeden brzęk struny puściłem na sprzedaż;
 „Świadkiem moim niech będzie Bóg serca świadomy,
 „Świadkiem ziemia lechicka i ten barłóg słomy,
 „Na którym dogorywam... Są tam łzy goryczy...
 „A ktokolwiek ten spadek po mnie odziedziczy,
 „Ktokolwiek będzie na nią ciągnął hymn ten samy,
 „Niechaj struny oczyści od tój rdzawej plamy.
 „Niech nie gardzi starego pieśniarza przestrogą:
 „Bo dźwięki chrapowate urodzić się mogą,
 „Staną się niepodatne jego słowa wieszczę,
 „Zamiast serca łagodzić, porozjątrza jeszcze,
 „Zamiast dusze oczyścić, jeszcze je popłami,
 „I stanie przed sąd boży z próżnemi rękami,
 „Jak niewierny najemnik... Za pieśnię goryczy
 „Zapłatę jego żniwa czyż mu Bóg policzy?
 „Czyż widząc jego chwasty, gorzko nie zapyta:
 „Dla czegoś nie pracował jak dobry najmita?...
 „O! kto nie chce mieć zgryzot i lez na ostatku,
 „Ktokolwiek pieśnię moją odziedziczy w spadku,
 „Niech ją samą miłością rozkołysa szczerze,
 „Niech z mojego przykładu swych wzorów nie bierze!

„A choćby kiedyś ludzie zimni a nieczuli
 „Ociem mu czarę życia i żółcią zatruli,
 „Choćby mu zgryzła serce jadowita żmija,
 „Niech nektar niesie braciom, a żółć sam wypija...
 „Bogdajby słowa pieśni nikogo nie bodły!...
 „A szkodliwszy od żółci panegiryk podły
 „Niech od ciebie śpiewaku będzie zawsze z dala,
 „Niech mojej staroświeckiej harfy nie pokala.
 „A jeśli mój następca płocho a niebacznie
 „Niegodnemu pieśń chwalczą pobrząkiwać zacznie,
 „Ty pomnąc, żeś służyła piosenkom Acerna,
 „Pękniej pod jego ręką, moja harfo wierna!...“
 Tu głos wieszczą potężniał... potężniał pomalu,
 A twarz jego nabiegła rumieńcem zapału,
 I drgają jego palce, jakby dźwięki chwyta.
 Czegoś się zakłopotał ojciec Jezuita,
 Lica jego poblady — i rzekł do lekarza:
 — „Uśmierzcie tę gorączkę, co mu krew rozżarza.“

XV.

— „Acernie! Pan Bóg z tobą“ — rzecze Oczko
 [z cicha —
 „Hamuj zapęd twój piersi, gdy się rozkołycha;
 „Nie daj się dobrowolnie rozwijać malignie,
 „Wypij nieco tyzanny, to ci krew ostygnie.“
 — „Nie trwóźcie się“ — rzekł chory — „o bracia naj-
 [szczersil
 „Krew już i bez tyzanny zastyga w mej piersi.
 „Ja czuję, że przeżywam mój ostatek ducha;
 „Lecz nim zgaśnie kaganiec, niech żywiój wybucha!

„Przy ostatecznym blasku nim zgore oliwa,
 „Może się jaka prawda z cieniów wydobywa;
 „Dajcie niech się wynurzy póki myśl migota...
 „Wiesz, jakem szukał prawdy przez mój ciąg żywota—
 „Boże mój! czemuż właśnie prawda się odsłania
 „W ostatecznej godzinie... w godzinie skonania?...
 „Jak myśl kipi! a słowa powoli się wleką,
 „A jeszcze mój testament do końca daleko;
 „A tutaj jedno z drugim kojarzy się tłumnie,
 „A tutaj biedna głowa marzy bezrozumnie,
 „A tutaj serce rwie się, rozpada na części...
 „Czyż chwilom ostatecznym Pan Bóg nie poszczęści?
 „A muszę, nim pożegnám oblicze téj ziemi,
 „Wygadać moj testament przed ludźmi dobremi,
 „Wygwarzyć wszystkie bole, wszystkie me rozkosze...
 „Na czém to ja stanąłem?—pomóście mi proszę!

XVI.

„I ja byłem szczęśliwy — ja... dziś nędzarz stary!
 „I mnie niegdyś kochano — kochano bez miary;
 „Nie dorównałem inszym gładkością urody,
 „Lecz miałem nieco sławy — byłem jeszcze młody—
 „A młodość, głośnie imię i dostatku nieco,
 „Zdoła zawsze podzielać na duszę kobiecą.
 „Jam ją kochał... och! kochał... o przepuść mi Boże!
 „Więcej niż własną duszę—niżli Ciebie może!
 „Przy niej cała méj duszy skupiła się siła,
 „Myśl ukradziona pieśniom u jój stop gościła;
 „Jój obraz wciąż przedemną, uczucia me drażni;
 „Widziałem ją na jawie okiem wyobraźni,
 „A w snach moich, w snach pięknych, ona wciąż

[się marzy...

„Przebaczcie aniołowie! ale waszj twarzy
 „Niepodobna tak piękną i tak bozką zostać,
 „Jak ja oczami duszy widziałem jój postać!..
 „Spełniły się wyroki... przeszło dni niewiele,
 „I kapłan nasze ręce połączył w kościele;
 „Nastała chwila szczęścia — przelotna a skora,
 „Przyszła snem — i uciekła jako senna zmora...
 „Piękne były jój słowa, gdy rzewna jak dziecię,
 „Schyloną moją szyję rączkami oplecie,
 „I zda się całą przyszłość w moje ręce składa.
 „A ja myślałem w duszy: O biada mi, biada!
 „Jeżeli na tém czole spłoszę kiedy radość,
 „Jeżeli temu sercu nie uczynię zadość!..
 „I czynilem modlitwy Przenajświętszej Pannie,
 „By tak wspólném uczuciem goreć nieustannie...

„Musiałem źle się modlić przed Dziewicą świętą:
 „Bo prośb nie wysłuchano, modłów nie przyjęto...
 „Nie spełniłem jój szczęścia, jak to mi się marzy:
 „I zapał uroczysty uleciał z jój twarzy,
 „Powszednia jakaś próżność i zimna rachuba
 „Już owionęła duszę pięknego cheruba,
 „Egoizm w taką szatę jój postać przyodział,
 „Że trudny stał się myśli i uczuć z nią podział...
 „Wreszcie jednego serca było jój za mało,
 „Jój myśl biegła gdzieindziej, jój serce kłamało;
 „I pierzchły mego szczęścia uroczę widziadła,
 „I gadzina zazdrości do piersi się wjadła.
 „Zabójcze żądło w piersiach czułem tak boleśnie,
 „Ból przerywał sny moje, modlitwy i pieśni,
 „Obrzydził mi naturę, od pracy odpędza...
 „I przyszły w dom niezgoda, zgryzota i nęda,

„Zdrowie mię opuściło, a w długiej chorobie
 „Byłem nieżnośny ludziom, nieżnośny sam sobie...
 „Cóż za dziw, że tak długo cierpiąc nadaremnie,
 „Towarzyszka żywota odeszła odemnie?
 „Rzuciła mię w chorobie?... Sąsiedzi i krewni!
 „Ulitujcie się nad nią! któż jój los zapewni?
 „Niech jój Bóg po mym zgonie lepszą dołę zdarzy:
 „Och! dosyć za swą płochość poniosła potwarzy!...
 „Powiedzcie jój sąsiedzi: zem w ostatniej chwili
 „Niedole mego życia przebaczył najmiliej;
 „Niechaj ma duszę moją na życzliwym względzie,
 „Niech sama mi przebaczy, niech szczęśliwa będzie;
 „Ja tam z wysokich niebios, jeśli Bóg pozwoli,
 „Dopomogę modlitwą do jój lepszej doli.
 „Oddajcie jój ten pierścień z życzliwemi słowy:
 „Bo grób doczesnych ślubów zdejmuję okowy...“
 Tu ręką cisnął czoło, jakby zbierał zmysły,
 A lży długo tajone ze źrenic wytrysły;
 Stęknął... i głosem cichym, urwanym co chwila,
 Dokończyć pożegnanie jeszcze się wysiła.

XVII.

—„Bracia moi, ziomkowie, dobrzy towarzysze!
 „Żebrawym testamentem cóż ja wam zapiszę?...
 „Dobry Wojciechu Oczko, cóż zostanie tobie?
 „Ty w życiu, we złej doli, w ostatniej chorobie,
 „Zawždy byłeś mi bratem—więc nie wzgardź ofiarą:
 „Mam Pieśni Horacego i Biblię starą,
 „Tam znajdziesz pokarm duszy, tam sercu osłode...
 „Lubiłem zbierać księgi w moje lata młode,

„I zebrałem przez życie mnogie foliały;
 „Ale na starość książki na chleb się sprzedały,
 „Bom często łaknął chleba... biada niedołądze!
 „Tak odzież po odzieży, a księga po księdze
 „Rozbiegły mi się z domu... Mam jeszcze oponczę:
 „Zabierzcie ją Bartoszu, gdy ja żywot skończę,
 „Bo mnie włożyć do trumny dość stariej sukmany...
 „Mam pałasz damasceński srebrem dźwirowany,
 „Przyda się wam Krzysztofie do wojennej sprawy;
 „Lecz go sami musicie wykupić z zastawy...
 „Wy, panie Mikołaju, ot ten krzyżyk weźcie,
 „Oddajcie waszej żonie, poczciwej niewieście,
 „Co w ostatniej chorobie z dobrocią kobiecą
 „Przysyłała mi jarzyn lub owoców nieco...
 „Przeżegnaj twoją dziatwę—niech przyjmie gromada
 „Ostatnie pozdrowienie szpitalnego dziada...
 „Powiedz dziatwie, że kiedy w trumnie się położę,
 „Przyszlę z nieba gościniec — przeżeganie boże...
 „Wam zaś, panie Jędrzeju, cóż oddam w ofierze?
 „Przyjmiejcie psa mojego, niech wam domu strzeże;
 „Niedługo się naprzykrzy strzegąc wasze wrota:
 „Zabije go poczciwa po panu tęsknota...

„Oto bracia, już wszystko, co miałem na świecie...
 „Jeszcze mam do was prośbę... czy spełnić zechcecie?
 „Wszak byłem waszym ziomkiem, każdy tego świadom:
 „Sercem, głową i pismem służyłem sąsiadom;
 „Wszakże pospołu z wami całe życie prawie
 „Czyniłem sprawiedliwość na sędziowskiej ławie;
 „Wszak kiedyś mém imieniem było miasto dumne...
 „Złóżcie więc kilka groszy na żebra czą trumnę,
 „Poszlęćcie na podzwonne, pomyślcie o stypie
 „Dla żebractwa... co piaskiem oczy me zasypie...

„A teraz... Bóg was żegnaj! odchodzę w świat nowy...
 „Ciężą mi... och! jak ciężą cieleśne okowy!...
 „A w kościanym szkielecie dusza niecierpliwa...
 „Jako z klatki ptaszyna. . targa się... wyrывa...
 „Chce lecieć na swobodę... do słońca... do ciepła...
 „Chryste... rozwiąż jój więzy...“

Tu mowa zakrzepła,
 Chory usnął... i cisza nastąpiła w celi.
 Obecni bicie serca i oddech przycięli.
 Zegar wybił godzinę—a gdy echo kona,
 Ozwała się na ścianie harfa nieruszona
 Raz i drugi—a potem wszystkie struny pękły.
 Oczko w około siebie rzucił wzrok przelekkły,
 Zbliżył się do chorego—wziął za puls—i płacze:
 —„Już przed Bogiem stanąłeś, lechicki śpiewacze!
 „Módlcie się!..“

I obecni pokłękneli, bladzi;
 I stał się cichy rozruch w klasztornej czeladzi;
 Jezuita krzyż skreślił nad umarłą głowę,
 I *Requiem aeternam* wyciągnął grobowo;
 Zahuczał dzwon kościelny, ile jęku stanie,
 Głosząc po całej Polsce Acerna skonanie...

DOŚPIEWEK.

Nazajutrz stał się w mieście rozruch i żałoba: }
 Trup, co leżał w szpitalu, na łożu Hioba.
 Złożono w pyszną trumnę na spoczynek w ziemi,
 Obitą aksamitem, frędzlami srebrnemi;

Na trumnie leży harfa z porwanemi struny;
 Cały kościół obito w grobowe całuny;
 Zebrani na trybunał szlachta i panowie
 Tak płacą hold za późny zasłużonej głowie.
 Kraj, który patrzył zimno gdy zabija nędza,
 Dziś na pogrzeb śpiewaczy złota nie oszczędza.
 I sowity był pogrzeb—i naród się cieśni,
 I w sto głosów śpiewano rekwialne pieśni,
 I Ojciec Jezuita z wysokiej ambony
 Wyliczał jego zasług szereg niezliczony,
 I polskiego Acerna pochwała wymówna
 Aż z łacińskim Horacym i Nazonem równa.
 A gdy trumnę sierocą złożono na mary,
 Stały cechy miejskie ze swemi sztandary,
 Muzyka trybunalska smutne grała marsze,
 I rajce skabinatu—ławniki najstarsze,
 Niesli trumnę do grobu—a potem na stypie
 Szlachta wino rozlewa, grosz ubogim sypie,
 I hojnie łza wytryska oczmi pijanemi—
 Krzyczcy: *Vivat Acernus!* chluba naszej ziemi!—

Ale leżką serdeczną nad grobem ofiary
 Zapłakał stary Oczko—i z nim brytan stary,
 Co błędząc po cmentarzu zwieszał smutną szyję.
 Zgadł Acernus, że straty pana nie przeżyje:
 Przez trzy dni był nad grobem—na czwarty dzień rano
 Zwlekl kędyś stare kości,—już go nie widziano.

* * *

*

Od śmierci Acernowej trzeci wiek upływa,
 A jeszcze pieśnią jego tchnie lechicka niwa,

Jeszcze jego nagrobek marmurowy, stary,
 Pokazują przychodniom u lubelskiej fary.
 Czciłi go ludzie dawni—uczciejcie współcześni,
 Męczennicy żywota, męczennicy pieśni!

Ojcze! jeżeli pragniesz przekonać twe dziecko,
 Jak są wiersze i piosnki zabawką zdradziecką,
 To przyprowadź je tutaj, a opowiedz wiernie
 O żebraczym szpitalu i biednym Acernie;
 A jeśli łzę postrzeżesz na oczach młodzieńca,
 Jeśli ten wzór—do piosnki jeszcze nie zniechęca,
 Odżałuj twego syna—Nieba go wybrały
 Do cierniowej korony i do palmy chwały!

Lipiec 1855. Borejkowszczyzna.

TREDZŁOWE.

GAWĘDA KU SZLACHECKIEMU ZBUDOWANIU.

I.

Héj młokosy! żal mi was!
Niby stary znacie czas,
Niby wiecie o narodzie:
Jak żył szlacheć na zagrodzie,
Jak na zamku władał pan,
Jak się w celi modlił mnich;
Znacie w Polsce kilka zmian,
I sądzicie naród z nich.
Ej, do czarta taki sąd!
Tysiąc błędów idzie ztąd,
Tysiąc bredni ciśnie druk,
A tych druków owoc masz!
Będzie bredzić późny wnuk
Jak za matką *Ojczyzna*,
Przenaturzy, przeklnie, złaje
Staroświeckie obyczaje,
Zarumieni twarz.

II.

Ot! mówicie w jeden głos:
 Że brat szlachcic służby nosił,
 Że w magnackim karmion dworze,
 Swego zdania mieć nie może,
 Że za lichy gruntu morg,
 Że za kufel, miedzi trzos
 Swe sumienie dawał w borg,
 Swój sejmowy sprzedał głos.
 Juźci... juźci... jakoś tam
 Były grzechy — ja to znam:
 Służebnością ginał świat,
 Zaściankowy podlał brat...
 Ale nieraz mierny stan
 Z panem zęby gryzł do dziąsł,
 I niełatwo jasny pan
 Zaściankową bracią trząsł:
 Mimo hardój swój postaci
 Musiał w braci — uznać braci.

.....

III.

Gdy nie wierzysz, zobacz sam:
 Ja ci mały przykład dam.
 Żył przed laty w gronie braciój
 Stary żołnierz Bardysz Maciej.
 Świat splondrował wprost i wstecz,
 Z mnogich wojen wrócił zdrów,
 A na starość chrobry miecz
 Juź zawiesił u swych głów.

Włokę gruntu czynszem wziął,
 Zaprowadził ule pszczół,
 Zaprowadził stado klacz,
 Wyhodował chartów smycz,
 Na jarmarkach był to gracz,
 Na zwierzynę był to bicz.
 Płacił czynsz na Święty Jerzy,
 Panu czołem nie uderzy;
 Lecz kto z braci mu zawierzy,
 Jak na brata licz!

IV.

Konie jego — znaczny ślad
 Jeszcze dawnych, polskich stad:
 Masć gniadawa albo kara,
 Pół Araba, pół Tatar:
 Co to z wiatrem idzie w lot,
 Co się z człkiem umie zrość,
 Co przeczuwa cuglie zwrot,
 Co kierować myślą dość;
 Co to czuje, że jest żyw
 Z owsa, siana polskich niw,
 Co wśród boju, wśród pałaszy
 Wie, że broni swojej paszy,
 I już leci z całych sił,
 Gdzie bojowy ujrzy pył,
 Gdzie usłyszy trąby zgrzyt;
 A zapalem samym syt,
 Nie pomyśli przez trzy doby,
 Gdzie spoczynek, gdzie są żłoby, —
 Czuje mężki wstyd.

V.

Sześć rumaków jakby strzał
 Stary Bardysz w stajni miał.
 A że nie chciał gnuśnieć marnie,
 Toć i charty z jego psiarnie,
 Czy przez gęsty sadząc płot,
 Czy to w poprzek polnych miedz,
 Mogły z wiatrem w zawód biedz,
 Mogły ptaszka dognać w lot.
 Lisa zwrotów już nie ucz,
 Bo to stary majster zrad,
 Zając umie w błędny klucz
 Gmatwać skoków swoich ślad.
 Lecz odprężnięj sfory stal,
 Każ za zdrajcą lecieć w dal,
 Ruszą zwierza wierne psiska
 Z najskrytszego legowiska —
 Jeno w łeb mu pal!

VI.

Stary Bardysz lubił ruch,
 Był do konia jeszcze zuch,
 Lubił z charty latać w pole,
 Przypominać swe swawole
 I sąsiadom dawać wzór
 Hartowności czasów swych,
 I w ostępie stać jak mur,
 I odyńca brać na sztych,

Lub z rusznicy — kuli treść
 W niedźwiedziowe kudły wpleść.
 To też starca wielbił lud;
 Powiadano ze wszech stron:
 Bardyszowe konie — cud,
 Dzielne charty trzyma on!
 I rusznicę ma nielada,
 Koniem, chartem, strzelbą włada;
 Lecz nad charty, strzelby, konie,
 Duch dzielniejszy w sercu płonie
 U starego dziada.

VII.

Doma sławy mając dość,
 Dalej... dalej począł rość:
 Między pany, kasztelany,
 Maciej Bardysz już był znany.
 Pan miejscowy zwrócił twarz,
 Myśliwemu wielce rad,
 Od którego szlachcie nasz,
 Trzymał czynszem gruntu szmat.
 Był to wielce możny człek,
 A księżęciem z wieka w wiek,
 A tak hardy, że to wciąż
 Kasztelaństwem wszystkim dmie.
 Więc oświadcza wielki mąż,
 Że Macieja poznać chce.
 Lecz Macieja myśli insze:
 — „Co mi z tego? płacę czynsze;
 „Łask nie trzeba mnie.“

VIII.

Rad ze swoich hardych słów,
 Łaskę szlachty skarbi znów.
 Lecz z panami trudne żarty:
 Pan kasztelan wciąż uparty,
 Znów przysłał dworzan dwóch,
 By do zamku starca zwać;
 A choć może dworski słuch
 Harde słowa dał mu znać, —
 Był z Bardysza wielce rad,
 Przyjął w zamku za-pan-brat,
 Puhar miodu przepił doń;
 A że był to łowów czas,
 Wyciągając pańską dłoń,
 Prosił jutro z sobą w las.
 Tak uprzejma pańska łaska
 Bardyszowe serce głaska, —
 To już nałóg w nas.

IX.

A nazajutrz, héjże! héj!
 Życie wrzało w głębi kniej:
 Spolowano dwa obchody,
 Leżał pod strzałem warchlak młody;
 A dzik stary w susach złych
 Bardyszowi zgubę niósł,
 Lecz się potknął na sam sztych,
 Jak nieżywy padł na wrzos,

Bardysz zręcznie skoczył w tył
 I strzał celny w łeb mu wbił.
 Huczny krzykiem cały dwór
 Salutował celny strzał,
 Dźwiękiem trąbek szumiał bór,
 Że ktoś w sercu jakby grał;
 I za dzika starą głowę
 Pito huczne pogrzebowe,
 Miód się zdrojem lał.

X.

Rzekł kasztelan: — „Teraz dość!
 „Dajmy dzikom w lasach rość;
 „Ot w zaroślach piękna łączka,
 „Puścim charty na zajączka,
 „Puścim gończe między chróst,
 „Dojeżdżaczy puścić w tan!“
 Rozkaz pobiegł z ust do ust.
 „Panie Bardysz!“ — rzecze pan —
 „Okazały waścin chart,
 „Zobaczymy co on wart.
 „Chcę pohasać konno sam,
 „Jeśli łaska daj mi smycz,
 „A na wzgórkę staniesz tam
 „I obróty nasze licz.
 „Przed tak dzielny jak wy starcem
 „Popisowym ruszę harcem
 „Jak na Hordy dzicz!“

XI.

Smycz z chartami ujął w dłoń,
 Wskoczył na koń — parsknął koń;—
 Wtém głos gończych jęknął głuchy,
 Wybiegł szarak długosłuchy,
 Stał się słupem, patrzy w bok,
 Wypatruje kędy biedz,
 Stulił uszy, sprężył skok
 I wzdłuż żółtych polnych miedz
 Rwie do lasu z całych sił,
 Aż się za nim kłębi pył.
 Więc kasztelan ruszył w cwał,
 Charty przed nim lecą w sznur,
 Jakby jeden wichur gwał
 Długie wązkie pasmo chmur:
 Zwierza, strzelca, chartów, psiarnię
 Lekką taśmą pył ogarnie
 Z żółtych pól i gór.

XII.

Długosłuchy pojał rzecz,
 Skluczył na bok... charty w przecz,—
 Dziarski rumak, czoło stada,
 Już dopada, już dopada,—
 W kasztelanie kipi krew.
 Palnąć z konia miał już wczas,
 Kiedy pędząc mimo drzew,
 Zając skluczył drugi raz,

Chyłkiem... chyłkiem z góry w dół
 Poplątane ścieżki snuł.
 Niedaremny strachem gnan,
 Coraz w dalszy sady kres;
 Już go z oczu stracił pan,
 Jeny węchem tropi pies.
 Wedle ścianki po manowcu
 Od mogilek w chróst jałowcu
 Już dobiegał, już miał wpaść —
 Gdy kasztelan zajął tyl:
 — „Nie ucieczesz w chrósty waść!
 „Hedzha psiska! z całych sił!“
 Zając skluczył po raz trzeci,
 Nieprzytomny w pole leci,
 Aż się kurzy pył.

XIII.

Na rumaka wyszedł pot,
 Całą niwę tropem zgniotł.
 W lewo, w prawo zając myli,
 Już odleciał na pół mili,
 Już go w knieję pędzi czart,
 Kroków może trzy czy dwa;
 Lecz Bardyszów zręczny chart
 Już dogania, już go ma.
 Pisnął zając w smutny głos,
 I do góry oczka wznosił,
 I zduszony trupem padł;
 Kiedy pan z kopyta grzmi,
 Dobiegł, z konia skoczył rad,

I pogłaskał dzielne psy,
 I ze skoków dał odprawę,
 I otrąbił swoją sławę
 Jak za dobrych dni.

XIV.

Bardysz śledził każdy zwrot:
 — „Jak z partesów! jakby z nót!
 „Dzielny rumak, dzielne psiska!
 „Dzielne serce u paniska!
 „Jak on z koniem umie grać!
 „Jak szykowny każdy ruch!
 „Jak myśliwca zaraz znać!
 „I na wojnie pewno zuch!
 „Co mi po tém, pan czy czart?
 „On przyjaźni mojej wart!
 „Po wojacku rękę dam,
 „Po bratersku rękę doń:
 „Że kasztelan, co mi tam!
 „Ja myśliwca ściskam dłoń!“
 I uczynił jak powiedział,
 Bo nie dzieli bogactw przedział,
 Kogo łączy broń.

XV.

Pan utroczył zdobycz swą,
 Sadzi klusem — trąby grzmią.
 Dwór winszuje — stu lat życzy,
 A on charty dzierżąc w smyczy:

— „Mosci Bardysz!“ — krzyczy w głos —
 „Skarb posiadasz a nie psa!
 „Za tę zdobycz, co mi wniosł,
 „Sto dukatów każdy da;
 „Bo to rozkosz, mówię wam,
 „Z taką psiarnią kiedy szczwam!
 „Jaka zmysłność! jaka maść!
 „Jak przeskoczył dzielnie rów!
 „Sto dukatów! bierzesz waść?
 „Żądasz więcej?... śmiało mów!
 „Tam u waści głodno, chłodno,
 „Ja mu psiarnię dam wygodną,
 „Będzie żyw i zdrów!“

XVI.

Bardysz wiedział, co to cześć,
 Hardój mowy nie mógł znieść,
 Lecz w łowieckim dziś zapale
 Nie uważał na nią wcale;
 Bo nie pański złota trzos,
 Lecz myśliwski cenił duch.
 Więc z daleka krzyknie w głos:
 — „Kasztelanie! jesteś zuch!
 „Na mą przyjaźń teraz licz,
 „Niech ci służy moja smycz;
 „Na pamiątkę charta bierz,
 „Który z tobą dzielił znój,
 „Niech uszczwany każdy zwierz

„Przypomina affekt mój.
 „Weź pamiątkę w mój chudobie,
 „A pieniądze schowaj sobie
 „Na tych dworzan rój!“

XVII.

Magnat skraśniał gdyby mak,
 Targnął wasy—gniewu znak;
 Lecz że szlachtę skarbił wkoło,
 Wypogodził dumne czoło,
 I braterski przyjął dar,
 Mimo świetny pański ród.
 Wtém myśliwski zagrzmiął gwar,
 Pito wino, pito miód.
 A gdy orszak ruszył z kniej,
 Pan rozmyślał w duszy swój:
 — „Hardy szlacheć! mądry snadz!
 „Obyczaje pańskie wie:
 „Stu dukatów nie chciał brać,
 „Podarunek daje mnie!
 „On rozumie, że w łask drodze
 „Ja go hojniej wynagrodzę:
 „Pana odrzeć chce!“

XVIII.

Tak panowie w każdy czas
 O rachubę winią nas!
 Daj mu serce jak na dłoni,
 A on za to trzosem dzwoni,—

I rozumie, że za grosz
 Można kupić cały świat,
 Wioskę, ziemię, łany zbóż,
 Dusze ludzkie z liczbą chat,
 Kupić sobie roje sług,
 Serca niewiast, koni cug!
Zkąd się wzięły, dziwna rzecz,
Takie myśli do ich głów!
Trzeba w dzieje zajrzeć wstecz...
 A to przedmiot inszy znów!
 Więc zostawmy refleksye:
 Kto z faworów pańskich żyje,
 Niechaj żyje zdrów!

XIX.

Przeminięło kilka dni,
 Stary Bardysz ani śni;
 Gdy doń w gości przybył z rana
 Pan koniuszy kasztelana.
 Był to starzec jak i on,
 Zaściankowy sobie człek;
 Lecz przybyły z dalszych stron,
 Służył panom cały wiek.
 Tak w ukłonach zginał grzbiet,
 Że służalca poznasz wnet.
 Tylko męztwa dawał ślad,
 Kiedy konia puścił w czwał:
 Bo, mosanie, z młodych lat

On godniejszą przeszłość miał,
Służył w wojsku wraz z Bardyszem,
Był w chorągwi towarzyszem,
Szturmem zamki brał.

XX.

Jak z Bardyszem oni dwaj,
Tak był wtedy cały kraj:
Jeden dworak, człek bez woli;
Drugi rolnik, pan swój roli.
Dworak życia nie miał nic,
Blady, słaby, wątłych sił;
Rolnik czerstwy, zdrów jak rydz,
Chociaż czarnym chlebem żył.
Dworak młodszy kilka lat,
Choć z panami za-pan-brat,
Lecz posiwiał, snadź od trosk,
Aż na niego spojrzeć żal!
Pan koniuszy był jak воск,
A pan Bardysz jako stal, —
Że kto spojrzy, każdy powie:
Komu takie dano zdrowie,
Pana Boga chwal!

XXI.

— „Kopę latek!“ — „Kopę zim!“
— „Jakże zdrowie?“ — „Krucho z nié!“
I tak dalej — gadu... gadu...
Przyszedeł wreszcie czas obiadu: —

Zadymila wdzięczna woń,
 Wnieśli flaszę na ich dwóch,
 Poszła czarka z dłoni w dłoń,
 Misa barszczu znikła w puch,
 Potém suty z kaszą zraz
 I gorzalka drugi raz!
 Bardysz kazał miodek wnieść, —
 Wychylono — powstał gwar,
 Rzekł koniuszy: — „Dobra wieść!
 „Pan kasztelan szle ci dar!
 „Ej rotmistrzu! dar nielada:
 „Dzielny rumak z jego stada,
 „Dzielny ze wszech miar!“

XXII.

Stary Bardysz zmarszczył brew,
 Zakipiała harda krew
 I pomyślał: — „Co u kata?
 „To za charta snadź zapłata!!“
 Poczzerwieniał, zjeżył wąs;
 Lecz rozwaga przyszła w czas, —
 Więc bez żadnych rzece dąs:
 — „Łaska pańska żywi nas!
 „Pan kasztelan zna swój stan,
 „Chce żyć z ludźmi jako pan.
 „Mój podarek licha wart,
 „Lecz hojniejsza jego dłoń:
 „Co inszego dzielny chart,
 „Co inszego dzielny koń.

„Za pamiątkę tak zaszczytną
 „Moją wdzięczność czolobitną
 „Racysz odnieść doń.“

XXIII.

Puhar w puhar — razy z sześć;
 Kazał rotmistrz miodu wnieść.
 Potém wyszli na krużganek:
 Tam pod stajnię koń, kasztanek,
 Skakał, wil się gdyby wąż,
 Targał trędzłę z całych sił,
 Jeżył karczek, paraskał wciąż,
 Kopytami żwirek bił.
 Rzekł koniuszy: — „Widzisz waść,
 „Co za kształty! co za maść!
 „Dobrze wróżyć można z niej!
 „A w tém oku jaki blask!
 „Wdzięczném sercem przyjąć chciéj
 „Kasztelańskich fawor łask!“
 Bardysz tylko kiwnął głową,
 Z pod nawisléj brwi surowo
 Spojrzał jako żmiéj.

XXIV.

Lecz złagodził wkrótce twarz,
 Wdzięczny uśmiech znowu masz;
 Koniuszemu rzekł z powagą:
 — „*Gratias ago! gratias ago!*

„Pan wspaniały — rzeczcie mu,
 „Żem z rumaka wielce rad.
 „Co zaś do was — w Polsce tu
 „Jest obyczaj z dawnych lat:
 „Biorąc konia albo cug,
 „Dla stajennych cudzych sług
 „Trza podarek jakiś dać;
 „*Tredzlowego* to się zwie.
 „Tedy wdzięcznie przyjmiej wać,
 „Na co jeno stało mnie:
 „Składam waści na ofiarę
 „Pistoletów dzielnych parę —
 „Spodobacie snadź.“

XXV.

Wyniósł tedy piękną broń,
 Koniuszemu wcisnął w dłoń.
 — „Patrzcie!“ — rzecze — „to broń przednia,
 „To po Turkach jeszcze z Wiednia.
 „Gdy mój ojciec w gradzie kul
 „Wezyrowski namiot brał,
 „Jan Sobieski, dzielny król,
 „Pistolety jemu dał.
 „Tu arabskie słowa są.
 „A jak biją?! kroków sto!
 „Gdy nie wierzysz to sam strzel,
 „Lub ja, pozwól, próbę dam!“
 Rzekł — i śmiało wziął na cel
 Łeb rumaka — i w łeb sam

Palnął kulką o trzy kroki; —
 Rumak wydał stęk głęboki,
 Trysły mózgu, krwi potoki,
 Do stajennych bram.

XXVI.

I bez ducha trupem padł
 Kasztelańskich czoło stad.
 — „Teraz kwita!“ — Bardysz powie—
 „Nie zawstydzą nas panowie.
 „Ma kasztelan żart za żart.
 „To coś widział, odnieś doń:
 „Co inszego rączy chart,
 „Co inszego dzielny koń.
 „Ja, mospanie, stary szpak,
 „Ja się nie chcę mieniać tak.
 „Jam w pamiętce charta dał,
 „Wynagradzać ni się waż!
 „Oto teraz celny strzał,
 „Porachunek zrównał nasz!“
 Tak powiadał dziad wyniosły,
 Aż mu wąsy w górę rosły,
 Aż kipiała twarz.

XXVII.

„Od bogatszych większy dar
 „Mnieby wstydził ze wszech miar.
 „Jam żołnierskiej człek natury,
 „Lubię pościel z końskiej skóry:

„Upominek mi się zda,
„Ale zysków Boże broń!
„Warta charta skóra ta,
„A za drogi byłby koń.
„Raczej dzięki moje nieść
„Za pamiątkę i za cześć.
„Jakem z reszty spłacił dług,
„Nie zapomnij moich słów.
„A gdy zręczność poda Bóg,
„Dam pamiątkę panu znów.
„Wasć, koniuszy, masz trędzłowe,
„Pistolety zabierz owe,
„I bywaj mi zdrów.“

1855. Borejkowszczyzna.

WIELKI CZWARTEK.

OBRAZ WIOSKOWY.

SŁÓWKO DO CZYTELNIKA.

Gdy ten obrazek błahy, wioskowy,
Już był powierzon drukarskiej prassie,
Jedna gazeta w tym samym czasie
Pisała o mnie takiemi słowy:
Żem czyniąc drobne próbki dramatu,
Na inszą drogę wszedł nowocześnie;
Żem zdradził wiarę sielskiemu światu,
Że chcę porzucić ludową pieśnię.
A wy zaprawdę, słuchacze mili,
Coście przywykli wierzyć drukowi,
Możeście temu już uwierzyli,
Bóg wie, co o mnie trzymać gotowił
Jeśli porzucę wioskową fletnię,
Dla was zaiste niewielka strata,
A Melpomena nie wyjdzie świetnie,
Jeśli układać pocznę dramata.

Ale lirniczą gardząc ozdobą,
 Jabym popełnił niewdzięczność sroga.
 Pieśni wioskowa! wszakże mnie z tobą
 Tak było dobrze, tak było błogo!
 Bo czyż mi mało starczy przedmiotów:
 Wioska, przyroda, ludu drużyna?
 Czyż mało echa w sercu Litwina,
 Co każdą nótę oddźwięknąć gotów?
 Czyż ja przez skromność zataić mogę,
 Co trzeba pisać łzami wdzięcznemi,
 Że piosnki moje znalazły drogę,
 Do wszystkich kątów rodzonej ziemi?
 Wy, którym duszy mojej głąb znany!
 I wy wrogowie!—powiedzcie sami,
 Gdym był spotwarzan i zapoznany,
 Czém się broniłem?—memi pieśniami.
 A jażbym teraz, mocny mój Boże!
 Miał złamać flet mój niewdzięczną ręką?
 O! jak miłości z serca nie złożę,
 Tak cię nie rzucę, moja piosenka.
 A jeśli ducha potrzebie gwoli
 Insza się znajdzie myślom osnowa,
 Człowiek zapłacze lub poswawoli
 Na inną nótę niżli wioskowa,
 To jeszcze, bracia, wcale nie znaczy,
 Żesmy niepomni co wiosce dłużni;
 Grajka i jego dobrych słuchaczy
 Jeszcze niełacno krytyk poróżni.
 Przyjmicież sercem, o dobrzy ludzie!
 Prosty obrazek z wioskowej niwy,
 A ja współczuciem waszém szczęśliwy,
 Nie będę sobie folgował w trudzie.

A czyli w pieśni, czy w dyalogu
 Przyjdzie mi gwarzyć pierśmi pełnemi,
 Zawsze to będzie o Panu Bogu,
 O moich braciach, o mojej ziemi.

WIELKI CZWARTEK.

I.

Był Wielki Czwartek—poranek marcowy—
 Na czarnych polach topniał lód zaskrzepły,
 Śpiewał skowronek, wiatr chystał się ciepły
 I ciepłe myśli napędzał do głowy.
 Człowiek skwapliwszy do Boga i świata,
 Bo coś mu serce wiosenniej kołata.
 Po siném niebie kilka chmurek płynie,
 Nad czarną ziemią mgła ranna się ścięła;
 Nad cichą wioską po czarnej równinie
 Huczy dzwon stary—bo dziś msza w kościele.

I przed drewnianą, zamszą dzwonnica
 I pod kościoła pochyloną ściana,
 Dzisiaj lud boży zgromadził się rano,
 Bo każdy przyszedł z wielką tajemnicą:
 Swe całoroczne i błędy i bole
 Wyznać u kratek do ucha plebana,
 A w łzach, gdy ciężka zasklepi się rana,
 Spożyć Chleb Życia przy Chrystusa stole.
 Nim organista kościółek otworzy,

Wedle dzwonnicy kupi się drużyna;
 Jeden się modli grzechy przypomina,
 A drudzy gwarzą, by czas zeszedł sporzój.
 Jest o czém gwarzyć, jak zwyczajnie wiosną:
 Czas ruszyć z sochą—a tu niéma chleba;
 Woły do pracy pokarmić potrzeba,
 A trawy jeszcze nieprędko wyrosną!
 Sianka niewiele w ubogiej odrynie,
 Ostatnia wiązka skarmi się co chwila;
 A ruń z pod śniegu źle się coś wychyla,
 Bóg raczy wiedzieć, czy nas głód ominie?
 A choć u wszystkich w jednakiój chudobie
 Jednaka dola i myśl w jednój stronie,
 Miło z sąsiadem pogawędzić sobie,
 Wedle dzwonnicy siadłszy na bierwionie,
 Pokiwać głową po szczerój gawędzie:
 —,Tak, tak, sąsiedzie! Bóg wie co to będzie!“

II.

Lecz brzękły klucze w rękach organisty,—
 Przeszedł przez cmentarz mrucząc święte psalmy.
 A starcy mówią:—,Dziś dzień uroczysty!
 „Choć na czas myśli znikome oddalmy,
 „Zdajmy swą dolę na wyroki boże,
 „A jakoś biedę przekołacem może.“
 I w rdzawym zamku zaskrzypiał klucz stary,
 Dzwon stęknął, mruczy, chwieje się, kołycha;
 Za organistą do wioskowej fary
 Tłoczy się cizba gromadnie a z cicha;
 A choć stąpają najciszej jak mogą,
 Odbija łoskot echa pod podłogą.

III.

Kościół ubogi,—w ołtarzu po prostu
 W ciemnych lichtarzach cztery żółte świeczki,
 I stary obraz wiejskiego pokostu,
 Na którym Chrystus pasie swe owieczki.
 We dwóch ołtarzach na prawo i lewo,
 Jest Matka Bozka i święty Antoni;
 Anioł uklęka przed Najświętszą Dziewą,
 A patron święty ma lilię w dłoni.
 Twarz jego jasna, ale wzrok poddańczy,
 Na szorstkich rękach małe dziecię nianczy.
 Tuż przy ambonie dwa konfesyonały,
 Przy nich się mary śmiertelne stanowi,
 I w czarnych ramach obraz wypłowiwały,
 Na którym Zbawca wręcza klucz Piotrowi.
 Cztery chorągwie, a każda podarta,
 U skromnych ławek utkwione na boku:
 Tam święty Michał pokonywa czarta,
 Tam święty Jerzy pastwi się na smoku,
 Wojciech odbiera palmę z rąk anioła
 I Śmierć do tańca wszystkie stany woła.

IV.

Skrzyły drzwi boczne, — wioskowa gromada
 Serdecznym wzrokiem patrzy za balaski:
 Wszedł stary pleban i na klęczki pada,
 Prosić u Niebios przed spowiedzią łaski;
 Przypadł do świętych ołtarza podnóży,

Aż głuche echo odhuknęło w sklepie.
 Wtedy pachole, co mu do mszy służy,
 Dziecięcym głosem *Miseratur* trzepie,
 I *Confiteor* z ust dziecinnych płynie
 Z uśmiechem w oczach, z błędami w łacinie.

V.

Powstał ksiądz pleban i poszedł pomału
 W nawę kościoła do konfessyonału.
 Błysła promieniem jego twarz jak święta,
 Skreślił znak krzyża—cofnęły się świadki,
 I najpierwszego z rzędu penitenta
 Przyzwał skinieniem przed pokutne kratki;
 Złocistą stulę skrzyżował na łono,
 Ukrył się w chustkę kraciastą, czerwona,
 I począł badać aż do głębi ducha...
 Co tam gadali, Bóg chyba podsłucha.

VI.

Tak jeden, drugi, i trzeci, i czwarty
 Zalani łzami odeszli od krutek.
 W bocznych ołtarzach snadź z piersi rozdartéj
 Jeszcze spowiedzi leje się ostatek.
 Już ksiądz nie słyszy, ale Pan Bóg słyszy,
 Jak z serca ciężka odpada im żmija,
 Pacierz pokutny kiedy szepcą w ciszy,
 Siedem *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Maryja*.
 A gdy serdecznie, jak Chrystus w Ogrojcu,

Wypowiadana modli się gromada,
 Kiedy ostatnie mówi *Chwała Ojcu*,
 Z kościelnych okien słońce na nich pada.

VII.

Bije godzina dziewiąta, dziesiąta,
 A pleban ciągle za kratkami siedzi,
 Lud to się przyszłą spowiedzią zaprząta,
 Albo rozgrzeszon idzie od spowiedzi,
 I klęka jeden, potem drugi po nim
 Przed Matką Bożką i świętym Antonim.
 Bo jakież grzechy na wiosce być mogą?
 Jeden do pana odezwał się śmielój,
 Drugi swe żyto może sprzedał drogo,
 Trzeci w gospodzie hulał co niedzieli,
 Albo na bratnią gospodarkę siada,
 Albo przekosił granicę sąsiada,—
 Lub kiedy latem dokuczały deszcze,
 On zbyt troskliwy o kopy w stodole,
 Po sześciodniowym a krwawym mozole
 Złamał niedzielę—i pracował jeszcze,—
 Lub się ze skargą na Opatrzność miota:
 Oto są grzechy kmiecego żywota.

VIII.

Pleban, co z ludem przepędził swe życie,
 Być jego ojcem wziął za powołanie,
 Błędów ich serca świadom należycie,

Najskuteczniejsze lekarstwo ma na nie.
 Słódko porady, a słódko pociechy,
 Szczerze zakłęcie na Chrystusa rany,—
 A już wytryska łza żalu za grzechy,
 Już grzesznik został z Bogiem pojednany;
 Lekki na duchu od brzemion sumienia,
 Odszedł rozgrzeszon—godzien rozgrzeszenia!—

IX.

Tak po kolei, z pokutników grona,
 Wiejska dziewczyna wedle kratek stanie:
 Młoda snadź dusza pokorą wiedziona
 Święte kościoła spełnia przykazanie.
 W łagodnym wzroku, w uśmiechu dzieciny
 Jeszcze nie świta żadna myśl namiętna;
 Na jój obliczu nie dopatrzysz winy,
 Bo grzech od razu wyciska swe piętna.
 Czy może życia gorycze i bole
 Tutaj przywiodły jój duch udręczony?
 I tego nie znać: bo na jasném czole
 Nie ma zadraśnień z cierniowej korony,
 Co to do głowy wpija się i wjada
 I boli w mózgu jak rana głęboka,
 Na czole z karbów jak z liter układa
 Historję życia czytelną dla oka.
 Tu jeszcze czoło jakby karta biała,
 Złoci się na niém niewinna swoboda;
 I piękną była pokutnica młoda,
 Gdy się jak wstydząc do kratek zbliżała:
 Tak się rumienić grzesznik nie jest w stanie,
 To nie wstyd hańby, lecz zakłopotanie.

X.

Ksiądz nad nią znamię nakreślił krzyżowe;
 Ona się żegna i klęka u kratki,
 Białą oponę zarzuca na głowę
 I ręce składa — cofnięjcie się świadki!
 Niechaj nikt na nią nie pogląda z dala,
 Nikt nie natęży ciekawego ucha:
 Bo jeden wyraz jeśli kto podsłucha,
 Już całą spowiedź dziewczycą pokala.
 Dajcie, niech z Bogiem rozgada się szczerze,
 Na drogę życia weźmie umocnienie;
 Ona niedługo miejsce wam zabierze,
 Bo taka spowiedź — krótka jak westchnienie.

XI.

Ale już kwadrans trwa spowiedź dziewczyny,
 A ludzie patrzają ciekawie, nieśmiało;
 Zegar kościelny wybił pół godziny
 I trzy kwadranse i godzinę całą —
 A ona, płachtą płócienną okryta,
 Jeszcze na miejscu klęczy pokutniczym;
 A stary pleban z ojcowskiem obliczem
 Jeszcze coś szeptem i o coś ją pyta.
 Kończy się wreszcie spowiedź uroczysta,
 A pokutnica drżąca i wybladła
 Do stop świętego trybunału padła,
 A na jej oczach błyszczy łza kroplista.
 Kapłan się modlił dłużej niż zwyczajnie;

Wyraz pochmurny pokrył jego lice:
 Musiał usłyszeć wielkich grzechów tajnie —
 I nie rozgrzeszył młodą pokutnicę.
 Och! jeśli wina najcięższa ją brudzi,
 Jeżeli godna czyscowej katuszy,
 To już w téj chwili miała czyścić w duszy,
 Gdy po raz pierwszy spojrziała na ludzi!
 Gdy ludzkich źrenic ciekawych tak wiele
 Tysiącem żądał w jéj serce się wpiły,
 Chciała płacz wstrzymać — lecz nie stało siły,
 Bolesne łkanie jękło po kościele.
 Wreszcie się zrywa i oczy zasłania,
 Między filary najciemniejsze kroczy,
 Kędy na ścianie wisiał na uboczy
 Obraz Maryi, Matki przebłagania.

XII.

Tymczasem spowiedź szła dalszą koleją:
 Przychodzi jeden, i drugi, i trzeci,
 Wyznając winy, łzy pokutne leją
 Mężowie, starcy, niewiasty i dzieci;
 Kolejno skruczą oczyszcza się rzesza,
 Ręka kapłańska każdego rozgrzesza.
 Coraz mniej ludzi u konfessyonału,
 A dziad kościelny na wotywę dzwoni,
 Gdy stary wieśniak z siwizną na skroni
 Do świętych kratek zbliżył się pomału.
 Ukłakł pokornie, przeżegnał się z wolna,
 Westchnął głęboko, czapką twarz zasłania,
 A dusza prosta, do kłamstwa niezdolna,

Poczęła swoje grzechowe zeznania.
 Niewielkie muszą być grzechy w człowieku,
 Co w cichój wiosce i z ludźmi prostemi
 Przebył wiek czynu — już we wspomnień wieku
 Spokoju bliźnich nie zmąci na ziemi:
 Bo krew, co krąży powolniej a czyszciej,
 Dojrzałe myśli do spokoju zowie,
 I szal miłości albo nienawiści
 Nie zagra w sercu, nie zakipi w głowie.
 Próżno się z chóru organista zżyma,
 Że pora służby odprawować boże:
 Starzec niedługo plebana zatrzyma,
 Bo taka spowiedź długą być nie może;
 Msza święta wyjdzie za kwadrans najdalej —
 Śmiało niech świeczki zakrystyan pali!

XIII.

Tymczasem starzec wciąż gada swe winy,
 A ludzie patrzą ciekawie, nieśmiało;
 Wybija kwadrans, bije pół godziny
 I trzy kwadranse i godzinę całą.
 Już zakrystyan, sztuka niecierpliwa,
 I sam się krząta, i chłopców napędza;
 Już organista *Introibo* przegrywa,
 Aby wywołać od spowiedzi księdza;
 Już świeczki gorą u Pańskich ołtarzy,
 Pokutne psalmy zmówiła gromada, —
 A pleban jeszcze starego spowiada,
 Widać wzruszenie na obudwóch twarzy.
 A gdy nakoniec po spowiedzi długiej

Starzec padł na twarz, ksiądz mówił pacierze,
 To na ich oczach znacznie było szczerze,
 Że się splakali i jeden i drugi.
 A jednak znacznie, że łzami cierpienia
 Jeszcze grzechowy nieomyty zakał:
 Bo ksiądz starcowi nie dał rozgrzeszenia,
 A starzec głośno jak dziecię zapłakał.
 I długo leżał przed konfesyonałem,
 Chociaż nań ludzie patrzą jak na dziwo,
 I długo płakał jęczeniem zbolalém,
 W kościste dłonie tuląc twarz sędziwą.
 A pleban powstał — i po krótkiej chwili
 Już się w ubiorze przed ołtarz ukaże;
 Zaśpiewał *Gloria!*—w dzwony uderzyli,
 Jak w Wielki Czwartek rzymski kościół każe.
 A ciżba ludu oblega balaski
 I serdecznemi modli się wyrazy,
 By prędkiej przyjąć utwierdzenie Łaski
 I Ciało i Krew Baranka bez zmazy;
 Łączą modlitwę z ofiarą ołtarza
 I mękę Pańską boleśnie rozważa.

XIV.

Ksiądz ujął palmę i czyta we mszale,
 Co o téj męce święty Łukasz pisze;
 A organista fałszując klawisze
 Chrapliwym głosem śpiewa Gorzkie Żale.
 Naród się modli — komu głosu stało,
 Ten śpiewa pieśni, wspiera organistę;
 Żaki kościelne dobitnie a śmiało

Odpowiadają: *Laus Tibi Christe!*
 Stare klekotki w ich swawolnej dłoni
 Grzmotnęły razem, skrzypiąc na swój osi,
 Gdy dziewięć razy na *Sanctus* się dzwoni,
 Gdy się hostya lub kielich podnosi.
 Ale najgłośnieję grzmotnęła klekotka,
 Że aż się zatrzęsł drewniany dom boży,
 Gdy kapłan puszkę złocistą otworzy,
 Gdy się odwróci do narodu środka,
 Dzierżąc Chleb Ducha nad usta głodnemi
 Spowiedź powszechną odprawuje z niemi.
 Słudzy kościelni teje samej chwili
 Białą oponą balaski przykryli.
 Lud rzędem kłęka ze skruczą na twarzy,
 Ręce na piersiach jak do trumny składa;
 Mężowie, dzieci, niewiasty i starzy,
 Każdy się w duchu raz jeszcze spowiada!
 Ksiądz przeżegnawszy ten orszak tak liczny,
 Z ołtarnych stopni idzie ku gromadzie,
 I powtarzając tekst ewangeliczny
 Hostyę świętą w każde usta kładzie.
 Każdy pożywa, płonąc od radości,
 Że dziś sam Chrystus w jego piersiach gości.
 A odchodzący od krutek balaski
 Weseli wszyscy i młodzi i starzy,
 Znać w każdym oczach namaszczenie Łaski,
 A spokój Pański zamieszkał na twarzy.
 Czy to na długo?... Mój Boże! mój Boże!
 Czemu tak słaba ta dusza człowieka?
 Na progu chaty, na cmentarzu może,
 Stargać ten pokój jakaś hydra czeka!
 A póki dzionek zaświta jutrzejszy

Ileż chmur ciężkich zawisnie nad głową!
 Nasz skarb spowiedzi co chwila się zmniejszy—
 My nieszczęśliwi i grzeszni na nowo!
 Lecz byle dobrej nie zabrakło chęci,
 Łza i Chleb Życia są zawždy dla rzeszy;
 Gorzej tym, których kapłan nie rozgrzeszy,
 Co od bożego stołu odepehnięci,
 Którzy się tulą z płaczem za filary,
 Jak ta dziewczyna i ten wieśniak stary.

XV.

W stronie kościoła — wiejski topór ciesli
 Już wybudował tarciczną ciemnicę,
 Już ją ubrali w kobierce i świece,
 Już tam Najświętszy Sakrament zanieśli:
 Rytuał rzymski jak zalecił wszędy,
 Wielko-czwartkowe spełniono obrzędy.
 Naród hojnemi zalewa się łzami,
 Modli się szczerze i w piersi kołata,
 Że przed lat kiedyś dwoma tysiącami
 Chrystus w ciemnicy był więźniem Pilata.
 Ksiądz, co się trudził od świtania słońca,
 Zrzuciwszy ornat, chce wytechnąć po pracy;
 Już organista śpieszy się do końca,
 Już mu nie wtórzą wioskowi śpiewacy;
 Już naród boży, co gwarzył w przedsienu,
 Znaczno po głosach, że odszedł daleko;
 Nawet żebracy pieśniami strudzeni,
 Już się na szczudłach do szpitala wleką.
 A jeszcze klęczą przed Najświętszą Panną

Nierozgrzeszeni i cierpiący srodze,
 Starzec i dziewczę, ze łzą nieustanną
 Gorące czoła tuląc ku podłodze,
 Jakby wyciągał chłód ziemi surowej
 Winę z ich serca lub boleść z ich głowy.
 Starzec wstał pierwszy, i co starczy siła,
 Wsparty na kiju szedł modląc się Bogu;
 Dziewczyna jeszcze dłużej się modliła,
 Powstała, wyszła, przyklękła na progu,
 I tam się krzyżem jeszcze przeżegnawszy,
 Ku wiejskim polom kieruje bieg zwawszy.

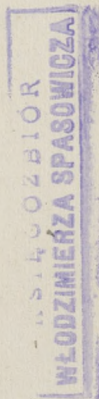
XVI.

Za stodołami są wiejskie mogiły,
 Drewniane krzyże zbiegły się gromadą;
 Za mogilami stoi dąb pochyły,
 Dalej drożyna, co do lasu jada,
 A przy drożynie, wedle leśnej ściany
 Sterczy grobowiec z piasku usypany.
 Znać z przeszłorocznych zczerniałych badyli,
 Że tu rósł oset i pokrzywa dzika;
 U nóg zmarłego drzewko się nie chyli,
 Nie zbudowano nad głową krzyżyka.
 Wiatr, co z sosnami przyległemi gwarzy,
 Nie lubi kwilić na tutejszym grobie;
 Przeleci czasem — mogiłę znieważy,
 Rozsypie piasek i odlata sobie.
 Nie pytaj w wiosce, czy prawdy, czy baśni:
 Co to za dzika zacisza grobowa?
 Bo ci niechętnie odmrukną pół słowa,

Ale pytania żaden nie objaśni.
 Tu nawet z wioski nie zabiega trzoda,
 Ranny skowronek nie wywodzi treli.
 Biedną mogiłę zdaje się przekleli
 I Bóg, i ludzie, i sama przyroda.
 Za lat pięćdziesiąt (jak zwykle na świecie)
 Jakowys urok mogiłę osłoni,
 Podanie jakies do niej się przyplecie,
 I będą dziwy opowiadać o niej.
 Dzisiaj ten kopiec jeszcze nazbyt świeży,
 By o nim składać piosenki lub pieśni;
 A biedny człowiek, co w tym piasku leży,
 Był taki samy jak i wszyscy grzeszni.
 Nie Szwed, nie Tatar — starój skazki wzorem —
 Ani był rycerz doświadczony w sile,
 Nawet po śmierci nie chodził upiorem,
 To i cóż gadać o jego mogile?
 Toć chyba jaki żebrak z pod kościoła,
 Wziąwszy jałmużnę, modląc się za zdrowie,
 Jeśli wie dzieje tutejszego siola,
 O téj mogile kilka słów ci powie.

XVII.

Był to syn biednej wdowy na zagrodzie,
 Która już także w Bogu odpoczywa;
 Składał piosenki bywało we żniwa,
 Zimą na skrzypcach wygrywał w gospodzie;
 Na wszystkich ludzi poglądał surowie,
 Chociaż rad bywał w każdym wiejskim tłumie;
 O dziwnych dumkach, co snuł w swojej głowie,



Gada bywało — a nikt nie rozumie.
 Na rok przed śmiercią zamilknął jak ściana,
 Jak nawiedzony, dotknięty niemową;
 Potém do ludzi zbliżył się na nowo,
 I pijał z ludźmi od nocy do rana;
 A gdy w gospodzie nie było nikogo,
 Pijał sam jeden, bez końca bez miary;
 Snuł się po polach niedeptaną drogą,
 Szedł w dzikie lasy, w niedostępne mszary,
 I śpiewał pieśni usiadłszy przy sośnie
 Rad, że mu echo odhuka donośnie.
 Tak przez półrocze, czy coś więcej pono,
 Pijąc i piejąc o swojej niedoli,
 Głowę przez trunek i pieśń odurzoną
 Cisnął rękami — wołał: że go boli,
 Że serce drze się, że puls coraz prędszy,
 Że z piersi oddech wybucha gorętszy.
 Chciano go leczyć — uciekł od lekarzy,
 Mówiąc: że żaden ulgi nie przyniesie,
 Że mu najlepij, gdy błąka się w lesie,
 Kiedy się w dumkach i pieśniach rozmarzy
 O lepszym świecie, gdzie kmiotkowie sami,
 Gdzie ani dworu, ni gospody niéma,
 Gdzie młode dziewczę nie igra z sercami,
 Przysięgnie miłość — i pewnie dotrzyma.
 — „Tam mi pozwólcie, abym pędził życie!
 „Puście mię!“ — wołał w szalonym oblędzie—
 „Tam złożę piosnkę — otoż obaczycie,
 „Że jeszcze takićj nie było... nie będzie!“
 I znowu bredząc widział dzikie mary,
 I znowu światu złorzeczył boleśnie;
 Przeklinał trunek, pijąc go bez miary,

Przeklinał pieśnię, układając pieśnię.
 W końcu w obłędach i sam tak się mami,
 Że i przeklinał i gadał pieśniami.
 Niektóre z pieśień chwyciły dziewczęta
 I dzisiaj pieją w sianokos lub żniwo;
 Insze tak mądre, że czart nie spamięta,
 Głosiły dołą w przyszłości szczęśliwą:
 O złotych pługach, pod któremi trawa
 Zaraz w wysokie przeradza się zboże;
 O wielkich sercach, z których kropla krwawa
 Całe stulecia uszczęśliwiać może;
 O wielkich pieśniach — i znów mu się kręci
 Taniec w gospodzie i uśmiech dziewczęci.
 A czasem w lesie rękami wpół chwyta
 Brzoškę, jedlinę, albo głogu ciernie,
 I nawpół z płaczem, wpół z uśmiechem pyta:
 — „Czy będziesz kochać — ale kochać wiernie?“
 Nareszcie żadnych przełożeń nie słucha,
 Nic nie pił — nie jadł — i pobledniał srodze,
 I tu na piasku przy ustronnej drodze,
 Oddał nieszczęsny Panu Bogu ducha.
 Nieprędko biednych poszukali szczęćów;
 A gdy znaleźli, gdzie leży syn wdowi,
 Tutaj mogiłę wyryli trupowi,
 Bo bez Najświętszych umarł Sakramentów.
 I myślą sobie: — „Ziemia swojej niwy
 „Choć z umarłego niech wyciągnie troski.“
 Ale szalenić w życiu nieszczęśliwy
 Jeszcze nieszczęście sprowadził do wioski.

Nie więcej, w tydzień, trzy trójki pocztowe
 Z urzędnikami do wsi naszój lecą; —

A kiedy każdy zatrwożony nieco
 Zdejmował czapkę uchylając głowę, —
 Kazali przysiąc każdemu z współbraci:
 Że ów nieszczęsny zapaleniec młody
 Umarł z puchliny, z nadużycia wody;
 Kto nie przysięgnie, sowito zapłaci.
 Jedni płacili z duszy po talarze,
 Drudzy przysięgli — Bóg za to ich karze,
 Czy na dobytku, na działwie, na sobie,
 Inszemu ogniem poszła roczna praca;
 Nie dziw, że dzisiaj wspomniawszy o grobie,
 Każdy z wieśniaków rozmowę odwraca;
 W każdym ku niemu wstret znajdziesz jednaki —
 Bo jego pamięć dała się we znaki.

XVIII.

Dziewczę pobiegło, kędy oczy wiodą,
 Aż do rozwianej wiatrami mogiły;
 Tam już u kopca był starzec pochyły;
 Jakby za wspólną zesli się ugodą.
 Snadź, że się zesli dla wspólnej przyczyny
 Nierozgrzeszeni dzisiejszego rana —
 Że dobry Pan Bóg przez usta kapłana
 Nie raczył ciężkiej odpuścić im winy.
 Lecz czyliż wina, co cięży ich głowy,
 Z polną mogiłą ma związek jakowy?
 Coś strasznego wykroczyli pono
 Względem szaleńca, co tu pogrzebiono;
 Lecz jaka wina wspólnie ich kojarzy?
 Kiedy ją zmażą? jakimi zasługi?

O to nie pytaj u wiejskich plotkarzy:
 Bóg tylko jeden, a pleban wie drugi.

XIX.

Podarty całun białego śnieżyska
 Gdzieniegdzie ciągnął po dolinach smugi;
 Gdzieniegdzie strumyk z lodów się wyciska,
 Płaczą się k'niemu i jeden i drugi,
 A oplókawszy poorane niwy
 Snują ku rzece swój pęd hałaśliwy.
 A wzgórkki suche, — na kopcu mogilnym
 Żółty żwir piasków świeci się z daleka.
 Na tle błękitu bije rysem silnym.
 Kształt kłęczącego przy grobie człowieka.
 W modlitwie starca gwałtowności niéma:
 Kłęczcy schylony i wsparty na dłoni —
 A mówiąc psalmy, na książkę, co trzyma,
 Kiedy niekiedy gorzką łzę uroni;
 A kiedy ręką łzy ocierał z powiek,
 Gdy siwe włosy odgarnął z nad czoła,
 Dziewczęę ujrzało, że to znany człowiek,
 Wesoly grajek z sąsiedniego siola.
 Trudno przypuścić, by zmarłemu szkodził,
 Albo ku niemu knował złe zamiary:
 On go grać uczył, do gospody wodził,
 Jako brat w pieśni, jak przyjaciel stary;
 Znany jak człowiek szczerego sumienia,
 Z dobrymi ludźmi spędził mnogie lata.
 A czemuż dzisiaj nie wziął rozgrzeszenia
 I przyszedł płakać nad grobem kamrata? —

Na widok starca zmieszana dziewczyna
 Chciała się cofnąć do leśnej uboczy;
 Lecz starzec spojrział, i coś przypomina,
 I wlepił chmurną zrenicę w jój oczy; —
 Zaśmiał się dziko: — „Ha! to jakieś czary!
 „I ty przychodzisz płakać na tym grobie!
 „Dwoje morderców u grobu ofiary!!
 „Ha!... znam ja ciebie — słyszałem o tobie!
 „Czego tu szuka kłamana obluda?
 „Po co tu przyszłaś, zalotnico płocha?
 „Zakłócić spokój — to ci się nie uda!
 „Przebłagać cienia — to za późno trocha!
 „Dzisiaj biedny Szymon śpi martwo w swój trumnie,
 „A dusza poszła w czyscowe ogniska,
 „Zkąd na nas chyba przeklęctwami ciska,
 „Groźnie spogląda ku tobie i ku mnie.
 „Nas dwoje tylko ukochał na ziemi, —
 „A my co za to? w zamniemaniu podłóm
 „Jad mu podali rękami własnymi!
 „Ty rozpacz — ja śmierć na niego przywiódłem.
 „Dwoje zabójców... nad jednemi szczęty —
 „Zbyt obciążamy jego kości w grobie!
 „Dajże tym piersiom choć raz pokój święty:
 „Płocha dziewczyno! a idźże ztąd sobie!“
 Tak groźnie mruknął — i znów książkę bierze,
 Na dłoń się wsparła jego głowa siwa,
 I zaczynając przerwane pacierze,
 Pokutne psalmy znowu odczytywa.
 Ale na głowę dziewczęcą bez siły
 Za nadto ciosów dnia jednego spadło:
 W jój oczach ćmi się, jój lice pobladło,
 Chwicie się, klęka na piasek mogiły.

Co czyni — sama nie pamięta zgoła,
 Chwyta garść żwiru i cisnie do czoła,
 I tłumiąc jęki, których pierś nie zmieści
 Ledwie na ciche łkanie się zdobędzie.
 Poruszył starca ten widok boleści:
 — „Wyplacz się dziecię, to ci lepiej będzie!“
 I sam podawszy tę radę w niedoli,
 Zapłakał cicho, lecz rzewnemi łzami.
 Łza zaraz ulży, kiedy sercu boli,
 Zwłaszcza gdy inny podzieli ją z nami.
 Czasem łzę jedną okupiłbyś drogo,
 W ściśnioném sercu gdy krwi bije fala;
 Ale nie zawsze oczy płakać mogą,
 Nie zawsze kamień z serca się odwala.
 W dniach udręczenia szczęśliwsi im szczerzi
 Wsi i natury wychowańcy prości;
 Nieraz bohater, mąż hartownej piersi,
 Słabój niewieście jój lez pozazdrości.

XX.

Dziewczę płakało — a gdyby jój łezki
 Przesiały żwirem aż w grobowe łoże,
 Spadły na piersi z pod grobowej deski,
 Biedny umarły wnet wskresnąłby może:
 Tyle w tych kroplach, co z pod serca biega,
 Siły żywotnej i żalu szczerzego.
 Gdy płacz szeroki jak posłannik nieba
 Ulżył jój boleść pocieszeniem nowém,
 Dziewczę uczuło, że sercu potrzeba,
 Aby z kimkolwiek podzielić się słowem;

I już nie bacząc, czy starzec się chmurzy,
Tak przed nim boleść serdeczną wynurzy:

XXI.

— „I wy!... mój Boże!... smuci mię i dziwi—
Wy jeszcze na mnie rzucacie zakąły!
Ojeze Tarasie! wy niesprawiedliwi!
Jak Bóg na niebie, jak dzień mamy biały,
Klnę się na męki, co mi serce gniotą,
Jeślim zgrzeszyła — to chyba pustotą...
Musiał ci mówić: jak, gdzie, w jakiej chwili?
Gdyśmy raz pierwszy siebie obaczyli.
On był przychodzień, w naszej wiosce obcy,
Ze starą matką gdy tu chatę wzięli.
Często wioskowi gniewali się chłopcy,
Że Szymon z nimi zabawy nie dzieli,
Tryumfowali, że nie taki hoży,
Śmieli się z niego, że odludek boży.
Lecz ja lubiłam jego rzewną postać,
Jego głos tęskny, jego twarz sierocą.
Dziwną go Pan Bóg udarował mocą,
Że mógł spojrzeniem aż głąb serca dostać.
Kiedy się zbiorą sąsiadki, sąsiady,
Jakąś pustotę albo żart uczynim;
On tylko spojrział — a każdy z gromady
Płochego żartu zawstydzik się przy nim.
Choć żadnym słówkiem, choć żadną przestroga
Nie upokarzał rówieśników grona —
Bóg raczy wiedzieć, co te oczy mogą...
Ja sama nieraz byłam zawstydzona,

Kiedy bywało nie strzegę się ściśle,
 Kiedy coś powiem, czego nie pomyszę.
 Nim go poznałam, i ja byłam płochą,
 Lubilał żarty wioskowej młodzieży;
 Ale na niego popatrzawszy trocha,
 Poczułam jakoś co mi się należy;
 I gdy bywało on samotny w tłumie,
 Ja w jego oczy poglądałam rada,
 I zawsze jakoś serce wyrozumie,
 O czém on myśli lub o czém zagada.
 A i on nieraz, aż uczułam trwogę,
 Umiał odgadnąć, co ja myśleć muszę...
 Jak się to działo? powiedzieć nie mogę,
 Tak jakoś Pan Bóg stworzył nasze dusze...
 Czyśmy się prędko poznali, kochali?
 Ojcie Tarasie! tego coś nie pomnę...
 Lecz było zemną tém gorzej im dalej:
 Gdy go nie widzę — już dni nieprzytomne,
 Już sny bezładne — nawet żyć niemiło...
 A tam nad rzeczką, pod wierzbą pochyłą,
 Jest stary kamień — tam, gdy wieczór złoty,
 On lubił siadać wracając z roboty,
 Lubił spoglądać na łąki zielone,
 Na ciemne lasy, na błękitne nieba.
 Jakoś pod wieczór zawsze w tamtą stronę
 I mnie bywało wychodzić potrzeba:
 To naszych owiec zbłąka się gromadka,
 To do sąsiadów posyła mię matka,
 Albo mój dziadek wśród pustej gawędki
 Przypomni sobie, siedząc u wieczerzy,
 Że nie opatrzył w zatoce więcierzy,
 Albo na trawie zapomniał swęj wędki.

Ojcie Tarasie! wszak pamiętasz dziada:
 Był bardzo srogi! — rada czy nierada
 Muszę tam śpieszyć — a kiedy się zjawię,
 To siedzi Szymon na kamiennéj ławie,
 Da *dobry wieczór* i o czémś zagada,
 To muszę słuchać, rada czy nierada...
 Czy go kochałam? nie wiem ani trochę:
 Bo to kochanie świat różnie uważa.
 Parobczak chciałby wyjść na gospodarza,
 Dziewczyńie przykre łajanie macochy,
 Więc mówią sobie:—„Już tego za wiele!
 „Będziem się kochać, weźmiem ślub w kościele
 „I półwłócz gruntu weźmiemy we dworze;
 „Na weselisku poskaczem, wypijem,
 „Przecież na starość nie pójdziemy z kijem,
 „Bóg nas na ludzi wyprowadzi może.“
 Dla mnie z Szymonem nie takim obrazem
 Stawała przyszłość we szczęście bogata:
 Byle ogródek, rozwalona chata,
 Lecz będziem razem — zawsze z sobą razem.
 Szymon powiadał:—„Marto moja, Marto!
 „O inszém życiu i mówić niewarto.
 „Będziem ubodzy — ja ci piosnkę sklecę
 „O Panu Bogu, o wiosnie, o rzece,
 „O czém ty zechcesz — mam piosnek nawalem,
 „Ja w pieśni nową utoruję drogę;
 „Od pewnej chwili... gdy ciebie poznałem,
 „O wszystkiém piosnki wyspiewywać mogę.
 „Lecz Marto moja! marzenia na stronie —
 „Nim się nam życia wypełnią rozkosze,
 „Nim się ja ojeu twojemu pokłonię,
 „Nim u twéj matki o rękę poproszę,

„Nim przed ołtarze poprowadzę ciebie, —
 „Powiedz mi szczerze, jak Pan Bóg na niebie:
 „Czy ty mię lubisz? — bo ja szczęście ziemi,
 „Chwilki nie myśląc, w twoje ręce złożę;
 „Ale ty, Marto, broń Boże! broń Boże!
 „Twe płoche myśli puścisz za drugimi!
 „To wtenczas biada całej naszej doli:
 „Ostatnia nitka mego szczęścia pękła!“
 Szymon zapłakał, jam przed nim ukłękła:
 — „Niech Bóg — mówiłam — niech Bóg nie pozwoli,
 „By serca nasze w jakiegokolwiek dobie
 „Miały się zmienić, ostygnąć ku sobie!“
 Szymon szczęśliwy chciał coś odrzec na to:
 Lecz było późno — zerwałam się z ławy...
 Czy to ze szczęścia, czy może z obawy
 Serce mi drżało, gdy wbiegłam do chaty.
 Aż wpół oslepiłe źrenice u dziada
 Postrzegły bladość — zaprzestał gawędki:
 — „Co tobie Marto? czegoś taka blada?
 „Napij się wody! Bieg musiał być prędkki!“

XXII.

„Na przyszłą wiosnę miał być ślub z Szymo-
 Marzyłam o nim, liczyłam tygodnie, [nem.
 Po tysiąc razy w sercu rozmarzonym
 Pytałam siebie, czy miłość nie chłodnie?
 Lecz serce zawsze mówiło radośnie,
 Że silniej bije, że uczuciem rośnie.
 A on czy kochał? — dobrzem to wiedziała,
 Inaczéj wierząc grzeszyłabym srodze;

Wciąż jedną myślą jego głowa pała,
Wciąż w jego duszy nowy skarb znachodzę.
Ale my biedni — wśród mozolnej pracy
Nie sposób zawsze bywać przy kochanku;
Nie sposób być tam, gdzie się myśl obraca;
Nie sposób serce pieścić bez ustanku.
Potrzeba było grosza na wesele,
Na zapowiedzi i na zaręczyny;
Więc biedny Szymon nie czekając wiele,
Przystał na flisa do dwornej wicyny.
Insi szli pieśni śpiewając ochocze,
A on był smutny jak jodła na grobie...
I ja nieszczęsna nie wierzyłam sobie,
Jak też potrafię przeżyć to półrocze...
Straszny był wieczór, gdyśmy się rozstali!
Jego wspomnienie aż dotąd mię męczy —
Gdyśmy słuchając szumu rzecznej fali,
Wsparli się milcząc na mostu poręczy,
I jakby jedną myślą ozywieni,
Błądzili wzrokiem po niebios przestrzeni...
Ojcie Tarasie! choć żyłeś lat wiele,
Takiego nieba nie widziałeś może:
Ciemne chmurzyska nad lasami ściele,
Tłoczy wierzchołki czarnych jodeł w borze,
Pokrywa mgłami i rzeczkę i błoto,
I serce jakąś naciska tęsknotą,
Z każdej mgły mara wysuwa się blada,
Złowrogi przestkach jakby z deszczem pada.
A tutaj boleść znęca się nad duszą,
Że się potrzeba rozłączyć na dłużej;
A takie niebo niedobrze coś wróży,
A tam na Niemnie głębiny być muszą,

I pełno wioski, pełno miast przy Niemnie,
 A tam dziewczęta piękniejsze odemnie...
 Mówiłam pacierz do aniołów stróży,
 Wzywałam rzewnie ich opieki świętej,
 Aby go strzegli od fali, od burzy,
 A jego serce od jakiejś ponęty...
 Szymon mi mówił:—„Bądź zdrowa! bądź zdrowa!
 „Wrócę zdrów, wesół, przyspieszę wesele.
 „Przeklęty będzie, kto przysiąg nie chowa!
 „Półrocze czasu — och, jakże to wiele!
 „Sercu kobiety wielu się spodoba:
 „Och! to półrocze, jakaż długa proba!“
 Ukłękłam przed nim i złożyłam ręce:
 —„Niechaj sam Pan Bóg pokarze mnie biedną,
 „Gdy przez półrocze chociażby myśl jedną
 „Komu innemu niż tobie poświęcę!
 „Związek wieczysty, święty i niewinny
 „Za nadto silnie serca nam skojarzył,
 „Aby ktoś inny jeszcze nam się marzył,
 „Aby nas zdołał zajmować ktoś inny.
 „Tu nawet żadnej nie będzie zasługi,
 „Bo mi do duszy nie przypadł nikt drugi,
 „Nikt nie przypadnie — mogę ręczyć śmiało,
 „Bo gdy raz serce ciebie pokochało,
 „To już nie znajdzie w całym świata tłumie,
 „Choćby się chciało przeniwierzyć zdradnie,
 „Nikogo w świecie, co mię tak odgadnie,
 „Co wszystkie moje dumki wyrozumie.
 „Tyś mi za nadto po małej iskierce
 „Rozpalił głowę i rozpieścił serce.“
 Takem mówiła... Uwierzył — uściskał...
 Zapłakał tylko — i przyszło rozstanie...

Księżyc coś dziko przyglądał się na nie,
I krwawym światłem nad nami zabłysnął.
Raził mi oczy jego blask iskrzaty,
Kiedy splakana wracałam do chaty.

XXIII.

„Po takich chwilach jeszcze marzym w nocy,
Miłą przeszłością słodzim stan sierocy.
Ale poranek... to skończenie świata!
Piekło na ziemi, gdy przymkniesz oczyma,
A myśl najpierwsza w głowie zakołata:
Już jego niema!
Co począć z sobą?... z tym dniem—co natrętny
Już bije w oczy promieńmi jak nożem?
Z jutrem?... z niedzielą?... a toż dzień pamiętny,
Tośmy się w domu spotykali bożym,
To na cmentarzu, to w chacie sąsiada...
Albo wieczorem—och! gdy wieczór pada,
Czy iść nad rzekę? sięść na kamień znany
I tam skamienieć?—Nie pójdę w tę stronę!
Bo jeszcze przyjdzie szal niespodziewany,
Zeskoczę z mostu i w rzece utonę...
Czy iść na pole?... O! nie! tam przy gruszy
Wiliśmy kiedyś wianki z polnych ziółek!—
Może do ludzkiej przytulić się duszy?
Straszno! nie lubię moich przyjaciołek!
Bo przyjaciółka wie, czém mnie zatrzyma,
O czém ja mówię, o czém marzyć rada;
Najpierwsze słowo, co do mnie zagada:
Już jego niema!!...

Dowodzą ludzie, że jest takie ziele,
 Co można łyżkę lub wiadro nawarzyć,
 Wypić i przespać dni, tygodni wiele —
 Och! jak to błogo! byle spać i marzyć,
 A w tém marzeniu miewać sny prorocze!
 O! takbym spała przez całe półrocze!
 Lecz takie ziółko rośnie za morzami—
 Nam trzeba czuwać, żyć i śmiać się marnie...
 Ojczy Tarasie! jakież to męczarnie,
 Pierwszy poranek gdy zostaniem sami!
 Serce ci pęka, z bolu nie wytrzyma,
 Jeszcze się nieraz zapomnisz w téj chwili,
 I myślisz sobie: on troski umili...
 Lecz się ocykasz: że jego już niéma!

XXIV.

„Tak dzień upłynął na strasznej torturze—
 Przyszła noc znowu — i znowu świtanie...
 Któż te męczarnie wypowiedzieć w stanie?
 Za nadto boli — ja ich nie powtórzę...
 Przed jedną matką, w której pełna wiara,
 Serce cierpiące całkiem się odsłania:
 Lecz moja matka — ona nazbyt stara,
 Gdzież jój zrozumieć boleści kochania?
 Przeszło dni kilka, nawykłam z niedolą...
 Chciało się płakać, lecz chciało się współki:
 Wezwałam k'sobie wierne przyjaciółki,
 Te naśmieszyły, że aż boki bolą.
 Nazajutrz ciężka zajęła mię praca,
 Smutek złagodniał — i już nie powraca.
 Lecz do snu dawne wspomnienie się ciśnie,
 Bom jedną myślą zawsze uniesiona:

Czuję, że kocham, więc Szymona przysięę,
 Ale już mglisto śniłam twarz Szymona;
 Potém w snach moich i twarz i postawa
 Już jakby obłok niewyraźnie stawa.
 A jednak ogniem jednych uczuć pałam,
 A jednak szczerze Szymona kochałam.
 Tak, nim w połowie ubiegło półrocze,
 Rozrywać smutek czułam się w potrzebie;
 Już przyjaciółek zabawy ochocze
 Coraz mię częściej nęciły do siebie.
 Gorzkim przecuciem jak gdyby chorobą
 Ciągłe dręczona, czułam jak to boli,
 Pragnęłam smutek złagodzić powoli,
 Uciec od myśli, nie być sama z sobą.
 Kiedy łzy z oczu lały się goręcęj,
 Ja biegłam śmiać się do rówiennic rzeszy;
 Ten memu sercu spodobał się więcęj,
 Kto najweselszy, najprędzēj rozśmieszy...
 Ojcie Tarasie! tak jak mnie widzicie,
 Ja w duszy mojęj tak niegdys bogata,
 Co dotąd rzewnie patrzałam na życie,
 Poczęłam śmiać się z życia i ze świata;
 Śmiałam się nawet płocho uniesiona
 Z naszej miłości, z siebie i Szymona.

„Tak przeszło znowu dwa czy trzy tygodnie—
 On zawsze w myślach, choć nie tak go cenię.
 Czasem mi z cicha powiada sumienie,
 Takimi śmiechy że śmiać się niegodnie;
 Że Szymon we mnie taką widząc zmianę,
 Gorzko zabołec w głębi duszy może;
 Dziwne wyrzuty aż dotąd nieznane
 Gryzły mię z rana gdy oczy otworzę,

Gdy jakaś władza w głębi piersi skryta
 O całodzienny rachunek zapyta...
 Och! niepodobna być z sobą sam na sam!
 Mówiłam ręce łamiąc rozpaczliwie:
 Idę do ludzi — pracuję we żniwie,
 Albo na łące śmieję się i hasam.
 Zwano mię pustą — a nikt i przez chwilę
 Nie chciał odgadnąć, co ten śmiech poruszał
 Miałam przyjaciół, przyjaciółek tyle,
 Przecież nie zgadła ani żywa dusza:
 Ani mój dziadek, co stawiając węcierze,
 Często się chwalił, że zna świat nielada;
 Ni moja matka, co modląc się szczerze,
 Zawsze bywało o sumieniu gada;
 Ni rówiennice — przecież są młodemi,
 Młodego serca tajniki znać muszą...
 O! gdzie tam! gdzie tam! dobrze śmiać się z niemi
 Lecz trudno duszy rozmówić się z duszą...
 Jedenby Szymon zgadł w najprędszym czasie,
 Ale go nie masz na nieszczęście moje.
 A mówiąc szczerze — och, ojczyźnie Tarasie!
 Już jego przyjścia czułam że się boję,
 Że będzie cierpiał nad moją odmianą, —
 Chciałam go widzieć, nie będąc widzianą.
 „Zagłuszyć wyrzut, co dręczył kryjomu,
 Nigdzie nie lepiej jak w rówiennic kole;
 Więc byle chwilka — wymykam się z domu,
 Z towarzyszkami śmieję się, swawolę.
 A kiedy czasem wracając z roboty
 Któryś parobczak zjawi się do grona,
 To jeszcze więcej śmiechu i pustoty,
 To jeszcze bardziej byłam ozywiona.

Z taką się myślą oswajałam co dnia:
 By durzyć chłopców... tak sobie... bez celu...
 Czy to, broń Boże, taka wielka zbrodnia
 Kochać jednego a bawić się z wielu?
 Wszak to miłości przeszkadzać nie może,
 A mego serca żaden nie przebodzie;
 Gdzie tam ich kochać? at, stworzenia boże!
 Dobrze się pośmiać, potańczyć w gospodzie.
 Wszak kiedy Szymon powróci na końcu,
 Już wieczny rozbrat ze światem uczynim;
 Biedne chłopczyska — oni zgasną przy nim,
 Jak małe gwiazdki przy pogodnym słońcu.
 A czyż to lepiej, gdy się głowa pali,
 Od smutnych dumek kiedy serce wędnie?...
 Tak sobie myśląc, wciąż dalej a dalej
 Życie pustoty wiodłam nieogłędnie.

XXV.

„Młody parobczak, syn strzelca z pod gaju,
 Chłopiec wesoly, piśmienny, bogaty,
 Często a gęsto miewał we zwyczaju
 Do mego dziadka zachodzić do chaty.
 Czasem się zdarzy, kiedy niéma dziada,
 Muszę go przyjąć rada czy nierada.
 O niczém mówić nie lubił poważnie,
 Ale z nim śmiać się tak było wesoło!
 Że myślę sobie: ot tego podrażnię,
 Na tém coś wygra całe nasze sioło.
 Bogaty, wesół — on w każdą niedzielę
 Zamówi skrzypce i miodu zakupi.
 Spogląda na mnie — trochę go ośmielę,
 Niechże się kocha, kiedy taki głupi!

Jam siebie pewna: nie pokocham przecie,
 Oprócz Szymona nikogo na świecie.
 I tak się stało... Bywało co święta
 Aż drży gospoda od tańca i skrzypiec;
 Wdzięczne mi były wioskowe dziewczęta,
 Lało się zdrojem i piwo i lipiec;
 A ja spokojna na méj drodze cnoty,
 Śmiejąc się w duchu, przyjmuję zaloty.

XXVI.

„Jednej niedzieli szło gwarniej niż zawsze:
 Poczęło zmierzchać i nastąpiło ciemno;
 Skrzypce głośniejsze, tańce były żwawsze,
 A młody strzelec wciąż tańczył zemną, —
 I w jego rękach trzymając me ręce
 Wiodłam ochotę i tańce złowieszcze;
 W tańcu swawolę, wymykam się, kręcę,
 A tak chychocę, że jak nigdy jeszcze...
 Wtém, jak mi później ludzie powiadali,
 Wszedł do gospody podróżny z tłumokiem,
 Dokoła powiódł jakiéś dziwném okiem,
 I w ciemnym kątku siadł sobie w oddali.
 Tak patrzył na nas godzinę czy więcej;
 Już go poznali niektórzy sąsiedzi,
 A ja swawoląc coraz to goręcej,
 Anim zważała, kto tam w kątku siedzi.
 Wtém dał się słyszeć łoskot na podłodze,
 Jakiś jęk głuchy przerwał skrzypiec tony;
 Przypadli ludzie przerażeni srodze...
 Podano ognia — to Szymon zemdlony!

Czyż trzeba mówić, żem zbladła, krzyknęła?
 Że w serce moje uderzył grom boży?...
 Całą szkaradę méj płocności dzieła
 W jednym momencie uczułam najstrożej...
 Ludzie podbiegli, po imieniu zową,
 Twarz mu skropili i podali wody.
 Szymon się ocknął, popatrzał grobowo,
 Jeszcze się zachwiał i wyszedł z gospody.
 Wybiegłam za nim.— „Szymonie! Szymonie!
 „Lituj się! przebacz! powitaj mię z drogi!”
 Ale on spojrzął jakby duch złowrogi,
 I poszedł dalej— tu, ku lasu stronie.
 Ja go dopędzam, ukłękłam na drodze;
 Lecz mię odepchnął rękami drżącemi:
 —„Zabiłaś, Marto! zabiłaś mię srodze!
 „Zabiłaś wiarę we wszystko na ziemi!
 „Przeklęte trzykroć to plemię człowiecze!...
 „Ten świat nie dla mnie... Bywajcie już zdrowi!“
 Znow zastąpiłam drogę Szymonowi,
 Lecz znow odepchnął i słowa nie rzecze.
 Poszedł do lasu—mnie zamrok uderzył,
 Padłam i w ziemię uderzyłam głową;
 A gdy chłód nocny nieco mię odświeżył,
 Przyszłam do chaty bredząc gorączkowo.

XXVII.

„Przez dwa tygodnie leżałam w malignie,
 Ze strasznej śmierci pasując się siłą...
 A gdy mię Pan Bóg z choroby podźwignie,
 Już w naszej wiosce Szymona nie było.

Mówili ludzie: że ledwie oddycha,
 Że się zabłąkał w najciemniejsze knieje,
 Że jakieś piosnki wyśpiewywa z cicha,
 I dzikim śmiechem szydersko się śmieje;
 Że nigdy słowa nie mówi do człeka;
 Że tak się błąka całe dni i noce;
 Że dreszcz ogarnia słuchając z daleka,
 Kiedy z nim leśne echo zachychoce...
 A tutaj w wiosce, w zagrodniczej chacie,
 Dogorywała jego matka w nędzy.
 Chciałam ją cieszyć po syna utracie,
 Lecz mię przekleła—uciekłam co prędzej...
 Przyszłam nazajutrz — i znowu przeklina...
 Tylko już w samój ostatniej chorobie
 Nie przeszkadzała czuwać mi przy sobie,
 I nie nazwała zabójczynią syna.
 Spędzałam przy niej długie chwile czasu,
 Czuwałam nad jój ostatnią godziną...
 On się raz przywłókł pod chatę matozyną...
 Ujrzał mię w oknie — i wrócił do lasu.
 Matka umarła — a jego nie było;
 A gdy ją gmina pogrzebła wioskowa,
 Przyszedł, zapłakał nad matki mogiłą,
 Lecz do nikogo nie powiedział słowa...
 Potém się zjawił — ale w jakim stanie!
 Błady, odarty, upadły do tyła,
 Że gdzie przed świtem, nim jutrznia powstanie,
 Już on w gospodzie kielichy wychyla,
 Dziwne piosenki bękoce bezładnie,
 I znowu pije, póki z nóg nie spadnie.
 Zadrzemie chwilkę, wstanie i znów woła:
 — „Dajcie mi czarękę! precz z życiem przekłętém!

Chciałam doń mówić — nie poznał mię zgoła;
 A może poznał, bo spojrzzał ze wstrętem,
 Zgrzytnął zębami, odwrócił się żwawie,
 Wychylił czarękę i zasnął na ławie...
 Tak stargał życie — i po krótkim czasie
 Nieszczęśliwego nie było na świecie!...
 Ojczye rodzony! ach, ojczye Tarasie!
 Jak na spowiedzi teraz wszystko wiecie...
 Dzisiaj w kościele — ot tak, słowo w słowo,
 Odkryłam rany mojego sumienia.
 Lecz że zabójstwo cięży nad mą głową,
 Pleban mi dzisiaj nie dał rozgrzeszenia,
 I kazał tutaj modlić się w pokorze,
 Aż się przebłąga miłosierdzie boże!"

I tak dziewczyna, pasując się w męce,
 Długo plakała twarz ukrywszy w dłoni;
 A stary Taras, załamawszy ręce,
 Jęknął serdecznie i tak mówił do niej:

XXVIII.

— „Późny żal przyszedł do twojego serca,
 Za późno wracasz na poprawy drogę...
 Ja ci okropną pociechę dać mogę,
 Że jeszcze drugi jest jego morderca!
 Tyś rozpoczęła nierozważnym szaleń,
 A ja zabójstwa jego dokonałem.
 Jaż przecię starzec—gdzież moja rozwaga?
 Ja, com doświadczył tyle w życiu mojem,
 Ogień piekielny, co się w sercu wzmaga,
 Jam mu podniecił gorącym napojem.
 Słuchaj!

„On długo blakając się w lesie,
 Wpół nieprzytomny, prawie wpół umarły,
 Jakos ku mojej przywędrował strzesie,
 Do drzwi zapukał—drzwi mu się otwarły.
 Poznał mię prędko — zapłakał boleśnie,
 I całą siłą rzucił się na szyję!
 — „Ojcze!“—zawołał— „znasz, jak serce bije,
 „Bo tyś mię uczył jak się składa pieśnię!
 „Kłamstwo, mój ojcze, że jest cnota w świecie,
 „Że za ród ludzki żyć i umrzeć warto...
 „Ty znałeś Martę — och! to święte dziecię!
 „Ojcze! weź książkę! pomódl się nad Martą!
 „Już Marty niéma—już śmierć w jej żrenicy—
 „Ona zginęła! stracone nadzieje!
 „Choć jeszcze żyje, choć jeszcze się śmieje,
 „To ziemny robak z śmiechem zalotnicy!“
 Tak wpiwszy we mnie swe żrenice krwawe,
 By zebrać oddech, całe piersi sili,
 I wszystko w jednej wypowiedział chwili,
 Zaśmiał się gorzko i upadł na ławę.
 Łzy mi stanęły, żal ścisnął się w łonie;
 Chciałem go cieszyć najprędzej, najprościej;
 Rzekłem wesoło:— „Źle czynisz Szymonie,
 „Że z jednej sądzisz o całej ludzkości!
 „Ona zdradziła — ty cierpisz! ja wierzę;
 „Lecz śmieć się z tego—jedyiny ratunek:
 „Potrzeba w inszej pokochać się szczerze,
 „Ale tymczasem—trunek na frasunek!
 „Mam tu miód stary—wypij, to pokrzepi!“
 — „O nie, mój ojcze!“—tak Szymon odpowie—
 „Jam niegdyś pijał, nadweryzył zdrowie,
 „Piłem w cierpieniu—nie było mi lepij.

„Niechaj ten pije, który rąbie drzewa,
 „Pracuje z pługiem, albo trzody pasie;
 „Lecz my próżniacy—ach, ojcze Tarasie!
 „Nas dostatecznie piosenka rozgrzewa,
 „Boleść rozpala, a myśl ogniem piecze,
 „Już i tak serce rozpęknąć się może!“
 A jam nalegał:—„Człowiecze, człowiecze!
 „Zrozumiéj życie, szanuj dary boże.
 „Że dziś czy jutro ma cierpieć z nas który,
 „O tém już dawno przewidziano z góry.
 „Trunek, co duszę w pół martwą ożywi,
 „Co w stare kości wlewa siły młode,
 „Nie dla tych dany, którzy są szczęśliwi,
 „Lecz dla cierpiących—po łzach na osłodę!“
 Tak nalegałem, bom kochał Szymona,
 Sądząc, że w smutnym uleczę obłędzie,
 Że gdy wstręt pierwszy do czarki pokona,
 To już weselszy i szczęśliwszy będzie.
 Więc go zakląłem: jeśli jest kolega,
 Kocha mnie—ludzkość i Boga samego,
 Niech pokosztuje.

„Skosztował z kielicha,
 Wypił aż do dna—nalął drugi, trzeci.
 Chciałem go wstrzymać—już rękę odpycha,
 Już dzikim ogniem jego oko świeci:
 —„Pić mi podajcie!“—tak zakrzyknął wściekle—
 „Ogień piekielny niech pali się w piekle!
 „Naléj mi miodu, gorzałki czy smoły!...
 „Zdrowie zdrzejczyń!... pij zemną Tarasie!“
 Pił i nalewał już martwy napoly
 I krzyknął:—„Pijmy! teraz już po czasie!

„Spełniona dola... Przeklęty, przeklęty,
 „Kto pierwszą kroplę w moje usta wsączył!...
 „Krew już do piersi nawala się wzdętą!...
 „Nalałem czarę—do dna będę kończył:
 „Dopytam może, gdzie jest szczęścia meta...
 „Niech żyje ludzkość! niech żyje kobieta!“
 Tak pierwszy pułk spełniwszy złowrogi,
 Pobrnął do wioski lasami i jarem,
 I tam do reszty zgubił się pułkiem,
 I tu nieszczęsny spoczął wedle drogi...
 To my, dziewczyno—myśmy go zabili,
 I brama piekieł wspólnie nam otwarta...
 Przyjaciół Taras i kochanka Marta
 Do ostatecznej przywieśli go chwili:
 Bo podbudzając niebacznie, z daleka,
 Rozpłomienili namiętności człeka...
 Ty z jego serca wypleniałś wiare
 W godność ludzkości, którą wyssał z mlekiem;
 A ja ognistą podałem mu czarę,
 Aby do reszty przestał być człowiekiem.
 Kto z nas winniejszy — Bóg kiedyś rozważy:
 Tyś go na duszy, jam zabił na ciele...
 Nam się zdawało, że takich zbrodniarzy
 Kapłan od razu rozgrzeszy w kościele.
 Lecz nas odepchnął, wskazał za pokutę
 Własne sumienie i modlitwę łzawą;
 Aż w dzień Zaduszny mieć będziemy prawo
 Znów nasze myśli gorzkie i zatrute
 Otworzyć przed nim... Tu, u grobowiska,
 Krzepmy modlitwą serce, co usycha.
 Dosyć rozpaczy! niechaj modła cicha
 Uleczą boleść, co serce naciska.

Męczennik serca, co leży w tym grobie,
 Może już przebył czyscowé otchłanie,
 I nam odpuścił winy przeciw sobie,
 I nas przed Bogiem uniewinnia za nie.
 Módlmy się tylko!“

Wsparł głowę na rękę
 I czytał psalmy pokutne ze łkaniem;
 Dziewczyna głosem bolesnego jęku
 Słowo za słowem powtarzała za nim.

Wieczorne słońce z za góry, z za chmury
 Rozlało uśmiech po ziemskim obszarze,
 Rzucając promień złotawej purpury
 Na las, na wioskę, na pokutne twarze;
 A w mgłach wilgotnych od wybrzeża rzeki
 Na *Anioł Pański* — jęknął dzwon daleki...

E P I L O G.

Och! gdyby życie było poematem,
 Jakżebym pięknie skończył moją powieść!
 Że Szymon wskrzesnął, aby szczerze dowieść,
 Że się pojednał z ludzkością i światem;
 A przebaczywszy, że cierpiał tak wiele,
 Już swojej Marcie dałby rękę czułą;
 Pleban te ręce powiązałby stułą,
 Taras ze skrzypką przyszedł na wesele...
 Lub coś rzewnego obmyśliwszy raczej,
 Skreśliłbym obraz w całej pędzla sile:

Że Marta długo płacząc na mogile,
Jednego ranka umarła z rozpaczy...

Ale ja prawdzie muszę być posłuszny,
Muszę być wierny i w miejscu i w czasie.
Więc za półroczę przyszedł dzień Zaduszny,
Ksiądz widział skrucę w Marcie i Tarasie,
Dał rozgrzeszenie ze szczerego łona;
Więc otrzymawszy miłosierdzie Nieba,
Czuli, że życiu wypłacić coś trzeba,
I zaniechali mogiły Szymona.

Wiatr rozwiał piaski — i zielsko porosło,
Po zgniłych kościach opląta się żmija...
Taras odnowił pieśniarza rzemiosło,
Siedzi w gospodzie i miodek popija;
A co sam lubi, to i drugim radzi,
Że na frasunek trunek nie zawadzi.

Po dniach pokuty i ciężkiej spowiedzi
Marta znów w tańcu wodziła orszaki.
Zjawił się chłopak—już nie wiem kto taki,
Prosił o rękę, dał na zapowiedzi;—
Więc poszła za mąż — i co idzie za tém,
Pan Bóg dał dzieci, gospodarkę, zboże,
Wszystko jak trzeba... O Boże mój, Boże!
Czemu to życie nie jest poematem?!

23 marca 1856. Borejkowszczyzna.

GARŚĆ PSZENNA.

GAWĘDA LUDOWA.

I.

Stary Szczepan, wójt od wieka,
Był jedynym wójtem w świecie,
A takiego jak on czleka
I ze świecą nie znajdziecie.
Głowa tęga, dusza prawa,
Tak za swoją stał gromadę,
Że najkrętsza przyjdzie sprawa,
On najlepszą dawał radę;
I co w świecie rzecz nieznaną
Lub należy do rzadkości,
Że lubiony był od pana
I lubiony w całej włości.
Tak wszystkiemu czyniąc zadość,
Był jak ojcem swojej wioski;
Ale starość to nie radość,
Przyszedł w końcu wiek dziadowski.
Już o kiju suwa kroki,
Oko blaskiem już nie pała,

W plecach urósł garb szeroki,
 Mądra broda pobieliała.
 Więc przed swymi tak się biedzi:
 — „Czas odpocząć mi nareszcie!
 „Rada w radę — i sąsiedzi,
 „Już innego wójta weźcie!
 „Moja głowa trzech nie zliczy,
 „Bo zwyczajnie stara, siwa.“
 A gromada jak zakrzyczy:
 — „Dolaż nasza nieszczęśliwa!
 „Cóżto waści, panie bracie!
 „Przykro ojczyć w swój chudobie?
 „Czy nam zguby pożądacie?
 „Z taką mową idźcie sobie!
 „A dopóki ręka bozka
 „Trzyma waści w równej mierze,
 „Póty cała nasza wioska
 „Wójta sobie nie wybierze.“

W prosby, w groźby on i oni;
 Rzeczy wzięły rzewną postać, —
 I dowiedli jak na dłoni,
 Że on wójtem musi zostać.
 Lecz starości gdy dogonim,
 Życie ludzkie jak na włosku:
 Więc im radził po ojcowsku,
 By następcę wybrać po nim, —
 Bo się potem swar obudzi,
 Walka pocznie się złowroga,
 I zgorwienie dobrych ludzi,
 I obraza Pana Boga.
 — „Na to zgoda!“ — zawołali, —

„Szczepan mówi święte słowa!
 „Ale na co szukać dalej?
 „Jest tu dziatwa Szczepanowa.
 „Ma trzech synów — dzielne chłopcy,
 „Każdy wart być na urządzie,
 „Im wioskowy ład nicobcy,
 „Niech z nich jeden wójtem będzie.
 „Ale który??“ — Ot i spory,
 Już się teraz poważnili.
 Jeden mówi, że Hrehory,
 Drugi mówi, że Wasili,
 Insi znowu z włości grona
 Piszą karby na Szymona.
 Ojciec widzi, że mozoła,
 Że do gwarniej przyjdzie zwady;
 Siwe włosy zgarnął z czoła
 I tak mówi do gromady:

— „Jest tu lepszych gospodarzy
 „I w wyborze ciężka biéda, —
 „Lecz jeżeli wam się marzy,
 „Że się który syn mój przyda,
 „Wasza łaska w tém widocznie.
 „Lecz do wójta droga długa!
 „Nim gromadzie służyć pocznie,
 „Niech pokaże co za sługa.
 „Ot widzicie! właśnie pora
 „Poznać, jakie w którym czyny:—
 „Pan na wiosnę szle Hrehora
 „Do Królewca na wiciny;
 „Wasil rusza w pańskiej sprawie
 „Aż w Krakowskie, panie bracie!

„Szymon został przy mnie w chacie,
 „W Ukrainę szłę Szymona,
 „Niechaj soli nam przystawi,
 „Bo w miasteczku nazbyt droga;
 „Wiem, że każdy z nich się sprawi,
 „W tém już łaska Pana Boga.
 „Ale który z cudzej strony
 „Większą korzyść nam przyniesie,
 „Będzie wójtem postawiony,
 „Będzie ojczyc w naszej strzesie.
 „Za rok może o téj porze
 „Bóg mi życia nie odbierze,
 „Wszystkich trzech zbadamy szczerze,
 „Nie omylim się w wyborze!“

I gromada w serce bierze
 Pana wójta złote słowa.
 Nie wiesz, dziatwo Szymonowa,
 Żeć gromadzkie oko strzeże!

II.

Jak raz za rok téjże pory
 Już z Królewca statki płyną,
 I najstarszy syn Hrehory
 Już powrócił z swą wiciną.
 I zebrała się gromada,
 Danó miodu, dano piwa;
 I Hrehory opowiada
 Troje cudów, troje dziwa:
 Jaki byt u Niemców miły,
 Jaki przepych niesłychany,

A najbardziej mu się wbiły
 Kapelusze i kaftany.
 — „Co tu mówić o siermiędze?
 „Krój dziwaczny, niesłychany,
 „Zaraz po niej znacznie nędzę!
 „Skrojmyż świty na kaftany;
 „A słomiane kapelusze
 „Pańszczyźniany ubiór chłopa!
 „Już u Niemców — przyznać muszę,
 „Zaraz znaczna — Europa!“

Stary ojciec słucha skromnie,
 Na kominku popiół grzebie,
 I z westchnieniem rzekł do siebie:
 — „Ten nie będzie wójtem po mnie!“

III.

Wraca Wasil z pod Krakowa:
 Opowiada tonem zucha,
 A gromada wszystkie słowa
 Najważniej z dala słucha.
 — „Co to!“ — mówi — „mowa jaka!
 „Proszę pana, jakie pieśni!
 „Każdy nóci krakowiaka,
 „Gdy my piejem tak boleśnie.
 „Gdzież tu piosnka brzmi swobodniej?
 „Każde słowo, każda nóta
 „Tak goryczy łąą zatruta,
 „Że aż echo wzdycha od niej!
 „Wiecie, bracia, co poradzę?
 „Rzućmy nasze piosnki stare,

„W Krakowiaka tańczmy miarę,
 „A ja réj wam poprowadzę.“

Stary ojciec słucha skromnie,
 Na kominku popiół grzebie,
 I z westchnieniem rzekł do siebie:
 — „Ten nie będzie wójtem po mnie!“

IV.

Wraca Szymon z Ukrainy
 Opowiada dziwne dziwy;
 Lecz ze swymi tak szczęśliwy!
 Ukrainca nie znać z miny.
 — „Dobrze“ — mówi — „w tamtej stronie,
 „Mię dojrzy choćby ślepy,
 „Ciągłe stepy, ciągłe stepy,
 „Niedojrzane okiem błonie!
 „A jak spojrzy w kraj daleki,
 „Aż zatęskni się wędrowiec
 „Do swych sosen, do swój rzeki,
 „Do swych wzgórków, gdzie jałowiec,
 „Że chociażby w Ukrainie
 „Nasypano góry złota,
 „Popędziłaby tęsknota
 „Do swój wioski — ku rodzinie.
 „Jedna tylko rzecz nielada,
 „Czego sobie ztamtąd życzę,
 „To pszenica! — z niebem gada!
 „A kłosiska gdyby bicze!
 „Więc tamecznych plonów cuda
 „Uzbierałem mieszek spory;

„Ej spróbujmy! nuż się uda
 „Ukraińskie mieć nam zbiory!
 „A każdemu z was, sąsiedzi,
 „Dam po garści na początku...“
 Ojciec słuchał w swym zakątku,
 Westchnął zamiast odpowiedzi:
 W tém westchnieniu zamiast słowa
 Wrzała chlubna myśl wójtowa.
 Myśl ojcowska — znać ją z twarzy:
 Syn méj wiosce korzyść zdarzy.

V.

I zawołał z uniesieniem:
 — „Z głupich ust głupia nowina!
 „Kto niemieckim chce odzieniem
 „Pokryć ciało Słowianina;
 „Kto ku obcym skłonił duszę,
 „O pilścianej czapce marzy,
 „Kto słomiane kapelusze
 „Znalazł sobie nie do twarzy,
 „W obce stroje niech się stroi,
 „Niechaj zdrów zakrywa oczy, —
 „Latem czoło skwar uznoi
 „A w jesieni deszcz przemoczy!
 „Głupi! jeszcze więcej głupi,
 „Kto rozumie, że szczęśliwy,
 „Że swojskiego ducha skupi
 „W jakiejś piosnce z cudzej niwy,
 „Kto pogardza grunt ojcowski,
 „Kto ku cudzym rzeczom skory!

„Nie przyniosą nic dla wioski
 „Ni Wasili, ni Hrehory!
 „Lecz kto w obcej będąc ziemi,
 „Miał ku swoim chęć niemarną;
 „Kto pszeniczne zebrał ziarno,
 „By je krzewić między swemi;
 „Kto o świecie mówi skromnie,
 „Kto zatęsknił po swój stronie, —
 „Ten zostanie wójtem po mnie:
 „Będziesz wójtem ty, Szymonie!“

A gromada ze słów rada,
 Daje okrzyk, bije w dłonie,
 Plon z pszenicy przepowiada:
 Będziesz wójtem ty, Szymonie!

C I E Ś L A.

GAWĘDA LUDOWA.

Na cmentarzu przy drodze
Budowano kaplicę:
Zmówić pacierz zachodzę,
Przejrzeć grobów tablice.
O południu — skwar piecze;
Wytchnieć nieco, człowiecze!
Robotnikom i cieśli
Z wioski strawę przynieśli:
Więc ucihły siekiery,
Czeladź na trawce siadła,
A spędzając znój szczery,
Szturm przypuszcza do jadła.

* * *

Stary cieśla co żywo
Zrównał postać pochyłą,
Dobyl łulkę, krzesiwo,
Pyknął dymkiem, aż miło!
Zadumał się — uśmiecha,
Poweselał na twarzy

I wyraźnie, choć z cicha,
Sam do siebie tak gwarzy:

— „Kowal puka w kuzience,
Pali odzież i ręce,
Sierp naostrzy lub radło,
Zrobi topór, lemieszce,
Stuknie, puknie w kowadło
I zarobek wykrzesze;
A w gospodzie go czeka
Pogadanka, napitek,
Bo z takiego człowieka
Dobry wiosce pożytek.
Cieśla z niczém powraca,
Od siekiery i pługa,
Choć ciężka jego praca,
Choć i większa zasługa.

* * *

„Młynarz puścił zastawki,
W kosze zsypuje zboże,
I już dosyć zabawki,
Odпочywać już może.
A jego trzodka syta,
Żona żyje w rozkoszy,
Dadzą mu miarkę żyta,
Dadzą mu kilka groszy;
Od dobrego człowieka,
I podchmiele go czeka!
Cieśla z niczém powraca
Od siekiery i struga,

Choć jego cięższa praca,
Choć i większa zasługa!

* * *

„Skrzypak piśnie na kwincie,
Zagra taniec lub drugi,
Już on pełen zasługi,
Już podarki mu czynicie!
Ma pieśczozy dziewczęce,
Uścisk od chłopca zucha,
I grosz sypie się w ręce,
I szklanica niesucha;
I co miłsze rozkosze
Niż szklanica i grosze,
To, że serca człowiecze
Jakby dłonią zagarta!
Prawda... prawda, nie przeczę,
I skrzypica coś warta;
Lecz cieśli licha płaca,
Nikt nie ściska, nie mruga,
Choć jego ciężka praca,
Choć i większa zasługa.

* * *

„Ot i dzieci, i młodzi,
I starcowie pochyli,
Wszystko i w każdej chwili
Przez me ręce przechodzi.
Czy się rodzą dzieciska,
Ot i kłopot dla głowy!
Pracuj, cieślo wioskowy,
Bo potrzebna kołyska;

Ja nie proszę zapłaty,
 Ja pracuję z rozkoszą,
 Ksiądz przyjeżdża do chaty,
 Mnie na chrzciny nie proszą;
 Dla chłopaka ladaca
 Ciesła zabawkę struga...
 Oj cichaż moja praca,
 Ale dobra zasługa!

* *
* *

„Chłopak rośnie w młodziana,
 Już mu chce się zalotów,
 „Oj danaż moja, dana!“
 Ruszyć w swadźbę już gotów;
 Czyż nie ciesła wyciosa
 Nowy wózek chłopcowi?
 Jak okują kolosa,
 To bywajcie już zdrowi!
 Już go dziewczę nie minie,
 Na tym wózku zuch wielki!
 Czy on miły dziewczynie?
 Czy wóz mojej ciesielki?
 Toż pytanie nielada!
 A gdy celu dolata,
 Ciesli, starego dziada,
 Nie zaprosi na swata;
 Pieniędźmi się wypląca,
 Więc już zniewaga druga...
 Oj cichaż moja praca,
 Ale dobra zasługa!

* *
* *

„Kiedy lato przeminie,
 Dni dożynek nadbiegą,
 Stołu trzeba drużynie
 Dębowego, równego.
 Hejże z heblem i piłą,
 Spiesz się, cieślo, do dzieła!
 Ja stół ciosam aż miło,
 Wdzięcznie bracia przyjęła;
 Lecz gdy jadło przyniesli,
 Kiedy napitek płynie,
 Jakos w bratniej drużynie
 Zapomnieli o cieśli
 A on ich mozół skraca,
 Wprawia sosznik do pługa...
 Oj lichaż moja praca!
 Ale dobra zasługa!

* * *

„Młodzian przeżył wiek długi,
 Starzał i umarł wreszcie.
 Śpieszcie do cieśli, śpieszcie,
 Nie odmówi posługi.
 On kolebkę dłań zrobił
 Wielce sztucznej roboty,
 On mu cacka sposobił,
 On go stroił w zaloty;
 Dziś nagrodzą Niebiosa,
 Niech mu trumnę wyciosa.
 Robię trumnę — jak caca,
 Szeroka, kształtna, długa...
 Oj cichaż moja praca!
 Ale dobra zasługa!

* * *

„Te mnogie ulów klody,
 Co stoją wedle płota,
 I te wioskowe wrota,
 Co strzegą pól od szkody,
 Krzyże na mogił rzędzie,
 Wszystko mój trud bez mała;
 A teraz, Bogu chwała,
 Ot i kapliczka będzie!
 Niechaj wioska wychwała,
 Niech nagradza kowala,
 Niech młynarza oplaca,
 Do mnie anioł stróż mruga:
 Że cicha moja praca,
 Ale dobra zasługa!

* * *

„Jeszcze jedna myśl dumna
 Dodaje mi ochoty:
 Że będzie moja trumna
 Nie partackiej roboty!
 Bom wyuczył nielada
 Kilku z wioskowej młodzi,
 Jak się z sznurem obchodzi,
 Jak się toporem włada:
 Więc starca w każdym domu
 Będzie zastąpić komu!
 Gdy mi życie Bóg skraca,
 Żalność będzie niedługa;
 Pocziwa była praca,
 Dobra będzie zasługa!“

RYCERZ NA CZATACH

CZYLI PIEŚŃ RYCERSKA O HERBIE ŁŻAWA.

Z PODANIA HERALDYCZNEGO.

I.

Kiedy panował w Polsce Biały Leszek,
W czasach niezgody i krwawych zamieszek,
Żył, jako stara kronika wspomina,
Rycerz Belina.

A herb miał dawny, jak świat zapamięta:
Na hełmie ręka rycerska ucięta,
Na tarczy zasię z krzyżem miecz stalowy
I trzy podkowy.

Zrodzon szlachcicem, choć miał miękie serce,
Musiał rad nierad oddać się żołnierce,
Kędy się zuczyl zręcznieję niż my pizsem
Machać bardyszem.

Dodawszy k'temu żelazną kolczugę,
Pancerz kowany i kopię długą,
I hełm z wizyrem do okrycia powiek,
Straszny był człowiek!

Swego rumaka, co wolałby paszę,
 Strojno, rycersko zakowywał w blasze;
 Czaprak, nagłownik, napiersnik i siodła
 Blacha obwiodła.

Bo rycerz bywa w rozmaitej doli,
 Lepiej się okryć bezpieczeńścią gwoli:
 Bo ani strzała, ni miecza zamachy
 Nie ugną blachy.

Nieszczęście jeno, że gdy dusza trwożna,
 To serca blachą zakować nie można;
 A choćbyś zakuł, to i w takiej zbroi
 Jeszcze się boi.

Rycerska służba krwawego Gradywa,
 Dobrze zważywszy, nie wielce straszliwa:
 Gdy inisi niosą na szwank swoje zdrowie,
 Ukryj się w rowie.

A gdy wygrana, gdy twierdza zdobyta,
 Kiedy żołnierstwo do łupów się chwyta,
 Wymknij się naprzód, a łupu dopadłszy,
 Bierz co bogatszy.

A takim kształtem kierując swe życie,
 Mieszek i chwała urosną sownię,
 Zwłaszcza gdy rycerz wróciwszy z oddali,
 Huczno się chwali.

Tak doświadczeniem własnym nauczony,
 Sprawiał Belina rzemiosło Bellony,
 Z chrobremi mężów wielkich czynów chwała
 I nań splywała.

A choć na wojnie krył się za rycerzy,
 Chociaż się strachał, gdy trąba uderzy,
 Lecz krzepiąc serce, a mówiąc pacierze,
 Wawrzyny bierze.

II

Pewnego razu, gdy z hufcy polskimi
 Bojował Roman, książę halickiej ziemi,
 Kędyś nad Sanem w granicach sąsiada
 Nocleg przypada.

Zwolniono konie, puszczone na paszę,
 Odjęto hełmy, odpięto pałasze,
 I wedle ognisk drużyna szczęśliwa
 Wczasu zażywa.

A jak rycerski obyczaj mieć każe,
 Dokoła gęste postawiono stráže,
 A dalej czaty w krąg obozowiska
 Stanęły z blizka.

Więc na pagórku, gdy się noc poczyna
 Przdową czatę sprawował Belina;
 Takie hetmańskie było rozkazanie
 (Odpuść mu, Panie!).

Samemu... w polu... w pośród nocnej głuszy..
 Toć i najsmielszy upadnie na duszy:
 Wróg w każdej chwili, nie dopuszczaj Boże,
 Uderzyć może.

A tutaj księżyc, jak na złość, na zdradę,
Ciska z za chmury swoje światło blade;
Przy jego blasku kamień, krzak lub trawa
Człkiem się zdawa.

A tu las blizki gałęzie rozpostrze,
Tu sterczą jodły jakby włóczeń ostrze,
Wiatr je kołycha, chwieją się konary
Jak dzikie mary.

A szelest wiatru, co swe tony zmienia,
Wielce podobien do jazdy tętnienia;
Zgadnij kto mądry, czy to ruskie syny,
Czy krzak leszczyny?

Tak sobie w myślach rozważa Belina,
Niesprawiedliwość hetmańską przeklina,
Modli się, słucha, patrzy nadaremno,
Bo wszędy ciemno!

Jak ów syn puszczy, co zającem zową,
Uważnym słuchem, z podniesioną głową
W jesienny wieczór rozważa i bada,
Jak liść opada;

Słupi się, staje i strzela oczyma,
Wprawdzie nie blednie (bo rumieńca niéma),
Lecz byle szelest posłyszał z daleka,
W pole ucieka:

Tak mąż Belina wśród nocnych straszydeł
Zazdrości orłom ich potężnych skrzydeł,
Chciałby od wiatru, księżyca i lasu
Uciec zawczasu.

I jak polityk każdą rzecz oblicza:

— „Na co ta wojna z książętą Halicza?
„Jakowa korzyść i w jakowym względzie
Polsce przybędzie?

„A zresztą... nie wiem... i korzyść być może;
„Lecz taki hetman, to pożał się Boże!
„Po co na czaty, kędy pewno zginę,
„Wysłał Belinę?

„Zważywszy zresztą Opatrzności plany,
„Zmrok ciemnej nocy na to został dany,
„By szlachcic sławny parentelą znaczną
„Wyspał się smaczno.

„Jam przecię szlachcic i spałbym ochoczo...
„A jak, broń Boże, Rusiny oskoczą?
„Zabiją... zginie dostojność jedyna,
„Mój herb Belina!“

Więc patrzy, słucha, myśli po kolei;
Posłannik niebios — sen oczy mu klei,
I chrobry rycerz na swój chrobrej szkapie
Snem twardym chrapie.

We śnie rozważa najmądrzej, najprościej:
Że sen jest tylko przedsionkiem wieczności,
I że Rusini wnet na śmierć złowroga
Posłać go mogą.

Śpi ciało męża, ale czuwa dusza,
I oto marzy: że las się porusza;
Że nieprzyjaciół tysięcy tysiące
Skaczą po łące.

Że sam kniaź Roman już pali z kopyta
 I chobrą ręką za gardło go chwyta...
 — „Ratuj kto pocziw z sarmackich rycerzy!
 „Kto w Boga wierzy!“

Tak ze snu krzyknął i w nogi od lasa,
 Porywa trąbkę wiszącą u pasa,
 I z całych piersi swój sygnał złowrogi
 Zagrał do trwogi.

Wśród ciemnej nocy góry i doliny
 Odpowiedziały na sygnał Beliny;
 W obozie popłoch wywołało hasło,
 Sto trąb zawrzało.

— „Na koń, rycerstwo!“ chrobry hetman woła:
 Trwożliwy bezład zakipiał do koła,
 Ów szuka zbroje, ów konia na dworze
 Znaleźć nie może.

Gdyby zaprawdę wrogowie w tej chwili
 Na potrwożone wojsko uderzyli,
 Rycerstwo snadno w takowym bezładzie
 Trupem się kładzie.

Belina trąby obozowe słyszy,
 Poznaje gwary swoich towarzyszy;
 Gdzież nieprzyjaciół, co zda się szedł drogą?
 Nie masz nikogo!

Żegna się krzyżem, przetarł oczy senne,
 Patrzy w ciemności otchłanie bezdenne:
 Zda się coś huczy, zda się coś porusza —
 To polna grusza!!

Tymczasem wojsko do szyku stanęło,
 Już się gotuje na bojowe dzieło;
 Gdzie i z kim zasię? niełatwe problema,
 Gdy wrogów nie ma.

Harcują w polu i czaty i straże,
 Ale do koła nic się nie ukaże;
 Belina wespół z drugimi harcerze
 Zwija się szczerze.

Radośnie krzyczy, że nie masz nikogo,
 Że towarzysze spać bezpiecznie mogą,
 Że to nie Rusin, ale go napadło
 Senne widziadło.

Lecz po obawie znów przyszła obawa;
 Bo król był srogi, gdzie idzie o prawa:
 Za marny popłoch, nieuważne straże
 Śmiercią się karze.

Więc przeczytano wojenne statuty,
 Płacze Belina w kajdany okuty,
 Już kosa śmierci zawisła surowo
 Nad chrobrą głową.

Król winowajcę osądzić poleca;
 Zeszła się tedy sędownicza wieca,
 Na której hetman i przyboczna rada
 Belinę bada.

Może go czasem wrogi przekupili,
 By dawszy sygnał w niestosownej chwili,
 Sprowadził wojsko na swoją obronę
 W przeciwną stronę?

Rycerz Belina, mąż prawego ducha,
 Kiedy bolesnych zarzutów wysłucha,
 Przejęty strachem pobledniał widocznie
 I płakać pocznie.

I padłszy do nóg Białemu Leszkowi,
 Wszystko, jak było, całą prawdę mówi:
 Jak lichy krzaki wyobrażał z trwogi
 Za hufiec mnogi;

Jak rozmarzony, stojący na zimnie,
 Snem niewinności małą chwilkę drzémnie;
 Jako przysniwszy, że Rusin doń mierzył,
 W trąbę uderzył.

Król Leszek Biały w dostojnej postaci
 Słuchał go, słuchał — i powagę traci,
 A usłyszawszy, jako śnił Belina,
 Śmiać się poczyną.

Wojewodowie, hetmani, kanclerze,
 Każdy serdecznie za boki się bierze,
 Szczerego śmiechu nie powstrzymać mocą,
 Wszyscy chychocą.

Po krotchwilnym śmiechu tylu osób
 Wyroku śmierci podpisać nie sposób; —
 Więc rada w radę — wydał król surowy
 Wyrok takowy:

Aby mu z herbu podkowę odjęto,
 A z hełmu rękę zbrojną i uciętą,
 By się śmiesznemi nie wstydziło czyny
 Gniazdo Beliny.

I już rycerskie odmieńając miano,
Łżawym Belinie zwać się rozkazano;
 To znaczy: kłamcą — że swemi sygnały
 Zwiódł obóz cały.

I herb ów nowy dziś *Łżawym* się zowie,
 Zostali z herbem starym Belinowie,
 I ztąd się wiodą w kolei wiadomój
 Dwa różne domy.

A śpiący rycerz rozpowiadał długo,
 Że herb swój nabył wojenną zasługą;
 Lecz nie oszukał kłamliwemi słowy
 Karty dziejowój.

Stała się znaną niedobra przygoda,
 I wiek wiekowi ze śmiechem ją poda,
 By poszła powieść z dziadów aż na wnuki
 Dla ich nauki.

III

My potomkowie protoplastów owych
 Zeszliśmy z dawnych warunków dziejowych:
 Zamiast jak starzy wywijać bardyszem,
 My książki piszemy.

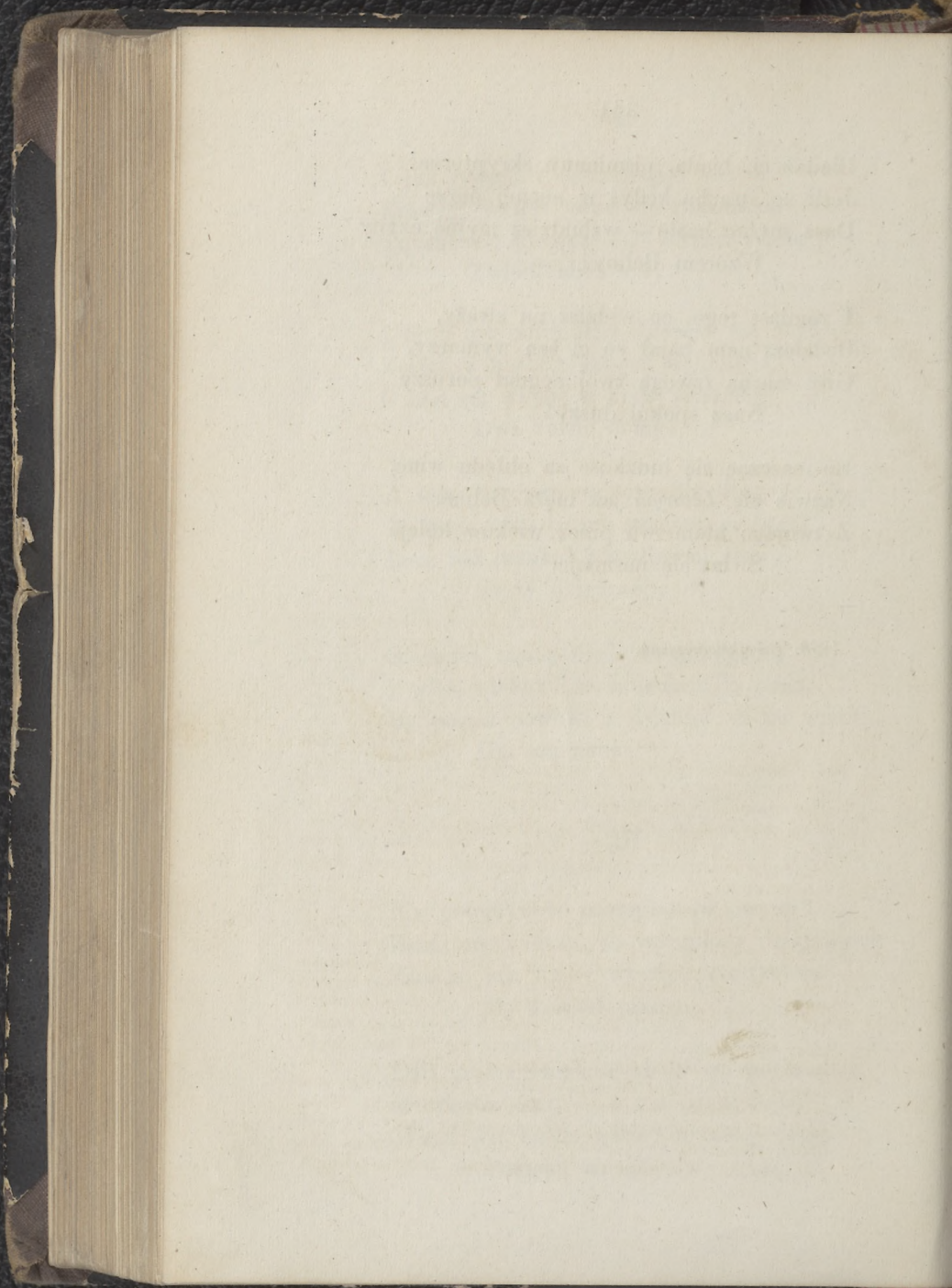
Dziś mądra ludzkość kiedy śpi po trudzie,
 Rozstawia czaty — a piśmienni ludzie
 Winni dać hasło: gdzie? u jakiej drogi
 Postępu wrogi?

Biadaż ci, biada, piśmienny skrypcorze!
Jeśli ze strachu kędyś w nocnej porze
Dasz mylne hasło — wzbudzisz mylne czyny
Wzorem Beliny!

I zamiast tego, co widzisz na straży,
Będziesz nam bajął co ci sen wymarzy,
Gdy marną trwogą twój sygnał poruszy
Nasz spokój duszy!

Bo mszcząc się ludzkość za obłądu winę,
Nazwie cię *Łżawym* jak męża Belinę,
Z twojego kłamstwa przez wieków koleje
Świat się naśmieje.

1856. *Borejkowszczyzna.*



PRZYPISY.

STR. 3. Margier.

Z Wilkońskimi łączyły Kondratowicza ściśle stosunki literackie. Projekt pisania utworu poetyckiego z bohaterskiej obrony zamku Pullen, zalecany przez panią Wilkońską w liście do Kondratowicza, doszedł rąk jego w chwili największej boleści rodzinnej w r. 1852, gdy dzieci poety jedno po drugim w ciągu kilku miesięcy pozostępowały do grobu. W odpowiedzi rozpaczliwej poeta powiadał, iż do niczego nie czuje się zdolnym; wszakże nie wyrzekał się zupełnie podjęcia projektu. Jakoż po przeniesieniu się do Wilna i porozumieniu ze Stanisławem Moniuszką, jał się pisania z tego tematu libretta do opery, które czytelnicy znajdą między utworami dramatycznymi. Zaniechawszy następnie libretta, we dwa lata od daty listu p. Wilkońskiej, przystąpił do obecnego poematu, który w kilka miesięcy napisał w opuszczonym ogródku Borejkowszczyzny, używając starego kamienia młyńskiego zamiast stołu.

Podeczas pisania poematu zaszła potrzeba obeznania się z miejscowością, na której według podań i dociekań krytycznych odegrał się jeden z najwznioślejszych w dziejach powszechnych wypadków bohaterskiego poświęcenia. Kondratowicz tedy, przybrawszy piszącego te słowa za towarzysza, udał się w pielgrzymkę do Puń Margiera. Oto co w swoich *Wycieczkach po Litwie* mówi o śladach tamecznego zamku, który był widownią wypadku: „Nigdzie się nie zatrzymując, śpieszyłem do zamczyska. Nie każdy z przechodzących mieszczan i żydów umiał mi odpowiedzieć, gdzie leży owo zamczysko. Należało go szukać!... Dopytałem nareszcie. Wskazano mi w południowej stronie miasteczka mały wzgórek, obrosły leszczyzną i oznaczony krzyżem postawionym na jakąś pamiątkę... Wbiegłem nań jednym susem, jednym tchem...

i załamane ręce z rozpacz. Widoczna mistyfikacja całe podanie kronikarskie! bo ów mały pagórek jeszcze rozdwojony parowem, nie ma zgoła miejsca nie tylko na zbudowanie zamku, lecz nawet porządnego domu. Począłem krzyczeć rozpaczliwie, wołając o wytłumaczenie zagadki, zlorzeczyć mojemu towarzyszkowi podróży, jak gdyby on co tu był winien, narzekać na fatalność moich losów, — gdy starzec wywołany naszym hałasem z pobliskiej chaty, wyprowadził mię z błędu, ukazując obok zarosłego leszczyną inne obszerne, zbożem zasiane wzgórze, na które w pierwszej chwili uniesienia nie zwróciłem uwagi, naznaczając to właściwe miejsce starego zamczyska, i twierdząc, że dotychczas znajdują tu cegły i kafele; że z rzeczki Puniący, która wpada od wschodu do Niemna, wśród urwisk i wąwozów dawał się jeszcze widzieć loch przypadkiem otworzony: słowem, że na tej górze stał zamek królowej Bony i zapadł w ziemię, co te szczątki drzewa i lochy poświadczają. Wiedząc, że wszystkie stare zwaliska u ludu naszego są zamkami królowej Bony, nie gniewałem się na Litwina, może potomka Margierowego plemienia, urodzonego i póstarzałego w Puniach, że nie wiedział nic o bohaterskim swym przodku.

„Znalazłem go przecie! znalazłem jego zamek!... Uspokojony więc usiadłem na zwilgotniałej od deszczu trawie, badając panoramę widoku. Zamczysko leży nad wysokim stromym brzegiem Niemna, który tak się skromnie przyczał, że ztąd zaledwie dojrzeć go można, jak płynie u stop zamczyska płowym nurtem, wązkim korytem. Na przeciwnym jego brzegu rozesełane pasmo sosnowych i dębowych lasów, dalej brzegi wyniosłe i sina niezmierną okiem głęb horyzontu, dają widok prawdziwie uroczy. To mię najbardziej zdziwiło i uradowało, że w poemacie moim kreśląc instynktem topografię zamku Pullen, przečułem fizyonomię jego okolic i z bardzo małą różnicą takim go sobie wyobrażałem. Byłem pewien, że z tamtego brzegu Niemna wzgórze zamkowe pięknieję i uroczyścieję się wydają; chciałem się kazać przewieźć na drugą stronę rzeki lecz słońce już blizkie zachodu ostrzegało, że czas upływa, że droga daleka a powrót do domu pilny. Westchnieniem pożegnawszy tak dawno niewidziany Niemen i zamczysko, napręde odszkiecowałem to ostatnie ołówkiem do mej pamiątkowej książki, i wzięwszy na pamiątkę kawał grodu, opuściłem znakomite ruiny.“

Margier wyszedł po raz pierwszy w nader pięknej edycji nakładem księgarni wileńskiej Rubena Rafałowicza w Lipsku 1855.

STR. 11. Krzepkie dęby w Romnowe, gdzie Litwa
 czei bogi,
 Grom w prawicy Perkuna straszny i zło-
 wrogi.

Romnowe — święty gaj i najsłynniejsza gontyna pogańska Litwy, znajdowały się najprzód w dzisiejszych Prusiech wschodnich, zamieszkałych podówczas przez plemię litewskie; następnie w ucieczce od Krzyżaków bogi przeniesiono w głąb Żmujdzi. Perkun — bóg piorunów, niby Jowisz litewski.

Tu raz na zawsze zwrócić należy uwagę, iż wprowadzając mitologię litewską do poematu, Kondratowicz trzymał się Narbutta, którego podania w t. I *Dziejów Narodu Litewskiego* późniejsi badacze rzeczy litewskich niemal do gruntu wyrócili. Mikulski w *Gaz. Warsz.* z r. 1857, Akielewicz w przypisach do t. V *Polski, dziejów i rzeczy jej* Lelewela w 1863, jak na dłoni okazali, iż co o bogach litewskich począł Łasicki, co dalej prowadził Narbutt a zakończył Trętowski, było po większej części dziełem grubej niewiedomości tych pisarzy, wynikającej z nieznajomości języka ludu litewskiego. Tutaj atoli króciutkie objaśnienia rzeczy mitologicznych muszą być czynione w takiej myśli, jak pojmował je autor poematu.

STR. 13. Wielki dzień Ziemienika będziemy obchodzili.

Ziemienikas — bóg pogańskiej Litwy, opiekun urodzajów, domów i całego kraju.

STR. 14. Co go papież z odpustem święcił w Awenionie.

Papieże rzymscy mieli stolicę w Awenionie od roku 1309 do 1376.

STR. 15. I przy czarce ałusu ściska swe siepacze.

Ałus — po litewsku piwo.

STR. 27. Nie piosenek, co stary Burtynikas dzwoni.

Burtynikas — bard, śpiewak, wieszczek i poeta. Jak u Słowian *gešlarz* śpiewak i *gušlarz* czarodziej były dawniej słowami jednoznaczными, tak i u Litwy *burtynikas* śpiewak i *ciustynikas* czarodziej miały jedno znaczenie. Opiewali przy lutni bogów i bohaterów.

STR. 29. I Potrymbos i Milda, co miłością dyszy.

Potrymbos — bóg pierwszych potrzeb. Milda — bogini miłości.

STR. 34. Tylko Poklus, bóg piekiel, ma hołd u ogniska.

Poklus, Pokolus, Pokole, Pikol — bóg podziemny, władca dusz zmarłych. Miano go wyobrażać w postaci starca z siwą brodą, wybladłego, z oczami w słupek stojącymi. Ukazanie się jego było zapowiednią gniewu bogów, który niekiedy miano prześlągiwać nawet ofiarami z ludzi.

STR. 34. Nawet krywe-krywejte etc.

Krywe-krywejte — arcykapłan pogańskiej Litwy.

STR. 51. Zaprzedać kraj rodzinny i swojego pana.

Alluzya tu do zdrady, którą za podmowę Teodoryka z Altenburga uknował Wincenty Szamotulski 1331 roku, do wyrznięcia w pień ludności miast i wiosek przez tegoż wielkiego mistrza i innych krzyżackich bezprawi. (Przyp. Aut.)

STR. 51. Sławny rycerz z Melsztyna, Jan herbu Liwi.

Kondratowicz poszedł tu za Balińskim, który w swych *Studjach historycznych* powiada, że „jak Spicymir czyli Spytek był prawą ręką Łokietka, tak syn jego Jaśko z Melsztyna stał się pierwszym doradcą młodego Kazimierza,” później nazwanego Wielkim. Szajnocha jednak w dziele *Jadwiga i Jagiello*, wydaném już po ogłoszeniu *Margiera*, dokumentami dowiódł, iż Baliński czyny jednej osoby na dwie rozdzielił. To więc co się mówi w poemacie o Janie z Melsztyna, właściwie należy do Spytka.

STR. 54. Jan ze Słupca, krakowski biskup znakomity.

Jan Grot ze Słupca lub Słupca był biskupem krakowskim od r. 1328. Człowiek świętobliwy, uczony, przy godności wyrozumiały, na pasterskim urzędzie gorliwy i łaskawy. Władysław Łokietek nie był mu z razu życzliwy, lecz biskup sobie go zjednał, tak, że w końcu król żadnej sprawy bez jego rady nie poczynał. Zmarł 1347. (Łętowski, *Katal.* I, 247).

STR. 91. Woła z Mojżeszem: Wodze! zbierzcie lud do siebie.

Deuteronomium, rozdz. XX.

STR. 92. I śpiewa pieśń Judyty padłszy na kolana.

Judith, rozdz. IX w. 6 i nast.

STR. 93. Tam śpiewak obozowy, minnesinger stary.

Minnesinger w Niemczech, to samo co trubadur lub truver
we Francyi — śpiewak. (Przyp. Aut.)

STR. 115. Kęs chleba.

Po napisaniu *Margiera* Kondratowicz zapadł był w ciężką kilkumiesięczną chorobę nerwową, która zmusiła go do czasowego zamieszkania w Wilnie dla kuracyi. Tymczasem na domiar udręczeń cielesnych przyszły moralne: wygnanie sędziwych jego rodziców z folwarku Tulonki, który do owiej pory dzierżawili przez lat dziesięć, o milę od Załuża i lewego brzegu Niemna. Rodzice, dwie siostry i ciotka poety, przeżyławszy całe życie na dzierżawach, dzięki rozmaitym pretensjom wytoczonym przez administracyę dziedzica folwarku, zostali wypuszczeni z Tulonki w całym znaczeniu bez grosza i chleba. Te dwie okoliczności: choroba i niedola rodziny, której ze skuteczną pomocą przyjsć nie mógł poeta, złożyły się na bolesny poemat obecny.

Drukował go po raz pierwszy Teofil Glücksberg w Wilnie 1855, w osobnej broszurze, przypisanę przez autora „Kazimierzowi Paszkowskiemu na pamiątkę szczeręj przyjaźni.” Następnie przedrukowano w t. IV *Gawęd* 1856 w Wilnie.

STR. 119. Czuję z nad Niemna polankę borową.

Ustęp ten jest wiernym opisem kapliczki w lasku pod Tulonką.

STR. 128. Zielone kłosie krasować poczęło.

Prowincjonalizm: kwitnąć.

STR. 139. I gdzieś daleko od Niemna wybrzeży
Wziął starą chatę.

Rodzice Kondratowicza z dwiema córkami, zupełnie zrujnowani na majątku, rzeczywiście wynieśli się ze stron nadnie-meńskich i zadzierżawili małe folwarczki o milę od Borejkowszczyzny w okolicach Wilna. Sędziwy Aleksander Kondratowicz wkrótce tam złożył skołataną głowę, a wdowa po nim Wiktorya ze Złotkowskich przeniosła się do Borejkowszczyzny do syna, gdzie niedługo po zgonie tego ostatniego

żywot doczesny pożegnała. Spoczęła obok męża na cmentarzu w Rukojniach, przy trakcie z Wilna do Oszmiany.

STR. 144. Bądź zdrow Szymonie! — Pij wesół Marcinie.

W rękopiśmie i drukach poprzednich wiersz ten brzmi: „Bądź zdrow Macieju! — Pij wesół *Szymonie!*” co nie rymuje z odpowiednim wyrazem: „*zginie.*” Położyliśmy więc znajdujące się w innych ustępach poematu imię *Marcina*, które widocznie poeta i tutaj miał na myśli.

STR. 149. Pan miarkę żyta dał jój na korowaj.

Korowaj — ciasto weselne u wieśniaków na Litwie.

STR. 153. Fragmenta o Filipie z Konopi.

Z innego tonu i w inną formę zagajony a następnie porzucony początek tego poematu zamieściliśmy w t. I naszego zbioru. Utwór obecny ukazał się po raz pierwszy w t. V *Gawęd* 1857 u Zawadzkiego w Wilnie.

STR. 171. Żebrak z rzemiosła.

Drukowano po raz pierwszy w t. V *Gawęd*.

STR. 179. Matysek.

Ogłoszono po raz pierwszy w *Gazecie Warszawskiej* 1855, p. t. „Przyszła kréska na Matyska;” następnie w t. IV *Gawęd* pod obecnym tytułem.

STR. 182. Terefera i Szerpentyna.

Wydrukowano po raz pierwszy w t. III *Gawęd* 1856. Na język rossyjski utwór ten nader pięknie przełożył i ogłosił Mej. Skutkiem tego między autorem a tłumaczem zawiązała się rymowana korespondencya, przerwana śmiercią Meja.

STR. 198. Córa Piastow.

Powieść obecną osnuliśmy na podaniu zapisaném u Narbutta (*Historja Narodu Litewskiego* t. IV str. 288). Wypadek ten, jakkolwiek nie podany z całą pewnością, lecz jeno zapisany w jakiejś notatce i na jój wiarę powtórzony, znaleźliśmy pełnym poezyi i dobrze charakteryzującym starą Litwę.

(Przypisek Autora).

Drukowano po raz pierwszy w *Gazecie Warszawskiej* 1855, następnie w osobnej książeczce w Wilnie 1855 nakładem firmy R. Rafałowicza.

STR. 199. Gdy krew bojową Kawas mu poruszy.

Kawas — według Narbutta bóg wojny u Litwy. W Muzeum Starożytności w Wilnie znajdował się posążek uważany za wyobrażenie tego bóstwa.

STR. 200. Dał Trojdenowi oznaki książęce.

W autografie w tém miejscu i dalej jest *Trojnat*, co następnie zmieniono.

STR. 205. Niech wesoło szumi las.

Pieśń pochodząca Litwinów jest wariantem oryginalnego śpiewu litewskiego. Moniuszko dorobił do niej piękną muzykę, znajdującą się przy pierwszym wydaniu poematu.

STR. 206. Miód mazowiecki i pannońskie wino.

Pannonia — dawna nazwa dzisiejszych Węgier.

STR. 221. Trojden k'niej zwrócił płomieniste oko.

W a r. : Trojden niechcący zwrócił ku niej oko.

STR. 228. Zgon Acerna.

Acernus — od wyrazu *acer*, oznaczającego *klon*, nazywał się z łacińska Fabian Sebastian Klonowicz, autor *Zwycięstwa bogów*, *Worka Judaszowego*, *Ziem Czerwonej Rusi* i *Flisa*, urodzony w r. 1551 w Sulmierzycach, zm. 5 stycznia 1608 w Lublinie. Tytuł pierwotny tego utworu w rękopiśmie był: *Zgon Klonowicza*. Wyjątek z niego drukowała *Gaz. Warsz.* 1855; całość nakładem M. Orgelbranda wyszła w osobnej książeczce 1856 w Wilnie. Symboliczną okładkę do tego wydania litografowano podług rysunku autora.

Do wydania osobnego Kondratowicz załączył następną dedykację:

DO J. I. KRASZEWSKIEGO.

Komuż stosowniej mam zaofiarować ostatnie chwile naszego Acerna, jak Tobie zacny Autorze *Świata i Poety* i *Powieści bez tytułu*, któryś przeznał wszystkie tajniki duszy biednych szpitalników, których świat nazywa wieszczami; który w pis-

mach swych wylałeś kilka łez nad dolą sierocą Klonowicza, który tak dobrze pojmujesz i duszę Acerna i duszę tego, co przedsięwziął opisać jego ostatnie chwile?

Nie zawstydzimy się obcych, że mają *Tassa w więzieniu, Kamöensa w szpitalu*: i my zabilśmy jednego z naszych genialnych ludzi, i my daliśmy naszemu Klonowiczowi umrzeć w jezuickiej infirmeryi w Lublinie. Ale było to tak dawno... tak dawno! — dzisiaj się nie powtarzają podobnego rodzaju zabójstwa.

Znajdziesz może, żem nie wyczerpał wszystkich bolesnych stron przedmiotu, — czuję to, ale chciało mi się oszczędzić goręczy, — i sobie w chwili pisania i czytelnikom. Zresztą i tak powiedzą, żeśmy aż nadto popisali ogólników.

Życzliwem sercem chciéj przyjąć ten przyjazny upominek i niech Cię Bóg na długo dla nas zachowa.

22 lipca 1855.
Borejkwoszczyzna.

WŁ. SYROKOMLA.

STR. 231. Rzekł: Ego te absolvo, jam vade in pace.

Ja cię rozgrzeszam, teraz odejdz w pokoju.

STR. 235. Usiadła jak pieśczocho u Boga na łonie.

Ob. poemat Klonowicza *Flis* (Kraków 1595; najlepsze wydanie późniejsze St. Węclewskiego w Chełmnie 1862). Wyrazy podkreślone są wyjęte z pism samego Klonowicza.

STR. 235. I widziałem Rusь piękną, całą Rusь szeroką.

Alluzya tu do *Roxolani*, poematu łacińskiego Klonowicza (Kraków 1584). Tłómaczenie jego dokonane przez Kondratowicza p. t. *Ziemie Czerwonej Rusi*, znajdzie czytelnik w obecném wydaniu między przekładami poetów polsko-łacińskich.

STR. 237. Wszak w *Worku Judaszowym* i *Zwycięztwie Bogów*.

Tytuły satyrycznych pism Klonowicza; pierwsze jest po polsku (Kraków 1603), drugie po łacinie (tamże 1600, lub też około tego czasu).

STR. 238. Tak on wysysa biednych, krew ludzką wypija.

Obrazy wzięte z *Worka Judaszowego* i *Zwycięztwa Bogów*.

STR. 238. Jeden swoje dowody, drugi halerz kładzie.

W rękopiśmie zamiast *halerz* jest złoto. Halerz był drobną monetą, bitą od czasów Wacława króla polskiego i czeskiego, za którego 12 halerzy szło na jeden grosz szeroki prazki.

STR. 239. Majątek i poczciwość na rzut kości ciska &

War: Majątek i poczciwość na rzut kości miota!
 Czy słyszycie za ścianą? tam jęczy sierota,
 Z której mienia zloczyńca w lwiej skórze korzysta.
 Patrzcie: pędzi karoca, a w niej sługa Chrysta;
 Kiedy złotem kapiące rumaki go niosą,
 Urąga uczniom Pańskim, co chodzili boso.
 Toż sługa apostolski!... Ktoś puka we wtota &

STR. 239. Jak jaskółka za latem, on za szczęściem leci.

Ob. *Worek Judaszów*.

STR. 240. Vade, vade sathanas!

Odejdź, odejdź szatanie.

STR. 243. A nasz Fiksel lubelski, waszmoście go znacie.

Postać z *Werka Judaszowego*.

STR. 243. Zarzucił pan Mikołusz, rajca skabinatu.

Skabinat, od wyrazu łacińskiego *scabina*, ława, nazwa rady miejskiej, zgromadzenia ławników.

STR. 244. A tam przed urzędniki i *ad legis mentem*.

Wedle myśli prawa.

STR. 247. Pytałem: komu dzisiaj zostawisz twą lutnię?

Żale Klonowicza po Janie Kochanowskim Tren XIII. Kochanowski, jak wiadomo, umarł w Lublinie 1584.

STR. 257. **Trędzlowe.**

Forma tego utworu wynikała ze sprzeczki w kółku towarzyskiem, w którém w obec Kondratowicza rozdzwoniło się nad trudnością dobierania rymów męzkich w języku polskim. Kondratowicz dowodził, że nie tylko w poezji lirycznej, gdzie rymy męzkie często się używają, ale nawet w trudniejszej pod tym względem poezji opisowej dadzą się łatwo zastosować przy odpowiedniej żartowości osnowy. Oświadczył zaraz, iż dawno już ma w głowie stosowny temat do gawędy, a niedługo potem zjawiała się i sama gawęda napisana rymami prawie wyłącznie męzkimi.

Utwór obecny drukowano po raz pierwszy w t. V *Gawęd.*

STR. 276. **Wielki Czwartek.**

Ustęp tego poematu p. t. *Kościół wiejski* ogłosiła *Gazeta Warszawska* 1856; całość nakładem M. Orgelbranda wyszła tegoż roku w Wilnie w osobnej książce. Autor przypisał ją państwu Ernestowi i Józefinie Voigtom „na pamiątkę dziesięcioletniej dobrej przyjaźni,” zabranę jeszcze podczas przemieszkiwania Kondratowicza w Załuczu a pp. Voigtów w Mirze.

STR. 280. **Serdecznym wzrokiem patrzy za balaski.**

Balaski — prowincjonalizm: przegroda ze słupków oddzielająca nawę kościoła od sanctuarium.

STR. 318 i 326. **Garść pszenna i Cieśla.**

Oba te drobne utwory drukowane były najprzód w *Gazecie Warszawskiej* 1856, następnie dwa razy w osobnej broszurze p. t. *Garść pszenna i Cieśla dwie gawędy ludowe*. Pierwsze wydanie w Warszawie w kofcu 1856, ale z datą 1857 roku, było na korzyść antykwaryusza wileńskiego Kinkulki, który uzyskał do tego prawo z daru Kondratowicza; drugie w Wilnie 1857 nakładem firmy Rafałowicza.

STR. 332. **Rycerz na czatach.**

J. I. Kraszewski w jednym z listów do *Gazety Warszawskiej* 1855, zalecał legendy herbowe jako temata do utworów artystycznych. Kondratowicz, który zresztą już i przedtém czerpał w tém źródle, czego dowodzi *Spowiedź pana Korsaka*, wziął się znowu do Paprockiego i Niesieckiego, i tak pod wpływem dobrego humoru powstała pieśń o niezbyt męznym rycerzu Belinie. Dla wierniejszego oddania kolorytu, autor, jak sam powiada, rozmyślnie użył staroświeckiej formy, dykcyi i chrapowatości wiersza.

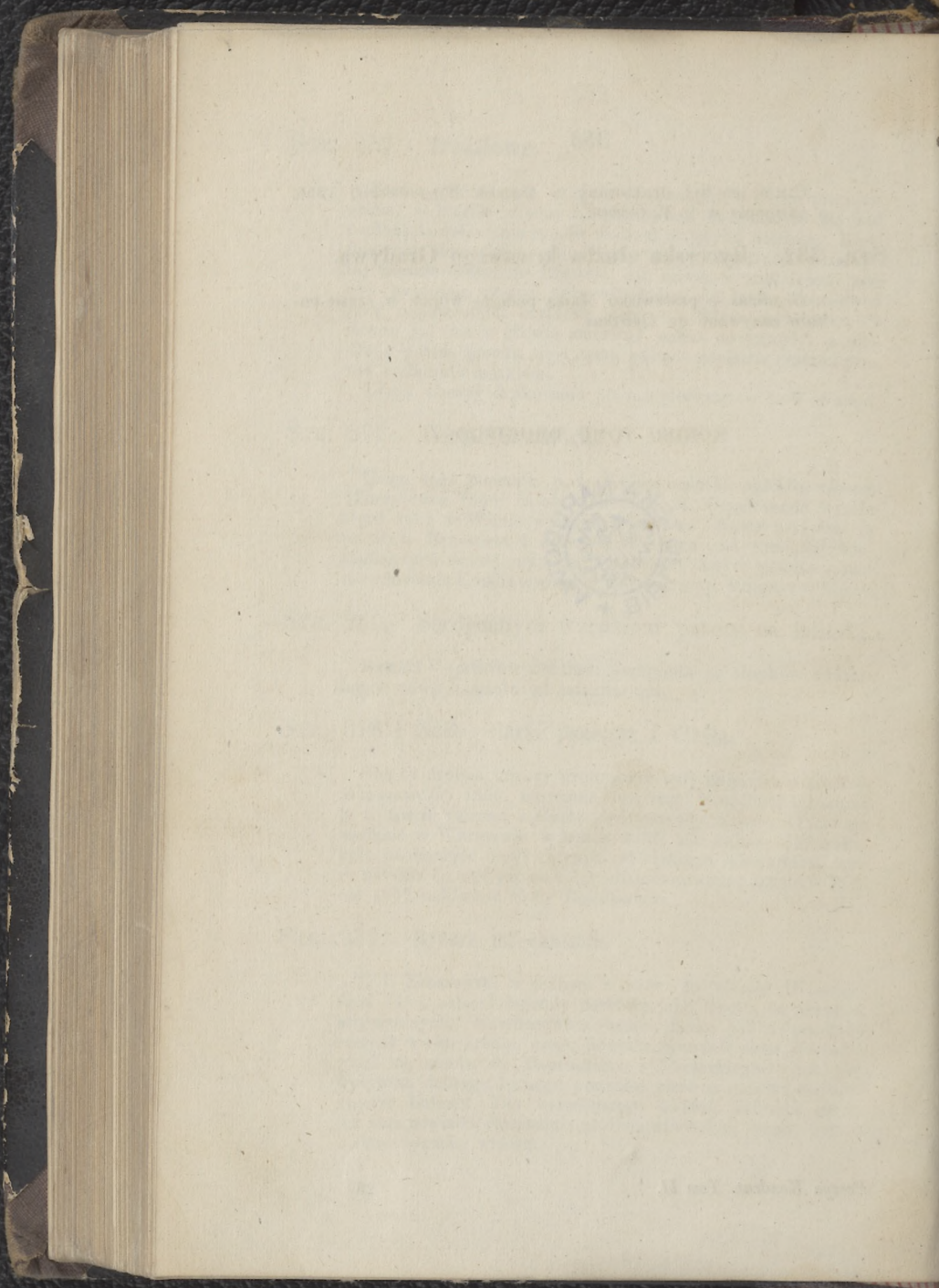
Utwór ten był drukowany w *Gazecie Warszawskiej* 1856,
a następnie w t. V *Gawęd.*

STR. 332. Rycerska służba krwawego Gradywa.

Gradius — przezwisko Marsa podczas wojny; w czasie po-
koju nazywano go *Quirinus*.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.





SPIS RZECZY W TOMIE II.

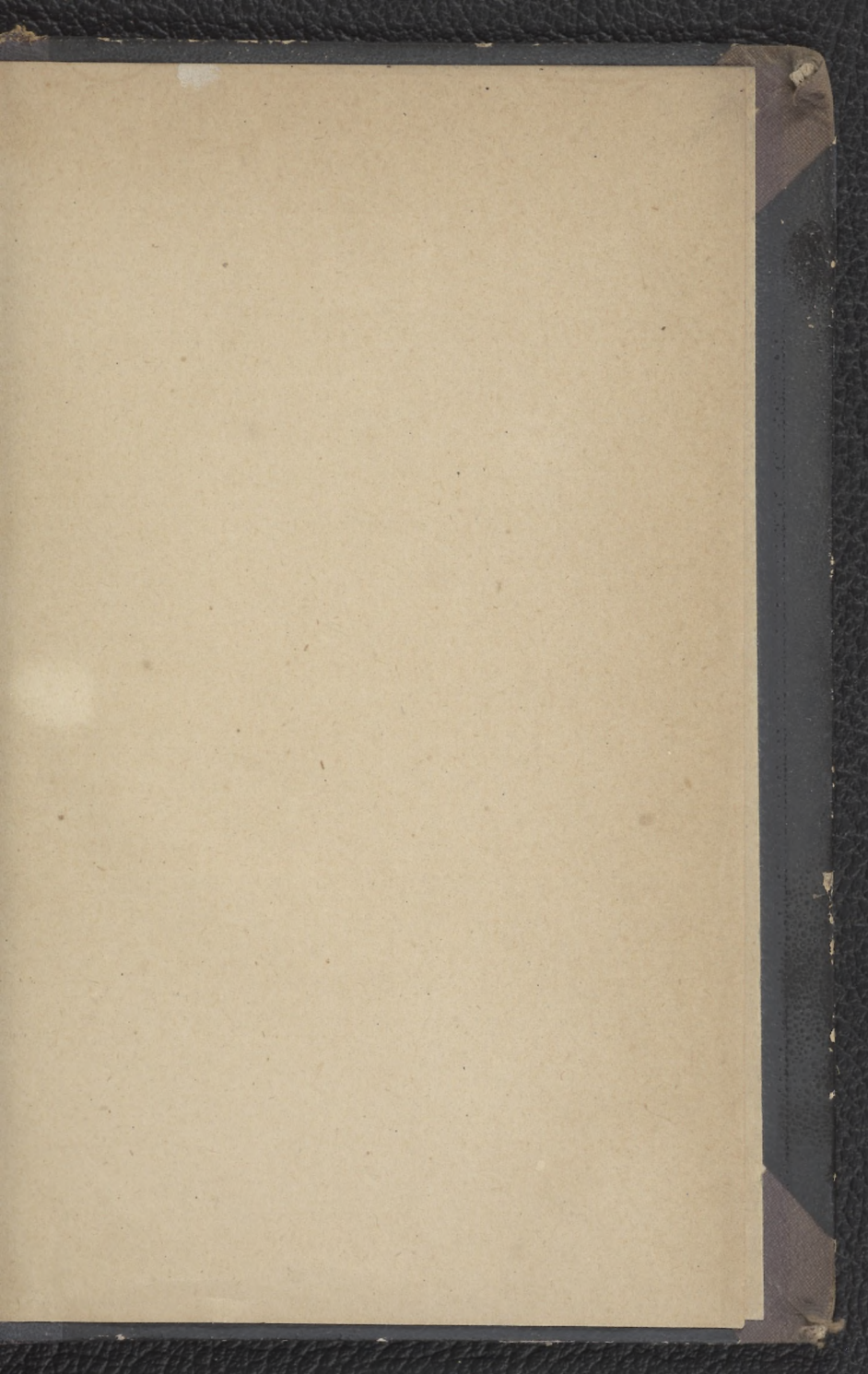
UTWORY EPICKIE.

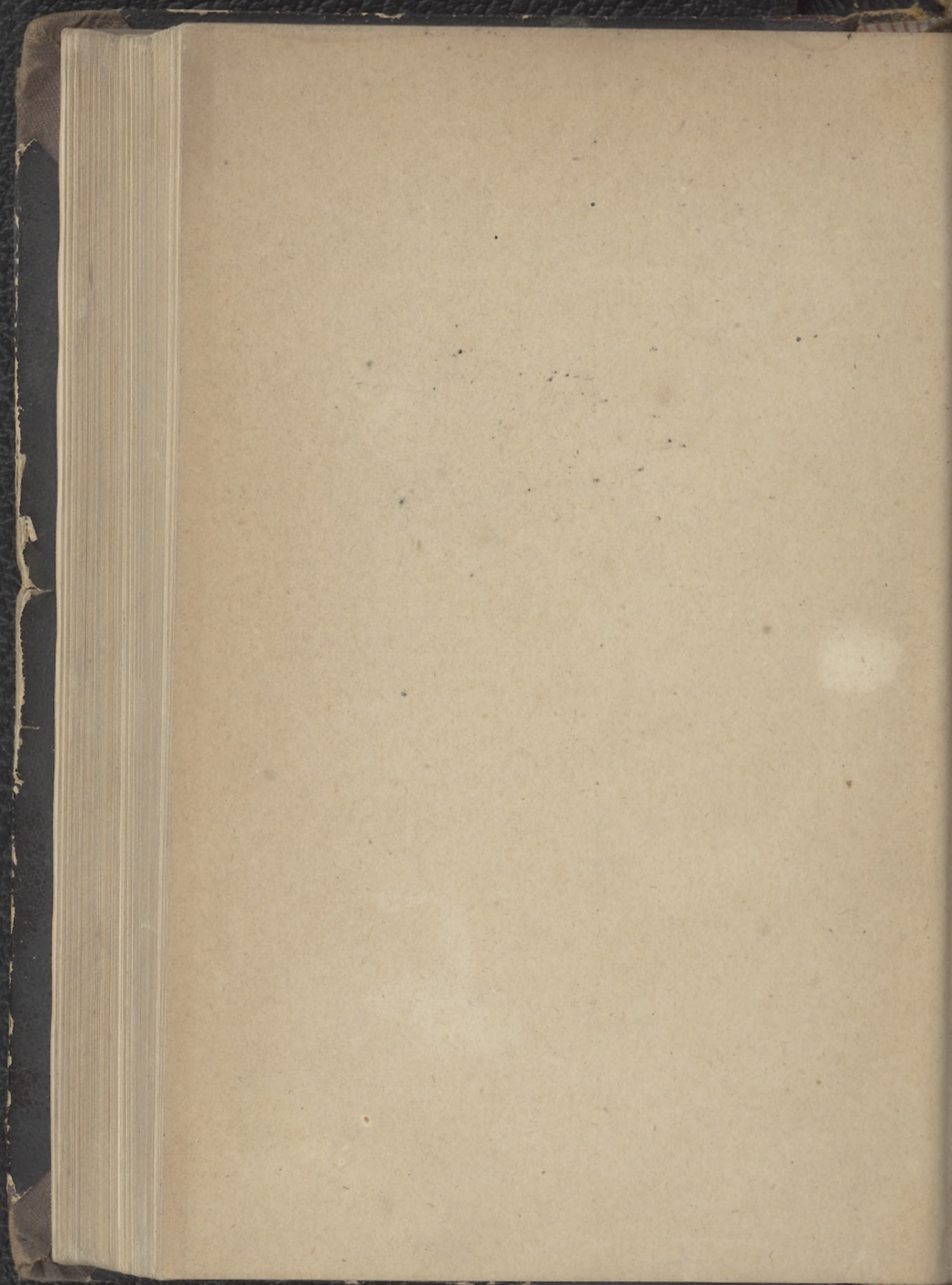
Margier	3
Kęs chleba	115
Filip z Konopi	153
Żebrak z rzemiosła	171
Matysek	179
Terefera i Szerpentyna	142
Córa Piastów	198
Zgon Acerna	228
Trędzlowe	257
Wielki Czwartek	276
Garść pszenna	318
Cieśla	326
Rycerz na czatach	332

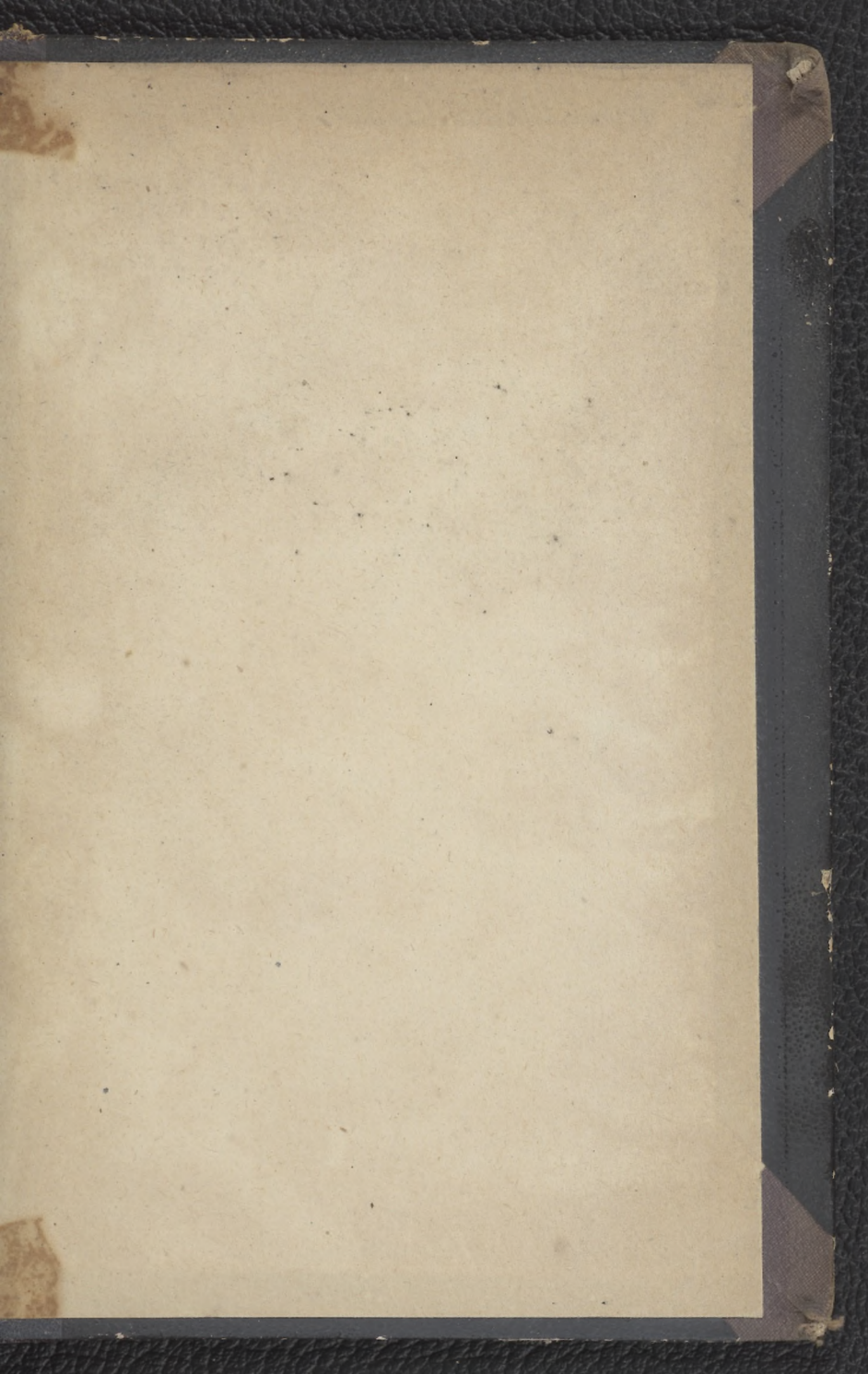
WILLIAM W. YOUNG

WILLIAM W. YOUNG

1850
1851
1852
1853
1854
1855
1856
1857
1858
1859
1860
1861
1862
1863
1864
1865
1866
1867
1868
1869
1870
1871
1872
1873
1874
1875
1876
1877
1878
1879
1880
1881
1882
1883
1884
1885
1886
1887
1888
1889
1890
1891
1892
1893
1894
1895
1896
1897
1898
1899
1900









2007419

T. 2.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001015590556